DAWNE DZIEJE

DAWNE DZIEJE.

DAWNE DZIEJE

PRZEZ

ALEKSANDRA WYBRANOWSKIEGO.

Z TEKI PANA CHORĄŻEGO.
ZE STARYCH WSPOMNIEŃ.
KORESPONDENCYA PANA CHORĄŻEGO.
JESZCZE O STARYCH AKTACH.
LAT TEMU CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ.

W KRAKOWIE,
NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1893.

W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

WSTĘP.

Jak we wszystkiem co pierwej pisałem, wioska moja rodzinna Kossowa, służyła mi za tło do każdego obrazka, bo jej odległa przeszłość ściśle się łączy z przeszłością mojej rodziny, tak i tu, do tych starych dziejów, osnutych na podstawie różnych materyałów, jakie mam pod ręką — Kossowskie familijne Archiwum, przeważnie dostarczyło mi cennych źródeł historycznych.

Opowiadanie jednak moje zdarzeń i wypadków rozmaitych, często wiekami przedzielonych i bez chronologicznego porządku podanych, nie zawsze odnosi się do miejsca rodzinnego — oparte jest także i na tem, co tradycya ustna mi podała, lub jeszcze własnemi oczami widziałem i sam doświadczyłem. — Stanowi ono istną mozaikę, z kamyczków drobnych, prostych, bez blasku kolorów i harmonijnej całości ułożoną — i ma tę wartość, że to, co dla nas dziś może być obojętne — to kiedyś wnuków, pragnących poznać przeszłość swoją, zapewne będzie interesowało.

Autor.

Z TEKI PANA CHORĄŻEGO.

I.

Dawne rody, dawne lasy, dawne drogi i zajazdy. — Literatura na szybach. — Nie masz dawnych dworów. — Żart p. Kalinowskiego. — Wychowańcy Pijarów z Podoleńca. — Wychowanie na dworach pańskich. — Panny respektowe. — Dworzanie i pokojowcy.

... Przenieśmy się myślą w daleką przeszłość tej pięknej nadwiślańskiej okolicy, w której leży Kossowa, o ile ślady piśmienne w przeszłość tę zajrzeć nam pozwalają.

Kiedy Porembscy osiedlali się w Kossowej, w sąsiednich wsiach, czy to na podstawie tego samego prawa, jakie w roku 1426 książę Janusz nadał Andrzejowi Porembskiemu do Kossowy, czy też z innego jakiego tytułu, mieszkali w Owsiance Grzegorz i Gabryel Owsieńscy, a nieco później Inwałdzcy; w Porembie Markowej, Stanisław Pakosz po Marku Rycerzu, który miał tę włość od Mikołaja Myszkowskiego młodszego z Przeciszowa. Na Spytkowicach pisze się także tasama można rodzina Myszkowskich z Mirowa i ta wznosi zamek do dzisiaj stojący. W Przypkowicach znajdujemy Przypkowskich, w górnych i dolnych Leńczach Marcina Dobka, Łukasza Leńczowskiego herbu Strzemię, i Bartłomieja Chwałka. W Brzeźwicy Mikołaja i Stanisława braci Palczowskich. Nieco dalej mieszka znów w Graboszycach Dyonizy Dziwicz Brandys i syn jego Aleksy Brandys, który w Graboszycach dwór wielki zmurował i po którym ta wieś dostaje się Porembskim. Gierałtowice w przywileju książąt Zatorskich z r. 1513, posiadają Gierałtowscy. W Głembowicach w r. 1436, Jan Pisarzowski z Pisa-

rzowic zamek obronny restauruje. Po za granicami księztw dalej obok Kossowej w Sosnowicach mieszka Mikołaj Strzała, a w Paszkówce Jan Paszkowski.

Wioski powstawały na coraz nowych, świeżo wydartych trzebieżach odwiecznych puszcz, a przybierając nazwy swoje, dawały potem i nazwiska rodom, co na nich osiadły.

Jak w całym kraju, tak i tu w dokumentach spotykamy ludzi wówczas już możnych i zażywających w księztwach niemałego znaczenia, jak np. Jana Frydrychowskiego, Jakóba Palczowskiego, Jana Tomickiego i Mikołaja Gierałtowskiego, piszących się od wsi obok siebie prawie leżących, Frydrychowic, Palczowic, Tomnic i Gierałtowic.

Że żywocił tu w tamtych wiekach dąb i modrzew, i że drzewa te zajmowały znaczne ostępy, dowodem tego, nawet do dziś jeszcze stojące stare modrzewiowe kościoły i pozostałe do niedawna olbrzymie okazy pojedynczych dębów po lasach lub przy dworach szlacheckich. Takie okazy jeszcze ja pamiętam, jak np. dąb we wsi Łazach niedaleko Oświęcimia, niezmiernej grubości. Takiemi także prastaremi świadkami słynęła Kossowa. Świadczy również niemało o dawnem istnieniu dębowych lasów czarna dębina, jaką z koryta Wisły ciągle wydobywają.

Nad drogą z Zatora przez Skawinę do Krakowa wiodącą, leżała Kossowa u samego prawie kresu księztw, bo o ćwierć mili od niej pomiędzy sąsiednią wsią Brzeźnicą a Jaśkowicami, sączący się mały strumyk zwany Cedron*), rozgraniczał księztwa Oświęcimskie i Zatorskie od ziemi Krakowskiej.

Tą samą drogą wracał w r. 1638 d. 3 Listopada król Władysław IV. z żoną i królewną z Badenu po kuracyi, jaką tam pod Wiedniem odbywał. A dyaryusz Jakóba Sobieskiego tak o tej podróży królewskiej powiada:

*) Nazwa ta nie wiem czy nie pochodzi od Cedrona Gryfa, wojewody krakowskiego w r. 1234.

»Król nocował w zamku Spytkowicach, świta zaś i panowie senatorowie po odprowadzeniu króla do Spytkowic, wrócili się i nocowali w Zatorze.«

Pomimo, że drogi wówczas wszędzie nie były dobre, przytem pora jesienna i kolasy ciężkie, a orszak bardzo liczny nie mało drogę utrudniał, podróż odbywała się dosyć prędko, bo po jednodniowym tylko odpoczynku w Krakowie, jadąc na Niepołomice, 10 Listopada król był już w Ossolinie u podkanclerzego Ossolińskiego, gdzie wnuka jego Lubomirskiego, starostę sandomierskiego, wraz z królową i królewną do chrztu trzymał.

Nietylko, że dziś koleje handel zmieniają, ale i kraj przez to coraz więcej fizyognomię inną przybiera. Owe uczęszczane gościńce i na nich olbrzymie domy zajezdne, gdzie zawsze ożywiał je ruch wielki, i w karczmach często o nocleg podróżnemu było trudno, gdy się gości wiele nazjeżdżało, dziś trawą porastają i pustką stoją.

Nawet tych szyb zapisanych tysiącznemi konceptami wesołych podróżnych już niema, bo je wiatr uwijający się po pustych izbach, dawno powybijał.

Była to literatura oddzielna, rodzaj bowiem nawet dziś już nieznanych anonsów miłosnych, przygód rozmaitych, często dobrze pośredniczących między zakochanymi! Z nich niejedna Zosia dowiedziała się o wzdychaniu swego Jasia. Chociaż były to również koncepta, przed któremi starsi strzegli młode panienki, by się do okna lub drzwi zapisanych nie przybliżały.

I tak jak gościńce ze swemi paradnemi karczmami upadły, tak i stosunki krajowe przez biedę, która coraz więcej zagląda do dworów szlacheckich, wioski nasze zmieniły. Niejedna ładna wioska mająca pierwej tylko jeden dwór, swojego właściciela, który ją upiększał, ożywiał i w potrzebie wspierał — dziś już rozparcelowana, sprzedana na kawałki, dostawszy kilkunastu drobnych właścicieli, powierzchowność pierwotną zupełnie zatraciła i trudno nawet wyobrazić sobie, jak dawniej wyglądała. I coraz więcej wiosek tej zmianie ulegnie, bo wszystko się na to składa i potrzeba to wytwarza.

Nieraz niepodobnem nawet do prawdy się wydaje, jak słucha się opowiadania starych ludzi, że w tej lub w owej wsi stał przed laty okazały dwór możnego pana, do którego brama na oścież otwartą stała, bo wiele gości się zjeżdżało, poszóstnemi cugami i uczty w nich na daleką część kraju słynęły. Dziś i dworu niema i drogi nawet do niego wiodące dawno trawą porosły tak, że ich już odszukać trudno.

W mojem teraźniejszem sąsiedztwie mam także taką wieś, Chlebowice Swierskie, gdzie przed wiekiem a może i dawniej miał stać bardzo okazały dworzec, w którym mieszkała panna Poniatowska, kasztelanka, do którego wiele gości zawsze się zjeżdżało. Dziś, kiedym chciał zobaczyć to miejsce, różnemi wesołemi przygodami zachowane w ludzkiej pamięci, już go odszukać nie mogłem, bo z dworu śladu nie pozostało i nie wiedzieć nawet, która droga do niego wiodła.

Zabawny figiel pana Kalinowskiego, sąsiada z Dusanowa, opowiadano mi z owego dworca. Panna kasztelanka naraziła się czemś sąsiadowi. Raz tedy, gdy kasztelan zdybał posłańca, idącego z kurendą do księży od dziekana, ażeby się zjechali na kongregacyę, zatrzymał go i rzecze:

— Masz chłopie dukata, ale nie mów, żeś mnie zdybał i dostał go odemnie, i że papiery dziekana czytałem.

Chłop schował dukata z pokorą i solennie panu swemu przyrzekł, że tajemnicy dochowa. Otóż pan Kalinowski napisał na kurendzie następujące *Postscriptum*: »We środę jest pogrzeb śp. JW. kasztelanki w Chlebowicach. Potrzeba, ażebyśmy wszyscy tam stanęli ze mszą świętą — to zalecam i czekam«.

Naturalnie, że jak przyszła środa, żadnego księdza nie brakło; wszyscy się zjechali. I cóż było za zdziwienie księży, kiedy panna kasztelanka w dobrem zdrowu, każdego witając, o powodzie zjazdu tak licznego się dowiadywała.

Figiel o ile się udał, o tyle i wkrótce się wydał, i szepnięto kasztelance, że nie kto inny jest jego sprawcą, jeno Pan Kalinowski. Kasztelanka pogniewała się na niego, a księży

sowitą ofiarą obdarzyła, aby prosili Boga o długie dla niej jeszcze życie.

Lecz wracam do Kossowej.

Dlatego ja mając jeszcze w pamięci widok podwórza w Kossowej, nie taki jaki jest dzisiaj, po niejednej przemianie, ale jaki był wtedy, kiedy ja go jeszcze zapamiętam przed więcej niż pół wiekiem, pozwalam sobie opisać go tutaj.

Naprost bramy, na wielkiem czworobocznem podwórzu, stał dworzec z dużym gankiem o czterech filarach z czterema przystawkami, czyli tak zwanemi narożnikami, które mając nizkie daszki o dwóch kondygnacyach, wyglądały z frontu jak dwie baszty lub wieżyczki.

Po prawej ręce, idąc od bramy, była kuchnia, budynek niewielki z poddaszem od frontu o słupach drewnianych, po lewej ręce w równej odległości szpichlerz, takiej samej prawie co kuchnia budowy. Obydwa zaś te budynki tak podobne do siebie formą, łączyły sztachety o słupach murowanych z daszkami śpiczastemi, obsadzone pięknemi kasztanami.

Idąc od kuchni do dworu, po prawej ręce, stała stajnia na cugowe konie wraz z wozownią, dalej obok niej budynek tak zwany lamus, czyli spiżarnia. Przeciwny zaś bok idąc od od spichlerza, oddzielał szpaler lip i kasztanów od drugiego podwórza, na którem stał folwark i obory w czworobok razem z folwarkiem zbudowane.

W Kossowej, za czasów mych dziecinnych, bywał pan Żarnowiecki z Radoczy. Był to człowiek już wiekowy, kolega jeszcze mojego dziada Paprockiego z konwiktu OO. Pijarów z Podoleńca. Przyjaźń ich od szkolnej ławy łączyła, a potem i pokrewieństwo przez żonę z domu Pruszyńską. Skoro zaś umarł pan Paprocki, wspierał on swoją radą babkę moją.

Pamiętam, po polsku się nosił, a będąc wesołego humoru, od wszystkich był kochany i jako człowiek rozumny, wielce był szanowany. Lubił on opowiadać o młodości swojej i chwalił konwikt Pijarów w Podoleńcu, choć także wspominał, że księża ręki nie żałowali i często wspominany był tak zwany

»koziołek«, na którym kładąc wychowańca, napędzano mu rozumu do głowy.

Konwikt w Podoleńcu, jak w ogóle i inne duchowne konwikty dawały na owe czasy najlepszą możność kształcenia młodzieży, bo albo na dworach pańskich, albo w domu pod okiem ojca młodzieniec się chował. Dopiero książęta Czartoryscy podnieśli myśl założenia szkoły rycerskiej, z której poczęli wychodzić inni obywatele kraju.

List, który mam pod ręką Poniatowskiego, brata królewskiego, do pana Nowosielskiego kasztelana Ciechanowskiego, pisany do Paszkówki, wiernie te chwile reform maluje. W instrukcyi, jaka w tym liście jest przyłączona do panów posłów na sejm konwokacyjny, są dwa punkta, zasługujące na uwagę i świadczące, jak król Stanisław czuł potrzebę reform i oświaty.

Świadczy o tem szczególnie punkt drugi rzeczonej instrukcyi, gdzie czytamy:

»Wynalezienie funduszów, aby było zalecone na szkołę rycerską, do którego i N. J. Pan nasz miłościwy chce się przyłożyć, która z niemałym pożytkiem będzie dla narodu i dla ubogiej szlachty.«

Punkt zaś czwarty pomimo, że zakład panien Kanoniczek w Marywilu nie powstał w celu wychowawczym, tylko jedynie, ażeby córki przedniejszych szlacheckich rodzin miały w nim pomieszczenie, podnosi znaczenie Kanoniczek i tak się wyraża:

»Fundacya panien Kanoniczek, aby była aprobowana, życzylby sobie to N. JM. król z tym jednak dokładem, aby zagrodzić drogę do pomnożenia innych klasztorów fundacyi, które krajowi żadnego pożytku ani stanowi szlacheckiemu nie przynoszą.«

Tak jak młodzież kształciła się albo na dworach panów lub możniejszej szlachty, albo w konwiktach duchownych, tak i córki uboższej szlachty były brane do dworów magnackich.

O takim kilkuletnim pobycie na dworze księżnej Czartoryskiej panny Teofili Paprockiej, pozostała obszerna relacya

w listach jej, pisanych do brata, pana chorążego Podlaskiego. Opisuje ona w nich swoje zajęcie, łaskę JO. księżny, przyjęcia i zabawy, jakie się ciągle odbywają, a prawie w każdym liście wspomina o rygorze wielkim ochmistrzyni IMci Pani Kaweckiej. W jednym liście tak się wyraża:

»Wielebny ksiądz kapelan bardzo przestrzega, ażebyśmy się kształciły w gorliwości religijnej, w mocnem zachowaniu przykazań Boskich i kościelnych, w potrzebnej koniecznie moralności, w niezaniedbywaniu pobożności, w dopełnieniu ludzkości, czułości i dobroczynności wedle możności każdego.«

Tę pannę Paprocką wydała potem księżna za Budwillę i wyposażyła — po jej zaś śmierci, widać bezdzietnej zmarłej, brat upominał się u męża nietylko o mobilia, ale i zapis księżny. Wyniknął ztąd proces, a w aktach procesowych znajduje opis panien respektowych i panien służebnych, które brały pensyę t. z. »laufy.« Dozór nad niemi miała ochmistrzyni, wybrana przez księżnę z pomiędzy panien lub wdów wieku podeszłego, znanych z rozsądku, pobożności i skromności, ażeby panny pod jej dozór oddane w przyzwoitem dla siebie umiała utrzymać posłuszeństwie. Powinnością ich było ubrać się czysto i przyjść do »ubieralnego pokoju« ubrać panią i każda z nich miała pod dozór sobie oddane to bieliznę, to suknie, koronki, klejnoty, nici, jedwabie, igły, rękawiczki i t. p. rzeczy do ubierania pani należące i za konserwacyę onych odpowiadać musiała.

Mieszkały w pokojach dla panien przeznaczonych razem z ochmistrzynią i z nią u marszałkowskiego stołu jadały i każda miała swoją sługę. Było ich także powinnością koleją jedna lub dwie ubrane na kanapie sypiać w »ubieralnym pokoju«, który zwykle bywał obok sypialnego, ażeby być na zawołanie pani. Nie należały do kompanii państwa, chyba tylko w czasie balu przychodziły na pokoje i brane były do tańca. W domach zaś uboższych powszechnie siadały do stołu razem z państwem i bawiły się w kompanii w pokoju, haftując lub inną robotę robiąc.

Słały łóżko i ubierały panią, a brały często i wyposażenie z garderoby pani.

Ztąd to pozostały potem po dworach i dworkach szlacheckich, kosztowne materye, któremi jeszcze wnuków ubierano lub robiono z nich do kościołów ornaty.

Druga kategorya była panien respektowych. Panny, mniejsze posagi mające, dostawały się do spokrewnionych sobie dworów pańskich i do towarzystwa córek tych pokrewnych rodzin. Panny te nie miały powinności obowiązkowych, jak pierwsze. Stanowiły tylko kompanię córek i brały lekcye z niemi. Dozór nad niemi również należał do ochmistrzyni, lecz ta miała opiekę i nad córkami państwa. W domach zaś gdzie córek dużo było, panien respektowych mniej trzymano; za to w domach bogatych panów a bezdzietnych, większa ich liczba była.

Panien respektowych losem interesowali się państwo; gdy szły za mąż, sprawiano im wesele, dawano wyprawę, a czasem i do posagu się przyczyniano. Dworzan majętnych ze swymi krewnymi imiennikami żenili, a takie połączenie, choć był mały posag, jeżeli kawaler miał rozum, otwierało mu drogę promocyi i wyniesienia.

Otoczenie się młodzieżą szlachecką, choć dużo kosztowało magnata, jednało mu jednak popularność wielką. Tak dworzanin jak i panna, czy to w służbie czy na respekcie zostająca, skoro szła za mąż, jednała dla pana gorącego partyzanta w swoim mężu.

Młodzież także dzieliła się na dworzan i pokojowców, którzy brali »lauf«, czyli jak nazywano »lufę.« Tak jedni jak drudzy, do innej roboty nie byli używani, jak tylko do podania ręki wysiadającej z karety samej pani, zaprowadzenie jej do ławki w kościele lub na pokoje, do asystowania panu lub pani, jadącym w karecie lub konno. Sadzono się w miarę możności na dzielne konie, rzędy i kulbaki kosztowne. Z dworzan rzadko który z panem do stołu siadał, prócz jednego marszałka. Jadali oni przy marszałkowskim stole, do którego

zapraszano i dworzan, przybyłych w gościnę ze swymi panami. Pokojowców zaś powinność była być na zawołanie w pokojach pana, a marszałek miał baczność na konduitę dworzan i pokojowców, jak również i całej służby.

Z takiej to szkoły dworzan możnych panów wracała młodzież do zagród ojczystych, nakarmiona, poduczona i błyszcząca światową ogładą, a co więcej, wsparta łaską pańską, która im i w ciągu całego żywota stała drogą do wszystkich dostojeństw w Rzeczypospolitej, a panom znów, jak powiedziałem, jednała ich popularność.

Jednak jak i dziś się to dzieje, nie wszystka młodzież łatwo przyjmowała te nauki i ogładę. Często ojciec widząc, że syn nie dobrze się na dworze pana wojewody lub pana kasztelana aplikuje, sam go odbierał i pod okiem dopiero swojem kształcił, nie rzadko z pomocą swojej ciężkiej ręki.

II.

Rodziny niemieckie w księztwach Zatorskiem i Oświęcimskiem. — Żywot w wierszach pana Łukasza Gryfa Małachowskiego. — Akt dzierżawy Kossowy i Chrzęstowic. — Stosunek „pana“ do poddanych. — Wdzięczność włościan. — Rodzina bar. Baumów. — Pan Ostrogorski i rymarz podróżny. — Zajazd pani Parysowej i inne.

Znaną była w Księztwie rodzina panów Aichingerów, ludzi możnych i zasłużonych, pisali się z Radoczy i byli własnego herbu. Tak jak oni z Niemiec do Polski przybyli, podobnie i Kraków miał mieszczaństwo napływowo przeważnie niemieckie, które, posiadając prawo nabywania ziemi, nie mało rodów obcych w księztwach osiedliła. I tak w pierwszej już połowie XVI-go wieku spotykam w aktach moich Gutteterów, Waksmanów, Morsztynów, którzy urzędy i rozmaite godności w księztwach posiadali; bo gdzie stan miejski jak w Krakowie

od wieków się wyrobił i właściwą sobie organizacyę rozwinął, miał swoje imiona historyczne, a rodziny ich miały swoje stare dzieje domowe.

Z dawniejszych nieco jeszcze czasów, w korespondencyi p. Andrzeja Żydowskiego, chorążego krakowskiego, dziadka pani Magdaleny Paprockiej, znajduję list JMości pana Łukasza Gryfa Małachowskiego z pod Poznania, pisany w r. 1701, przy którym są i wierszyki opisujące jego żywot. Opis wiernie przedstawia ówczesnego szlachcica-dworaka, żołnierza i bywalca w szerokim świecie, któż wie, czy nawet nie z czasów awanturniczych Jana Kazimierza. Wiersz gładki, znamionujący człowieka religijnego i poczciwego, jednakże nieco za długi, dlatego ustępy tylko z niego jako główną treść przytaczam.

Widać, że pisze już stary człowiek, bo tak go zaczyna:

Czas latami zadawniony
Uważając życia mego,
Myśl obracam w wszystkie strony,
Co mi też w niem najmilszego?

Po tym wstępie wspomina młodość spędzoną w obcych krajach i powiada:

Nad paryskie dziś ulice
Więcej szacuję Hnilice.

I opisawszy wrażenia podróży i sprawy sejmowe, tak dalej opisuje swoje życie:

Kiedy zjazdy panów liczne,
Pięknie było bywać wszędy,
Posłem na rady publiczne,
I tam miewać królów względy.

A doszedłszy już do stanu wojskowego, zdaje się i do rangi rotmistrza, tak znowu powiada:

Rzecz poważna przy buławie
Rotmistrzować podwójnemu,

Pułkiem władnąć w pięknej sławie,
Łaski świadczyć niejednemu.

Każdą zaś zwrotkę kończy powtórzeniem:

Niech się co chce zdaje komu,
Mnie najmilej w własnym domu.

Lubo wiersz ten ma datę w Trzeku pod Poznaniem, widać ze wzmianki ukochanych Hnilic, o których p. rotmistrz wspomina, że odnosi się do Rusi.

.... Teraz mi Hnilickie łany
Milsze niźli buzdygany.

Religijność w autorze jest wielka, bo ciągle zwraca się do Boga i kiedy cieszy się swym własnym domem to powiada:

Chociaż on jest malusieńki,
Mam go całe z Boskiej ręki,
Nie przez figle i chytrości
Do tej przyszedłem własności;
Bóg i poczciwe staranie
Dał mi to małe mieszkanie.

Autor, rozmiłowawszy się w swym, jak powiada »własnym domu«, opisawszy całe życie, maluje początek swej fortuny w ten sposób, jak ona w ogóle, każdemu w rycerskiem rzemiośle wychowanemu szlachcicowi w udziale przypadała.

Azard życia dał początki,
Męztwo z wodzem król szacował,
Ztąd chwalebne pierwsze wziątki,
Resztę Bóg dał, gdym pracował.
Jam się starał, Bóg dał hojnie,
Bym na starość żył spokojnie.

Nareszcie rozrzewniwszy się starzec, kończy swój utwór:

> Widziałem już pół Europy,
> Czas już usiąść w własnym domu,
> Widzieć, liczyć trzody, kopy,
> Bez tęsknicy i bez sromu.
> Póki tchu w mem ciele stanie,
> Będę Cię wielbił mój Panie,
> Żeś przez poczciwe staranie,
> Dał mi to miłe mieszkanie.

W korespondencyi, o której wspomniałem, nie mało znajduje się zajmujących, a może i nieznanych szczegółów, dlatego osobno ją podaję.

Gospodarstwa dawniejsze, pomimo, że nauka agronomii na niskiej stała stopie, i nie było dobrych narzędzi do uprawy roli i czyszczenia zboża, dawały nie złe intraty.

Pan stolnik czy podstoli, sędzia czy chorąży, kochający swoją wioskę, na której żyli przodkowie, wiódł wprawdzie żywot dostatni, ale zawsze wedle swego stanu, nie nadużywając dochodu. Dlatego majątki szły z ojca na syna, lub przez kądziel zmieniały rodzinę i kapitały się składały, ażeby spłacać resztę dzieci.

Gdybyśmy dziś taką miłością ziemi się kierowali i także przestawali na tem co ona nam niesie, to nasze piękne wioski, przechowując w sobie niejedną tradycyę dłuższego posiadania, możeby nie przechodziły tak łatwo i często w obce ręce.

W roku 1774 wypuszcza pani Paprocka synowi Kossowę i Chrzęstowice, gdyż tak przez kilka wieków ten majątek był niepodzielny, w trzyletnią arendę, wyrachowując roczną intratę 8751 Zł. 22 gr. Pozwalam sobie ten układ tu przytoczyć, gdyż daje on wyobrażenie sposobu, w jakim zawierano takie układy i jakie wyrachowywano z majątku intraty.

Objęte w niej jest wszystko, co stanowiło rubryki dochodów, jak: arenda browarniana, komorne z karczmy, czynsze

i spaśne od gromad, które się rachowało 1 zł. od krowy, 15 groszy od jałowizny; pachtu obornego, pachtu od drobiu, jak kur, gęsi, kaczek, od świń; za siano, rachując na wozy, za jarzynę, nawet z ogrodów za przędziwo lniane i konopne, za krescencyę z dwóch ziarn, gdyż trzecie zostawiano na odsiew. Wyspecyfikowano ten dochód tak szczegółowo, że łoju kamień, mięso i porękawiczne wliczono do kontraktu arendy browarnej. Odtrąciwszy jednak od tego ordynaryę p. podstarościemu, salarium i myta służącym, osobno ekspens na potrzeby folwarku t. j. smoła, postronki, żelazo, przytem strąciwszy wypłacanie różnych wyderkaffów podług inwentarza 439 zł. 15 gr. i procenta według fassyi z Kossowy, Chrzęstowic 293 zł. 24 gr. — *in summa Ekspensy Fundi*, 1710 zł. 10½ gr. — wykazany dochód zł. 7041 gr. 11½ stanowił czynsz, za jaki wypuszcza matka synowi ten majątek.

W powinnościach od gromady znajduje się wywóz soli suchodniowej. Prawo, na którem się ten wywóz opierał, nie jest mi wiadome, widzę go jednak powtarzające się od najdawniejszych czasów, a w r. 1742 w powinnościach jest powiedziano: »Sól suchodniową z Wieliczki za dzień pański wywieźć kmiecie wszyscy powinni i oraz ku granicy Szlązkiej zawieźć, kmiecie Chrząstowscy po 3 beczki, Tłuczańscy po beczek dwie swoją mocą brać powinni.«

Wszystkie te powinności, jakie w inwentarzach znachodzimy, stróża dniowego i nocnego, wycinanie przerębli na stawach »bez dnia pańskiego«, i t. p. inne jeszcze powinności, wydają się dziś straszne, a przecież, kiedy się przywiedzie na pamięć, że kmieć miał woły inwentarskie, zagrodnik, chałupnik a nawet komornik miał wszystko, co mu potrzebne było w chałupie, i że cała gromada miała ojcowską opiekę nad sobą, gdzie pan był ludzki i dbał o poddanych — łagodzi się ten stosunek bardzo.

Na dowód tego pozwolę sobie przytoczyć przykład wypuszczenia gruntu, czyli zagrody chłopskiej, w dzierżawę trzy-

letnią, jako świadczący o prawie i postępowaniu ówczesnem dziedzica z włościanami.

Pani Tęgoborska wypuszcza w r. 1742 we wsi Chrzęstowicach »pracowitemu Majchrowi Zabagle, obywatelowi i poddanemu ze wsi Łączan«, rolę pustą nazwaną Ciapówką, w trzechletnią arendę ze wszystkiemi okolicznościami na ten czas do tejże roli należącemi, a to za sumę złotych polskich dwieście czterdzieści, z temi jednak kondycyami, ażeby rolę nawoził i uprawiał według obyczaju gruntów tamtejszych, a ponieważ »pracowity Zabagło« obliguje się teraz swojemi nawozami nawozić, więc na to pozwala mu się słomy do swojej chałupy wywieść. »Płoty zaś, gdziekolwiek ta rola będzie potrzebowała grodzenia, pozwala na nie wielmożna jejmość dziedziczka wywieść chrustu z lasu swego, aby tylko bez wiadomości podstarościego nie brano.« Dalej kontrakt mówi, iż »gdyby miał wolę wyżpomienioną rolę trzymać, lub kogo ze swoich osadzić, za oznajmieniem wielmożnej dziedziczki, jaka wola będzie jej, czyli na czynsz dalszy, czyli to na robociznę według zwyczaju tamecznego, do której według proporcyi inszych ról i pomiarkowania wydzieliłoby się z gruntu pańskiego, aby rola zupełna była i awizować wcześnie powinien«; a nakoniec powiada: »podatki wszystkie dla gromady płacić według zwyczaju tamecznego zupełnie deklaruje się.«

Kontrakta wymownie świadczą o prawie i postępowaniu ówczesnem dziedzica z poddanymi. Tak samo kontrakt zastawny zawarty o tę same w tym roku dobra, tak się wyraża:

»Poddanych, jeżeliby ratunku i załogi na podatki publiczne, oszenki (?), sprzężaje i żywność potrzebowali, tych pan posesor miernie, w wielkie długi nie wchodząc, ratować powinien. Długi jednak od tych poddanych w czasie posesyi, wcześnie sobie wybierać (bydła sprzężajnego nie biorąc) ma, których długów, gdyby poddani dla przypadku jakiego oddać nie mogli, takowe długi, regestrem w gromadzie likwidowane, wielm. dziedziczka *de suo* zapłacić powinna. Poddanych na niezwyczajne robocizny pan posesor wyciągać nie ma, ale ich

według dawnego zwyczaju używać powinien. Podatki Rzeczypospolitej, aby poddani wcześnie oddawali i egzekucyami nie byli aggrawowani, przestrzegać ma.«

Dalej znów powiada:

»*Casus fortuitas*, jako to: nieprzyjaciela koronnego, żołnierza domowego, swawolnych ludzi, powietrza morowego na ludzi i bydło, ogień piorunowy i przechodniowy posesor *cavet.*«

Także i w kontrakcie o arendę browarnianą pani Tęgoborska, sędzina oświęcimska, tak sobie wymawia:

»Starozakonnemu Jakóbowi Abrahamowiczowi w Kossowy mocno się zakazuje borgów gromadzie, tylko pozwala się kmieciom na 3 zł., zagrodnikom na 2 zł. borgować; komornikom i parobkom dworskim bez pozwolenia dworu nie ma nic borgować.«

W lat czterdzieści, kiedy już rząd obcy nastał, znajduję wykaz wymiaru podatku następujący: W r. 1782, 21 gospodarzy w Kossowy mieli pola pod zasiewem 21 kor. 22 garn. i tyleż pod ugorem — siana 37½ wozów z tego podług repartycyi do cyrkułu Wielickiego, a dystryktu Zatorskiego podatku chłopskiego 93 zł. 18 grs. kwartalnie 23 zł. 12 grs. mieli zapłacić, a w dwa lata znów później ta sama gromada Kossowska w roku 1784 płaci to samo, tylko dołączone jest z numeru — tak zwanego »kwaterowego« podatku 12 zł. czyli kwartalnie 3 zł. i cyrkuł ma już być w Myślenicach.

Ta ciągła dbałość o poddanych wytwarzała przywiązanie do dworu, czego ja jeszcze miałem dowód już po sprzedaniu Kossowy w pamiętnym roku 1846, kiedy Galicya zachodnia tyle bolesnych nieszczęść poniosła, tyle rodzin opłakiwało swoich krewnych i przyjaciół.

Będąc uczniem w Krakowie, przechodziłem te straszne wypadki w cyrkule bocheńskim i w samej Bochni. Zostawszy przywieziony przez chłopów, leżałem najprzód z trupami, gdzie składano rannych nie obiecujących życia, a potem, kiedy przekonano się, że jestem do uratowania, leżałem w szpitalu, a w końcu siedziałem w więzieniu. Wina moja nie była wielka,

2*

więc po kilku tygodniach uwolniono mnie i kazano się udać do miejsca urodzenia. Skoro zaś przyjechałem do Wadowic, zaraz starosta tamtejszy, pomimo prośby i słusznego tłómaczenia, że mam ze sobą matkę, osobę wiekową i nieszczęściami, przez które dopiero przeszła, bardzo znękaną i miejsce mego urodzenia od roku do nas już nie należy i teraźniejszy właściciel, pan Mikołaj Dąmbski, tam nie mieszka — odesłano mnie z matką i oddano pod straż wójta.

Pamiętni świeżych okrucieństw, jakie się po wsiach działy, z trwogą poddaliśmy się temu okrutnemu wyrokowi.

Kossowa jednak leżała już w tej części kraju, gdzie spokój był zachowany w ciągu całych tych wypadków, lecz choć o dwie mile je powstrzymano — nie we wszystkich sąsiednich wioskach ten sam był spokój jak w Kossowy, gdzie lud wzorowo się zachowywał. Gdy zaś włościanie Kossowscy zobaczyli nas przywiezionych tak niespodziewanie i tak niemiłosiernie traktowanych — otoczyli nas zaraz najtroskliwszą opieką, a nawet i ofiarnością. Mając zaś pomieszane pojęcia o własności i o prawie, mniemali, że p. Dąmbski, uwięziony z synami w Ołomuńcu, nie powróci już więcej do majątku i im przysłuża prawo wybrać sobie nowego pana; oświadczyli zatem, że mnie wybierają i nie puszczą więcej od siebie.

Przytaczam to na dowód tej wielkiej do nas przychylności i wdzięczności, jaką niewątpliwie tylko za sprawiedliwe obchodzenie się z nimi dla dawnych właścicieli Kossowy zachowali.

Na pierwsze lata nowych rządów w Galicyi dobre rzuca światło karyera młodego wówczas urzędnika br. Bauma.

Cesarz Józef, przyjechawszy do Galicyi, chciał zaraz w pierwszym cyrkule w Myślenicach o potrzebach kraju i o jego stosunkach poinformować się, a szczególnie o nowych reformach, jakie zaprowadzić zamierzał.

Starosta i komisarz, czy zastraszeni pytaniami monarchy, czy też i z natury nie bardzo bystrzy, poczęli bałamutnemi odpowiedziami nudzić cesarza. Usłyszawszy to młodziutki

br. Baum, konceptowy praktykant, poprosił adjutanta, ażeby go przedstawił cesarzowi, gdyż on może zdoła odpowiedzią swoją N. Pana zadowolić. Cesarz pozwolił i przekonawszy się o niepospolitej zdolności młodego człowieka, podniósł go bardzo szybko na wyższy stopień. Byłby on później jeszcze niewątpliwie awansował, jako ulubieniec cesarza Franciszka, gdyby nie zmienne koleje losu. Br. Baum w czasie kongresu wiedeńskiego, naraziwszy się cesarzowi Aleksandrowi przez nieporozumienie z bratem cesarza w. księciem Konstantym, musiał wziąć dymisyę, a zamknąwszy przedwcześnie karyerę urzędniczą, która mu dalszą świetną przyszłość obiecywała, osiadł na starsze swoje lata na wsi, kupiwszy w sąsiedztwie Kossowy wieś Kopytówkę.

Synowie jego, pomimo, że byli wychowywani kosztem rządu, wszyscy okazali się najzacniejszymi obywatelami kraju i gorącymi patryotami. Dosyć wspomnieć śp. Józefa Bauma, wielce szanowanego wiceprezesa Koła polskiego we Wiedniu, jak i brata jego, który, będąc w akademii wojskowej, został skompromitowany książkami i pismami zakazanemi, i tylko tem się uratował od kary, że wszędzie był podpisany nie Baum, ale Drzewicki.

Pamiętam, że moja piastunka, usypiając mnie chłopca kilkuletniego, opowiadała, że w Porembie chowali dziś Pana tak wielkiego, że nawet dzwony powtarzały ciągle: »Baum, Baum!« Na umyśle dziecka tak silne zrobiło wrażenie to piastunki opowiadanie, że dziś sobie jeszcze żywo owego pierwszego bar. Bauma przypominam. Tę samą Kopytówkę, którą później posiadali Baumowie, sprzedała była pani Tęgoborska niejakiemu Ostrogórskiemu.

Szlachcic, choć siedzący na malej wiosce, był niepomierny despota. Często swoją nad stan butą różne ludziom figle płatał i za to dostawał kondemnaty.

Raz, kiedy przed domem swoim na ławce siedział, spostrzegł, że drogą po za bramę wiodącą, idzie ktoś i czapki nie zdjął z głowy. Oburzyło go to i kazał idącego sprowadzić.

Podróżny skłonił się nizko ręką do kolan i z całą pokorą za swoją nieuwagę począł przepraszać i tłomaczyć się, że jest rymarzem i idzie za robotą do Kalwaryi. Nic mu to nie pomogło, nawet na żonę się ofuknął, która wstawiała się za biedakiem, i skazał go na areszt. Osobnego aresztu nie było — zamknięto tedy rymarza do masztarni, gdzie wisiały siodła i uprzęże. Rymarz, ochłonąwszy pomału z przestrachu, począł rozglądać się w swojem czasowem mieszkaniu i myśleć o zemście za swoją krzywdę. Zemsta dla niego była łatwa, bo spostrzegłszy, że jest w masztarni, i że mu nożyka nie odebrano, wziął się do wiszącej uprzęży i tak zręcznie wszystkie spięcia popodpruwał, że oko furmana nie mogło tego poznać. Wysiedziawszy się tak całą dobę w kozie i podziękowawszy po wypuszczeniu za karę panu, jako był obyczaj, odchodząc, powiedział do ludzi:

— Oj! spotkała mnie przygoda niespodziewana, ale i was spotka podobna i popamiętacie rymarza!

Nikt na te słowa na razie nie zwracał uwagi, dopiero, kiedy w parę dni później furman ubrał w nowe szory piękną czwórkę, bo szlachcic kochał się w koniach, a nawet handelek niemi prowadził, i miał jechać do sąsiada — konie pod pierwszym małym pagórkiem w błocie jak na komendę zupełnie się rozsprzęgły.

— O, dla Boga! co to jest? — poczęli państwo wołać i ratować się po kolana w błocie. Rozglądnąwszy się dopiero bliżej temu niezwykłemu wydarzeniu, przypomnieli sobie zagadkowe wyrazy rymarza i łatwo odgadli, że całej tej sprawie on jest winien.

Tego pana Ostrogórskiego, podsędka Oświęcimskiego, wysłał był pan Paprocki w r. 1768 w Podlaskie i w instrukcyi, jaką mu dał, wymienia różne sprawy, a przytem i sprawunki, jakie ma przywieźć.

I tak między innemi interesami powiada: »Śp. ojciec mój pożyczył JM. pani Paprockiej 2000 złp. i w tej sumie miał wypuszczony grunt z poddanymi w Śnieżkach, i ten grunt

przez kilka czasów czasów trzymał, lecz pobiwszy szlachciankę, taż szlachcianka, mając sobie przyznane grzywny, tenże grunt najechała, o czem trzeba się wypytać, kto teraz trzyma, gdyż przez tyle czasów trzymając, już te grzywny odebrała i wrócić powinna albo grunt, albo 2000 złp.«

Sprawunki zaś, jakich żąda pan chorąży, ażeby przywiózł mu z Rusi pan Ostrogórski, wielką wagę miały dla niego, bo nie tylko, że nie mógł ich nabyć w Krakowskiem, ale jako sam pochodząc z Rusi, lubił tamtejsze wyroby.

Pisze zatem: »Sprawunki, aby pokupowane były, zalecam — kożuchy, skórę juchtową na wózek, wosk dla księdza plebana Tłuczańskiego, dziegciu, sukna domowe« dalej »czapek, gdyby się trafiło w pieniądzach, a co pięknego kupić ze dwie.«

Zajazdu wzmiankowanego dokonała pani Parysowa, jak akt świadczy w r.. 1739 »w obecności Imci Pana Buchowieckiego, pisarza ziemskiego Bielskiego, grunt odebrała i sługom pana Paprockiego z obydwóch rąk figi pokazywała i różnie się urągała, i szlachtę winem w karczmie przedtem poiła.«

Takie najazdy często się odbywały, czy to w asystencyi władzy, czy bez niej. Ztąd zapewne znajduję przy opisie drugiego podobnego zajazdu na majątek pana Paprockiego w roku 1742 przez akademią Bialską, która na Rochaczach miała zapis 10.000 złp., taki napis na kwerendzie tej sprawy:

»Statysta na prawa polskie i w. ks. Litewskiego:

Prawa są w Polsce, jako pajęczyna:
Bąk się przebije, a na muchę wina.

Addytament drugiego statysty:

Jak pająk muchę, gdy napadnie skrycie,
Bierze jej wolność, bierze nawet życie,
Tak, gdy mocniejszy napadnie słabszego,
Zgubi fortunę, honor, życie jego.«

Zajazd, uczyniony przez akademię Bialską, choć był także gwałtem, odbył się przy asystencyi sądowej i »panów szlachty«,

której było kilkunastu i jak opis powiada, »mających pistolety na tasaku i krucice w kieszeniach« i oraz z pomocą zbrojną właścicielki Biały, ks. Radziwiłłowy.

To samo się działo i po inne czasy. Nietylko szlachta, ale i możni panowie siebie najeżdżali i walki formalne z sobą staczali. Częstokroć i o bagatele, jak np. o psa myśliwskiego.

Stanisław Stadnicki, starosta Zygwułtowski z Łańcuta, słynny awanturnik, zwany »Djabłem«, kilka lat toczył wojnę zajazdową z Łukaszem Opalińskim, starostą Leżańskim, najeżdżając się aż w r. 1610, pod Tarnowcem ubity został.

III.

Rezydenci i rezydentki. — Jak się bawiono i kochano. — Rozbitki walki narodowej 1830—31 ostatnimi rezydentami. — P. Ignacy Paprocki. — Konwenty rodzinne. — P. Chorąży Kamedułą. — O. Onufry z Kent. — Figiel p. Chorążego.

Pamiętam jeszcze, jak w domu rodziców moich było pełno rezydentów i rezydentek różnych.

Dzielili się oni na dwie kategorye, stale latami przebywających i przyjeżdżających. Ci ostatni, jeżdżąc swemi końmi, bawili czasem i po parę tygodni a nawet i po kilka miesięcy.

Dwór nimi się zaludniał, było w nim zawsze gwarno i wesoło, i nikomu przez myśl nie przeszło, że mu gospodarz nie rad i owsa dla koni żałuje.

Rezydenci tacy składali się z podupadłych krewnych lub z starych wiarusów, którzy po skończonej wojaczce nie chcieli się wziąć do pracy i jeździli od domu do domu, odwiedzając krewnych i przyjaciół. A że fantazya była wielka i humor mieli wyśmienity, bo czasy były swobodniejsze od dzisiejszych i nie było egoizmu — więc wszędzie byli im radzi i nikomu nie zawadzali. Co dziwniejsza, że dwory dawne o wiele od

naszych szczuplejsze, miały dla każdego z nich wygodny kącik. Najprawdziwiej powiedział to Pol, że »dla gościa ściany domu się rozsuwały.«

Czem liczniejszym był dwór i więcej było dzieci, tem więcej też było rezydentów. Sprowadzał ich tam własny interes, gdyż w takim domu lepiej się w licznem towarzystwie bawiono. Taki wujaszek, który często był tylko wujaszkiem honorowym, tak zwanym »drążkowym«, podobnie jak i ciocia, tej samej linii pokrewnej, służyli nieraz młodzieży za powierników w afektach miłośnych i nierzadko patronowali w obec rodziców lub starszych, a czasem w obronie honoru panny z kawalerem krzyżową sztuką się rozprawiali.

Kawalerowie nie unikali domów, gdzie były panny, nie bano się posądzenia rekuzy czyli koszyka, bawiono się więc swobodnie, a gdy się kochano — to już goręcej, niż to się teraz praktykuje, bo nie było potrzeby uganiania za samym tylko posagiem.

Miłość, jeżeli się nie skończyła na ślubnym kobiercu, pozostała często do końca życia — a nieraz koiła się dopiero w ciszy klasztornej. I nie pod jednym habitem zakonnika biło serce zawiedzione. Tajemnica taka życia była szanowaną i choć się jej domyślano, nie mówiono o niej.

Powstanie z r. 1830—1831 ostatnich w Galicyi dostarczyło rezydentów, bo jak nie było prawie rodziny polskiej, którąby w tej walce narodowej czynnego udziału nie brala, tak, skoro się walka skończyła, nie było znów rodziny, której synowie nie poszli w dalekie tułactwo, goszcząc przedtem w dworach szlacheckich. A było wielu i takich, którzy uzyskawszy pozwolenie na dłuższy pobyt w Galicyi, do śmierci tu pozostali.

Imiona tych dłużej bawiących gości, choć już nad nimi mogiła się zieleni, każda rodzina, u której bawili, ze czcią wspomina. Dosyć wspomnieć takich Duninów Stanisława i Karola, Bietkowskiego majora, Marcina Wyleżyńskiego, dłużej bawiących u zacnej rodziny baronów Heydlów na Podolu.

I wielu jeszcze innych im podobnych, jakich każda prawie okolica miała.

Dawniej znów, kiedy jeszcze z powodu trudnych środków komunikacyjnych rzadko mogły tylko dochodzić wiadomości, zasługujące na wiarę, taki gość, przybyły z dalekich okolic, z tem większą witany był radością, bo przywoził różne ciekawe nowinki, które inną drogą nie byłyby nadeszły.

Przed ważniejszemi wypadkami w kraju można było nieraz spotykać po wioskach ubogich podróżnych, handlarzy wędrownych, lub jakiegoś szklarza wprawiającego szyby, albo Węgra z pudłem i olejkami, którzy udzielali dopiero pod wielkim sekretem ważnych wiadomości. A nie rzadko jawił się jakiś zakonnik i ten spełniał powierzoną misyę, lub był tylko posłańcem w habicie zakonnika, gdyż poczty drogie i dalekie, mało były jeszcze używane, a gazet nie było. A więc o wypadkach zaszłych w świecie lub w drugim końcu szerokiej ojczyzny, szczególniej po rozbiorze Polski, dowiadywano się dopiero z ust takich wysłańców lub przejezdnych, zwłaszcza, gdy ci przyjeżdżali z Warszawy lub z Poznania.

W Kossowy przebywał często daleki krewny pana Chorążego podlaskiego, pan Ignacy Paprocki. Nim go śmierć tam zaskoczyła, jeździł to w Podlaskie, w strony swoje rodzinne, to do Wielkopolski, gdyż i tam miał krewnych — i z tych to dalekich peregrynacyj swoich przywoził różne nowinki. I tak raz, kiedy powrócił jesienią z Poznania, przywiózł dopiero wiadomości o powrocie jenerała Dąbrowskiego.

Matka mi mówiła, że gdy to zebranej rodzinie opowiedział, niezmierna radość zapanowała we wszystkich sercach. Starzy i młodzi — wszyscy płakali łzami radości i z ust do ust podawano sobie imię tego wodza. Sąsiedzi z dalekich okolic zjeżdżali się do mego ojca, aby słuchać opowiadania pana Paprockiego, który jako stary żołnierz, nie mogący już swoich sił na usługi powstającej ojczyzny ofiarować, cieszył się tylko szczęśliwym powrotem z dalekiej wojaczki swoich kolegów z pod Dubienki i Racławic.

Postać p. Ignacego Paprockiego miała być prawdziwie żołnierska. Ruchliwy, nie lubiący usiedzieć na jednem miejscu, szukający często zaczepki, szczególnie przy kieliszku — opowiadał z niezrównaną swadą o różnych swoich przygodach, których podobno najczęściej nie było, a słyszał je tylko od swoich kolegów, częstokroć takich samych, jak on pływaczów. Mimo to, wskutek częstego opowiadania zmyślonych przygód — jak się to często zdarza — tak święcie w nie wierzył, że gniewał się na zabój, gdy n. p. powątpiewano, czy był z wielkim konsulem francuzkim w Egipcie i we Włoszech.

Mój dziad, choć nie był wojskowym, lubił jednak takie opowiadania i zawsze przy obiedzie nakręcał rozmowę na te już mu znane przygody p. Ignacego, które zwał wesołemi krotofilami, bo twierdził, że to go w dobry humor wprowadza i obiad mu lepiej smakuje.

Rodziny miewały dawnemi czasy swoje uprzywilejowane klasztory, które albo niegdyś fundowały, albo stale uposażały. Ztąd nasi dziadowie nazywali się dobrodziejami konwentów. Do takich klasztorów w drodze zajeżdżano, w wielkim poście i adwencie w nich rekolekcye i biczowania odprawiano, a w razie wokacyj wstępowano i po śmierci w familijnych lub duchownych grobach się chowano.

Że jednak rodziny czasem odstępowały od tej praktyki, mamy dowód na panu Andrzeju Żydowskim, chorążym. krakowskim, który mimo swojej fundacyi klasztoru OO. Reformatów w Kentach w r. 1701 i fundacyi w tym samym roku swej córki pani Zuzanny Dembińskiej, klasztoru OO. Kapucynów w Krakowie — wolał syna widzieć w innym zakonie i zezwolił na wstąpienie tegoż do OO. Kamedułów na Bielanach.

Co spowodowało Chorążyca do wyboru tej surowej reguły, nie było dobrze rodzinie wiadomo. Dwa jednak podania o tem słyszałem: jedno, że powodem była wielka miłość, której dumny i despotyczny ojciec się sprzeciwił — drugie, że rodzeństwo, które sobie obrało stan zakonny — gdyż i córka pana Chorążego wstąpiła do Wizytek — kochało się bardzo,

i ażeby choć zdala mogli swoje klasztory widzieć, uprosili sobie u rodziców Zwierzyniec i Bielany. Przełożona konwentu Zwierzynieckiego, matka Katarzyna Branicka, pokwitowała też p. Chorążego w r. 1697 z odebranego posagu 18.000 złotych, i tak się w tem pokwitowaniu wyraża: »a to posagu córki JM. a najmilszej siostry naszej Franciszki Katarzyny, kontentując się już tem na wyprawę tak do profesyi jako i do obłóczyn.«

O biednym zaś zakonniku na Bielanach pozostał jako jedyny ślad list jego, pisany do pana Antoniego Żydowskiego, przypominający się bratu o ryby. Widać z niego, że zakonnik, mimo ostrej reguły, nie może jeszcze zapomnieć światowej ogłady i serce wystudzić dla rodziny, bo tak pisze:

»*Mon très chèr Frere!*

Laską WMP. kochanego serdecznie brata deklarowaną mamy, na kopę ryb, to jest karpi i szczupaków. Więc bez naruszenia affektu jego poważam się suplikować o jego asygnacyę, abyś chciał paryerować oneyże.«

Jest w końcu następujące *postscriptum:*

»Jej Mci WM. Pani najniższe zasyłamy usługi; toż czynię i małym Ich Mościom WMC. Pana, adio.«

Z klasztorów, którym reguła pozwala kwestować, braciszek, jeżdżący po dworach, przyjeżdżał śmielej do dworów swoich dobrodziejów. Dłużej w nich bawił i prawie zawsze z uzbieranego zboża w okolicy, lub innych wiktuałów robił w nich składy.

Kossowa należała do takich uprzywilejowanych miejsc, gdzie O. Onufry z Kent, znany ze swej gorliwości kwestarz, dłużej bawił i składał swoje prowianty, a potem pomału zabierał je do klasztoru.

Pan Paprocki lubił go bardzo, bo był wesół i dobrze dotrzymywał kompanii przy kieliszku, a przytem był dbały o dobro klasztoru i przykładny w zachowaniu się jako zakonnik.

Twierdził jednak mój dziad, że O. Onufry miał ciężką rękę, a zapewne doświadczył jej przy biczowaniu.

Postanowił się za to zemścić. Pewnego razu, kiedy braciszek po kilkotygodniowej kweście wracał do klasztoru, spostrzegł pan Paprocki, że poczciwy O. Onufry mało się troszczy o swoje uzbierane wory. Wypłatał mu więc figla, kazał wory w nocy powypróżniać, a nasypać natomiast pośladu i plewy.

O. Onufry, nic się nie domyślając, jaka fatalna zaszła w worach zmiana — popakował je na drugi dzień na wóz i wybrał się do klasztoru.

Nim jednak ruszył z podwórza, pyta się mój dziad:

— A czy wszystko w porządku? Bo ja teraz memu Majchrowi nie bardzo wierzę, a Imci pan podstarości nie bardzo o cudze rzeczy dbały.

— O, proszę pana Chorążego — odparł kwestarz — sam każdy worek widziałem.

— A skoro tak, to dobrze! Jedźcież z Bogiem, a pamiętajcie jeszcze w drodze na wory uważać.

Rzekłszy to, pożegnał pan Paprocki Ojca Onufrego z uśmiechem.

Długo wyczekiwany braciszek, z radością został w konwencie powitany. I kiedy się chwali sowitą ofiarą przed O. Gwardyanem, a ten się go rozpytuje, kto do niej najwięcej się przyczynił, nadchodzi szafarz z niemałym przestrachem i rzecze:

— Toż to oszukaństwo! W kilku worach sam pośład i plewa!

O. Onufry ledwo nie padł trupem z przerażenia i począł się oskarżać, że w Kossowej, mimo napomnienia pana Chorążego, worków nie rewidował.

Gwardyan oburzony, nie czekał dalszego tłomaczenia, tylko wsadził braciszka do karceru.

Nie długo jednak trwała rozpacz poczciwego O. Onufrego i zmartwienie w klasztorze, bo zaraz na drugi dzień przyszedł transport z Kossowej z prawdziwem zbożem.

IV.

Wpływ dworu na chatę. — Wyprawa młodzieńców do szkół do Lwowa. — Podróż mej babki z Drohowyża do Krakowa. — Chybione powołanie.

Cywilizacya dzisiejsza, która jednych naprzód posunęła, a drugich, jeźli nie cofnęła, to przynajmniej w tem samem zostawiła miejscu, zrobiła w pojęciach jednych, a drugich wielki przedział i przerwała dawny harmonijny stosunek dworu z kościołem i chatą. Stało się to niewątpliwie ze szkodą narodu. Dawniejsze pojęcia i dawniejsze obyczaje dworu, łatwiej przechodziły do ludu. Taka pani chorążyna, czy też pani podstolina, będąc sama skrzętną gosposią, miała ciągły stosunek nietylko ze swoją czeladką, ale i z gromadą. Wieś i parafia były dla niej najczęściej całym światem. Do takiej pani udawano się w potrzebie po radę, czeladź zbierała się do dworu na modlitwę i razem z swem państwem korzyła się przed Bogiem. Słowem nasze prababki przy mniejszej swojej oświacie, a większej religijności, lepiej od nas znały swój wioskowy ludek, jego zwyczaje, przywary, zabobony i przesądy, umiały skuteczniej z niemi walczyć, a swoją prostotą, dobrocią i dobrym przykładem, więcej go może oświecały i umoralniały, niż my to czynimy przez samą naukę w szkole.

Z zaprowadzeniem nowych rządów w Galicyi, nietylko dawne stosunki administracyjne uległy zmianie, ale i sposób kształcenia młodzieży został znacznie zmieniony. Profesorowie brali młodzież na stancyę, albo też rodzice, wyprawiając synów do szkoły, formowali dla nich osobne gospodarstwa.

Taką wyprawę, jako »Expens szkolną« z końca przeszłego wieku, gdyż tak ją mój dziad Domicyusz Wybranowski, stolnik lubelski, własnoręcznie napisawszy zatytułował, podaję tu z jego zapisków.

Pod koniec swojego życia pan stolnik mieszkał w Drohowyżu, trzymając w dzierżawie dawne starostwo panów Rzewuskich od pani marszałkowej Rzewuskiej. Z Drohowyża więc

wyprawia trzech synów do Lwowa w r. 1795, 10. 7bra taką expens przedstawia na »pierwsze trzy miesiące«:

Od najęcia stancyi na pół roku . .	306 fl.	—	gr.
12 par nożów stołowych	14 „	—	„
12 łyżek	6 „	—	„
Szczotka do zamiatania	2 „	12	„
Za obrus i serwety	21 „	10	„
Za łyżkę dużą	2 „	—	„
Za książki niemieckie i francuzkie .	35 „	—	„
Za zwierciadło	4 „	—	„
Za świece	3 „	15	„.
Na półroczną expens dałem . . .	35 „	—	„
Za druszlak i tarko	3 „	12	„
Za tuzin farfurek	9 „	—	„
Mikołaj expensował na różne . . .	8 „	10	„
Na komedye dzieciom	4 „	20	„
Od spuszczenia włosów	1 „	10	„
Za korzenie różne	7 „	—	„
Za czapkę granatową	8 „	—	„
Za guziki do 3 kapot i sprzączki .	7 „	6	„
Panu Instruktorowi Tarnawskiemu .	18 „	—	„
Kucharzowi zasług	34 „	—	„
Krawcowi od sporządzenia kapot . .	7 „	—	„
Zasług P. Rodu	60 „	—	„
Na półroczną expens dałem	21 „	—	„
Detto. Detto	7 „	—	„
Drew fur 26 a 4 zł.	104 „	—	„

Widać ztąd, że wyposażenie to, jest urządzeniem całego mieszkania dla synów, a oprócz kucharza i starego Mikołaja, który miał opiekę nad paniczami — mieli panicze jeszcze jakiegoś Francuza i pana »Instruktora Tarnawskiego.«

Dalej jeszcze następuje notatka szczegółowa z tego samego dnia rzeczy i wiktuałów przywiezionych z Drohowyża: »lichtarz 1, szczypce 1, półmiski 4, talerzy 6, misa 1, rondli 3,

różni 1, stolniczka 1, nożów par 12, łyżek 12, szklanek 6, butel szklanny 1, obrusów 2, serwet 12. — Legominy; mąki pszenny 16 gar., jęczmienny 16 gar., krup hreczanych 26 gar., grochu 4 gar., fasoli 2 gar., 1 beczka soli, 1 ćwierć masła, 1 ćwierć omasty, 1 sera słonego, 10 kur, 3 fury drew, 1 garnuszek miodu, 1 baryłka barszczu, 2 wianki cebuli, 2 gar. krupek drobnych, 1 cebrzyk, 2 konewki, 1 beczka na wodę, 1 beczka na barszcz, 3 gar. siemienia konopnego. Mikołajowi dałem 14 fl., I. Tarnawskiemu 28 fl., świec łojowych 30, garnuszek powideł. — Na expens dałem instruktorowi 35 fl.«

Układ zaś o dzierżawę starostwa drohowyzkiego był już widać wspólny z rządem, bo pan stolnik płacił czynsz roczny 14.473 zł. czyli rachując dukat holenderski 18 zł. jak w owe czasy się liczył — połowę do skarbu cesarskiego, a do kasy pani marszałkowej 804 dukatów w złocie.

Po śmierci pana stolnika ośm lat do r. 1804 trzymała Drohowyż babka moja, gdzie już i ojciec mój, wyszedłszy ze szkół, pomagał jej, i o nim to ksiądz kanonik Mikołaj Wybranowski pisząc z Krakowa dnia 14 Sierpnia 1803 do babki tak się wyraża:

»I pana Antoniego, godnego jej syna, tem więcej szacuję, z własnego matki zaświadczenia, że jej jest na pomocy.«

W liście tym, zaczynającym się tytułem »Madame«, tłomaczy się ksiądz oficyał bardzo serdecznie, dlaczego na list pisany przed sześciu laty nie odpowiedział i wspomina o śmierci jej ojca pana Michała Deszerta.

Ojcu mojemu widać było przeznaczone mieszkać dwoma zawodami w Krakowskiem, a potem w lat kilkadziesiąt tam umrzeć, gdyż ksiądz oficyał, do którego po śmierci męża w r. 1797 udała się babka moja, jako do krewnego, ażeby nie odmówił opieki i doniósł o stopniu pokrewieństwa, choć nie zaraz, jak widzieliśmy, odpowiedział, polubił jednak bardzo mojego ojca i obdarował go zapisem 100.000 zł. na wsi Lgocie w dawnem księstwie Zatorskiem.

Serdeczny stosunek, jaki się zawiązał z dalekim krewnym, wymagał i wizyty mojej babki w Krakowie, ażeby podziękowała za łaskawe serce dla syna i resztę dzieci, jak i siebie przedstawiła.

Długo jednak przygotowywała się ta podróż, bo była to droga na owe czasy bardzo daleka dla samej kobiety z drobnemi dziećmi. Mnożyła ona wiele trudności i niemało rodziła obaw. Po wielu więc dopiero zachodach, naradach i kłopotach, wybrała się w końcu babka do Krakowa.

Podróż szła powoli. Jechało się, jak to mówiono dawniej, rzemiennym dyszlem, wstępując do krewnych i znajomych.

Przeznaczona do drogi kareta, potrzebowała także pierwej dłuższej reperacyi i odnowy, którą dokonał z wielkiem zadowoleniem majster nadworny w Rozdole panów Rzewuskich za 100 fl. Również i pięć koni przeznaczonych do karety, długo się dobierało i ujeżdżało, ażeby były pewne i wytrwałe w drodze. Tak samo i trzy konie do bryki, która szła z kuchnią i rzeczami, jak i koń pod kozaka, który jechał przodem, były pierwej wypróbowane. Szczególniej koń pod kozakiem miał być takiej zwinności i urody, że w Krakowie wzbudził podziwienie.

Kiedy tak wszystko do podróży było już gotowe, wyjechano z Drohowyża po rannem nabożeństwie w Mikołajowie na noc do Barańczyc, do państwa Borkowskich, z którymi babkę moją nietylko zażyłość, ale i powinowactwo przez podkomorzych Zielonków z Deszertami łączyło. Ztamtąd jechano na Miękisz, Kolbuszowę, gdyż wszędzie chciano kogoś odwiedzić, a potem do Łańcuta, gdzie znów u kasztelana Połonieckiego, p. Piusa Kicińskiego, podówczas jeneralnego pełnomocnika księżny Lubomirskiej, parę dni zabawiono. Był on szwagrem brata mojej babki. Tak wstępując po drodze, ażeby uniknąć niewygód i większego umęczenia, a przytem i przyjaciół odwiedzić, stanęła babka dopiero w Krakowie 10-go dnia po wyjeździe z domu.

Tu zaraz, dowiedziawszy się o przybyciu Imci pan Strachowski, marszałek księdza kanonika, przyszedł powitać w imie-

niu swego pana i zaprosił na drugi dzień na obiad, gdyż staruszek z nogami obrzękłemi nie wiele mógł chodzić. Uprzejmie przyjęta babka, wyżej tygodnia bawiła w Krakowie. Czas zbiegł jej prędko. Zastała pod tę porę u księdza kanonika bliskiego jego krewnego z Lubelskiego, pana Wybranowskiego z córkami, który się jej bardzo podobał. Przytem dostojny prałat starał się uprzyjemnić pobyt, a nie mogąc sam towarzyszyć w zwiedzaniu osobliwości Krakowa, polecił swemu kapelanowi, ażeby babkę wszędzie oprowadził i ułatwił.

Na tej samej ulicy św. Józefa, gdzie matka moja stanęła w domu zajezdnym pod »Białym orłem«, wstąpiła co tylko była do klasztoru PP. Bernardynek — jej rodzona siostrzenica, panna Wierzbowska. Religijność wielka tej młodej panienki spowodowała ową jej wokacyą, gdyż nim wstąpiła do klasztoru, ślubowała pierwej, że Częstochowę odwiedzi piechotą i ostatnią milę przed Jasną Górą odbędzie na klęczkach. Postanowienie takie ciężkie, opłaciła zdrowiem, szczególnie mocnem poranieniem kolan. Również bytność babki u księdza oficyała, rozstrzygnęła zapewne i los drugiego jej syna, pana Józefa, gdyż matka długo się sprzeciwiała jego wstąpieniu do stanu duchownego. Dopiero bytność w Krakowie ostatecznie to zadecydowała. Było to jednak dobre przeczucie matki — że dla młodzieńca z naturą bardzo żywą, z umysłem rozwiniętym i więcej niestałym i fantastycznym, jak z zimną rozwagą, ten stan nie był odpowiedni i dlatego długo się temu postanowieniu syna sprzeciwiała.

Ksiądz Józef, mając protekcyę w księdzu biskupie Cieciszewskim, był przy nim kapelanem i byłby z pewnością przy swoich wielkich zdolnościach i znakomitej nauce zastąpił kiedyś jego miejsce, z pożytkiem dla Kościoła, a chlubą dla rodziny, gdyby nie wcześnie powstałe niezadowolenie, które pomimo rad i upewnień matki i księdza biskupa życie mu zakwasiło, i potem, w samym prawie najpiękniejszym wieku, śmierć przedwczesną sprowadziło.

Nieraz, kiedy biedna matka sądziła, że jej syn przykładnie w swoim pokoju czas trawi na rozmyślaniu albo na modlitwie — on wtenczas zaszedłszy do panien, swoich kuzynek, krotofile stroił i zakasawszy sutannę, w najlepsze hulał. Tak, jak pierwej stryj jego, kawaler, pan Piotr, był dla swego wesołego humoru ulubieńcem zabaw i w sąsiedztwie Derżowa w Żulinie, u państwa kasztelaństwa Młockich, częstym bywał gościem — tak później i ks. Józef w tym sámym wesołym Żulinie, słynnym ze swoich zabaw, teatrów amatorskich i niezmiernej gościnności gospodarstwa, nieraz w nieodpowiednej przyszłemu swemu stanowi roli kochanka występował.

To pewna, że religijność w dawnych czasach była o wiele większa niż dziś, lecz skrupuł w oglądaniu się na inklinacye dzieci przy wybieraniu im stanu duchownego, był mniejszy. Wszystko się działo po woli rodziców lub starszych, a skutkiem tego było częstokroć niezadowolenie, a nawet zmartwienie ciężkie.

V.

Dawne przechody wojsk. — Szkody czynione ludności wiejskiej. — Skargi poszkodowanych. — Reklamacye wojsk o rekompensę. — Wiarusy napoleońscy z legionów i z wojny narodowej 1830—1831. — Pułkownik Wybranowski. — Jak się wymykano przez Wisłę. — Kapitanowie, Wróblewski, Bieńkowski. — Zakończenie.

Lecz powracam znów do »teki Pana Chorążego krakowskiego«, do czasów obydwu Sasów i początku panowania Stanisława Augusta.

Trakt wielki, idący przez księstwa, był ciągłą widownią nie tylko przejazdu panów różnych, ale i niemałego przechodu wojsk obcych i koronnych, tak w czasie panowania Augustów, jak i wyprawy wiedeńskiej. Wynikały ztąd częste nadużycia i klęski rozmaite, ale wszędzie spotyka się stosunek łagodniejszy, niż na Ukrainie i Podolu, zawichrzanych usta-

wicznemi buntami, i widzi się opiekę rządu nad chłopami, kiedy ci czemśkolwiek są uciśnieni.

Taką to skargę z r. 1683 wniesioną przez chłopów ze wsi Łęki w starostwie oświęcimskiem do grodu oświęcimskiego, o poczynione im szkody przez wojska koronne, mam przed sobą, i jako dowód tej troskliwości i traktowania takich spraw, niektóre ustępy tu przytaczam.

Zaczyna się ona wyliczeniem szkód przez chorągiew Jego Mości P. Armasza, rotmistrza Jaśnie Wielmożnego Jego Mości Pana hetmana W. K. w sobotę po narodzeniu N. P. M. blisko przyszłą poczynionych. »Najprzód tedy — mówi skarga — zjechało się koni dwadzieścia *plus minus* i różne ekscesa poczyniwszy, do komór się dobywając i ludzi bijąc, sami sobie brali różne prowianty, i do wsi Bielan wieść kazali. Jakoż musieliśmy im odwieść, to jest różnego zboża korcy czterdzieści, rachując *ad minus* korzec czterdziestu groszy kęckich, nietylko zboże, ser, masło, jaja, chleb, siano, ale i statki gospodarskie, bo pan porucznik zdjął koło od wozu Waszatkowi, kmiotkowi, które kosztuje *ad minus* złotych półtora. Lubo żyto droższe było, uczyni to złotych pięćdziesiąt trzy i groszy dziesięć, serów pięćdziesiąt, ser *ad minus* rachując po groszy czterech, *facit* złotych siedem« — i tak wyliczając wszystkie swoje szkody, powiada dalej skarga: »Mamy też od inszych chorągwi nieznośne szkody, gdzie i trzy dni w naszej wsi stojąc, prowianty różne i napoje musieliśmy im dawać, tylko żeśmy ubodzy ludzie, przy naszej mizeryey tegośmy nie uważali, aniśmy wiedzieć nie mogli, czyje chorągwie szkodę czyniły — aniśmy mieli też takiego, który w tej naszej mizeryey mógł nam dodać rady.«

Skarga ta oblatowana jest w grodzie Oświęcimskim, a podpisał ją »Stanisław Nielepiec«, zapewne podstarości, bo na elekcyą Augusta II. na sejmiku w Zatorze między posłami jest JW. Pan Józef Nielepiec wybrany. Szkód, o których powyżej mowa, kazano dochodzić i obiecano powrócić.

Jakżeż nie miały wojska koronne szkody mieszkańcom robić, kiedy ciągle mając niewypłacany żołd, doprosić się

o niego nie mogły. Dopiero komisya zebrana we Lwowie w r. 1697, do której należy pan Chorąży krakowski, a marszałkiem był Nikodem Żaboklicki, kasztelan Kamieniecki, wyznaczoną była do rozdania wojsku milionów, deklarowanych przez Augusta II. przy elekcyi przez *pacta conventa.* Wówczas to chorągwie odebrały zaległe pensye przez swoich deputatów, t. j. delegowanych do tego chorążych lub poruczników.

Ale już w trzy lata później, we Lwowie d. 30 Listopada 1700 r., hetman W. K. i kasztelan krakowski, Stanisław Jabłonowski, podpisuje instrukcyę »Ich Mościom Panom Janowi Krosnowskiemu, Chorążemu Podolskiemu Najjaśniejszego Królewicza Imci Aleksandra, Imci Panu Adamowi Olizarowi Stolnikowi Wołyńskiemu, Jaśnie Wielmożnego Imci Pana Wojewody Bełzkiego chorągwi Ussarskich porucznikom, i Imci Zygmuntowi Kamińskiemu, Podczaszemu Nowogrodzkiemu, Obersztowi JK. Mci komisarzom od wojska JK. Mci, i Rzplitej konnego, pieszego i dragońskiego na Trybunał skarbowy Radomski, obranym w kole generalnym wojskowym« — w której po wstępie dość długim tak mówi:

»Opowiedzą przy tem Ich Mość Panowie komisarze Nasi nie mały żal nasz Prześwietnemu Trybunałowi Radomskiemu, Naszym wielce Mciwym Panom, że tak długi czas będąc *in expectativa* w należytem posłuszeństwie i cierpliwości, żadnej się w krwawych zasługach Naszych doczekać nie możemy rekompensy i ukontentowania. W tym roku trzy razy Ich Mościów Panów deputatów od chorągwi Naszych z tak dalekiego kraju wysyłamy do Radomia z niemałą krzywdą naszą (bo im to nagrodzić powinniśmy), a bez żadnego skutku *de se instar mercedis* powracają.«

W dalszym ciągu powiada zaś instrukcya: »a że nam tu donoszą Ich MM. Panowie deputaci nasi, że Prześwietny Trybunał Radomski affektował traktatu z nami, abyśmy ustąpili krwawych zasług naszych za poczynione szkody różnemi czasy przez wojsko, zaczem Ich MM. Panowie komisarze nasi *exponent* Prześwietnemu Trybunałowi Radomskiemu Naszym

wielce Mściwym Panom zgodną naszą w tej mierze deklaracyą, że na Traktat takowy pozwolić nie możemy, a to *ex his rationibus:* pierwsza, żeśmy już weszli w sądy, ponieważ tak wiele dekretów stanęło w sądach wojskowych, i w innych subseliach — druga, że tak wiele spraw i pretensyj *per complanationes* zagodziliśmy płacąc to hibernami, to zasługami, to gotowizną; — trzecia, że ledwie nie trzecia część wojska koronnego nie tylko nie była w związku, ale i konsistencyey *in visceribus* Polski nie miało, zostawając ustawicznie i zimą i latem *in excubiis*, na pasach pogranicznych. Jednakowoż do sądów stawać oświadczamy się, dufając łasce i respektowi Ich Mciów Naszych wielce Mościwych Panów i zasłużeniu naszemu i t. p.«

Ciekawy ten dokument, malujący nam ówczesny stan Rzplitej i wojska, które musiało często sejmować i parlamentować po trybunałach i sejmach, nim swoje — jak się wyraża — »krwawe zasługi« odebrało, kończy się następującem oświadczeniem:

»Nieodmienną wierność, stateczną życzliwość i zasługi nasze JK. Mci Panu Naszemu Mływemu i całej Rzplitej konsekrujemy, i jakeśmy przez tak wiele lat i odprawione kampanie *glorias suas defuisse, nihil obstitisse virtuti* pokazali, tak i w dalszych Rzpltej koniunkturach przyrzekamy JK. Mci Panu Naszemu Mływemu i całej Rzplitej *reverentiam et amorem*, wodzom swoim *obedientiam.*« Podpis i pieczęć hetmana.

To samo wojsko przez długie wieki, pomimo swojej niekarności i swego sejmikowania, tysiące cudów dokazywało, a w końcu jeszcze, przy upadku Rzeczypospolitej, prawie w całym świecie, bo od piramid egipskich, aż po mury Moskwy, zasłynęło. Ci sami wreszcie waleczni żołnierze, wróciwszy do kraju, wytworzyli pod W. Ks. Konstantym w Warszawie najpiękniejszą armię, jaką dotąd znano, a którą książę, ćwicząc ją na Saskim placu, bawił się jak lalkami. Stanąwszy potem do wojny z trzy razy od siebie silniejszym nieprzyjacielem, potykała się ta armia bohatersko, i gdyby nie kłótnie, prywata i zawiść, byłaby go pokonała.

Jak wiele rodzin, tak i moja z tej smutnej, choć wielkiej sławy epoki świetnych walk Napoleona I. i narodowego powstania 1830—31 r. miała swoich zasłużonych ludzi. Dlatego pozwolę sobie wspomnieć tu o stryju moim, pułkowniku Wybranowskim, bo jego miłą i ujmującą postać wielu jeszcze ludzi ma w pamięci. Na pierwszy rzut oka poznać w nim można było wojaka. Wyprostowany — choć głowa białym włosem okryta — chód równy, twarz bez wąsów z krótkiemi francuzkiemi faworytami — chustka czarna, gładko jak do munduru zawiązana i złoty kólczyk w uchu.

Taka była postawa stryja mego Romana, w całym znaczeniu tego słowa, żołnierza z epoki Napoleona I. a później W. księcia Konstantego w Warszawie.

W 20 roku życia, służąc pod pułkownikiem Strzyżowskim, został już za waleczność w bitwie pod Wieniawką (26 Lipca 1809 r.) krzyżem *virtuti militari* ozdobiony.

O tem pierwszem odznaczeniu młodziutkiego oficera, donosił pan Józef Deszert, b. sekretarz króla Stanisława Augusta, swej siostrze temi słowy:

»Przybył do nas Romanek z Warszawy, ozdobiony krzyżem wojskowym, który w sierpniu szczególną otrzymał dystynkcyą na rewii całego garnizonu pod Warszawą, którą książę, wódz naczelny, w przytomności przejeżdżającego do Petersburga jenerała i posła saskiego odprawiał. Po skończonych manewrach, książę w obecności jenerałów, całego sztabu i innych oficerów, wezwawszy na placu Romanka, oświadczył, że zasłużona sprawiedliwie przez niego nagroda, gdy go dotąd nie doszła, miło mu jest publicznie oddać w patencie królewskim, któren z rąk jego odbiera. Rzadko kto w młodym wieku tak szczęśliwy, ażeby mimo intryg i naprzykszania się na podobną zasłużył nagrodę.«

Nie małe potem musiały być zasługi wojskowe i poważanie młodego oficera, kiedy w r. 1814 w powrocie do kraju, jako kapitanowi adjutanta-majora, powierzono komendę straży

honorowej, gdy trumnę ze zwłokami naczelnego wodza odprowadzano do Krakowa.

Przedtem jeszcze w kampanii z r. 1812, za odznaczenie się pod Mozajskiem otrzymał od Napoleona I. krzyż Legii honorowej — a w r. 1829 jako podpułkownik w pułku 6-ym Grenadyerów dostał odznakę dwudziestoletniej służby, złotą cyfrę Rzymską na ponsowej wstążce.

Prześladowanie, a więcej jeszcze brutalne traktowanie przez W. księcia Konstantego Wojska Polskiego, zniewalało wielu wojskowych do usunięcia się od służby. Stryj mój z wrodzoną łagodnością i taktem, umiał wytrwać i awansować.

W kampanii roku 1831 na polu bitwy pod Grochowem objął komendę 6-go pułku i na czele jego brał udział we wszystkich ważniejszych bitwach i potyczkach, a pod Białąłęką otrzymał krzyż kawalerski zasługi wojskowej. Nieszczęśliwy dopiero koniec wojny, zamknął i dla niego dalszą drogę obranego zawodu.

W czasie powstania, Austrya rozciągnęła była wzdłuż całej granicy silny kordon wojskowy, aby tamować ciągłą przeprawę do Królestwa, a po ukończeniu powstania, wstrzymać emigracyę za granicą. Chodziło również o powstrzymanie silnej cholery, jaka w Królestwie wówczas się srożyła.

W Chrząstowicach i w całej tej okolicy, stał podówczas pułk włoski, gdzie i wielu oficerów było Włochów. Ludzie ci, oprócz wyniszczenia kotów i żab, które smacznie zajadali, nikomu nic złego nie robili, owszem, gdzie mogli, to pomagali. Dla wygody wojska, nakazał rząd pobudować wygodne na granicy baraki, które stały w pewnej od siebie odległości. Przy tak więc obsadzonej granicy, trudna była przeprawa przez Wisłę; trzeba było zawsze jakiegoś fortelu, ażeby czujną uwagę licznych patroli odwrócić. Robiono więc tysiączne figle.

Raz, mając moi bracia przeprawiać więcej osób, ułożyli z panem Kwiecińskim, dzierżawcą Chrząstowic, następującego figla. Do deski, formującej czólno, przymocowano za nóżki kota, dano mu zapaloną latarnię, i tak w nocy puszczono na wodę. Kot miauczał nielitościwie; to obudziło czujność

straży, a że światło zamiast ułatwić rozpoznanie przedmiotu, w ciemnej nocy, w oddaleniu, jeszcze patrzenie utrudniało — więc uderzono na alarm na całej przestrzeni granicy w Chrząstowicach. Poczęto strzelać do płynącego czółna i straż skupiła się w jednym punkcie. Ze skupienia tego skorzystano właśnie, i w długim punkcie bracia moi z panem Kwiecińskim jak najwygodniej gości Kossowskich przez Wisłę przeprawili.

Dziś już nietylko o walecznych rycerzach dawnej, pełnej chwały przeszłości, ale i o dzielnych wiarusach z legionów i z powstania r. 1831 pamięć się zaciera. Młodszym nawet trudno już sobie wyobrazić te piękne, marsowe postacie dawnych legionistów. Bo był to dzielny typ żołnierza, który z nimi razem prawie poszedł do grobu. A była to także i epoka, w której łatwiej było o oryginałów, niż dzisiaj.

Słyszałem opowiadanie mojego stryja, że za czasów Księstwa Warszawskiego żył w Warszawie kapitan Wróblewski, żołnierz z pierwszych legionów z pod Piramid i St. Domingo, który tak był lubiony od wojskowych, że codziennie do któregoś zapraszanym był na obiad, ażeby opowiadał swoje rozmaite przygody. W opowiadaniu miał być niezrównanym, istny poeta, bo komponował rzeczy, które jego bujna fantazya mu tworzyła, choć one nigdy nie istniały — a czynił to tak zajmująco i umiał tym przygodom nadawać taką cechę prawdy, że na chwilę mimowoli każdy w nie wierzył i z natężeniem słuchał.

Takiego kłamcę, a mimo to także dzielnego żołnierza, kapitana Bieńkowskiego, sam znałem. Przy schyłku życia, dał mu dworek, t. j. gracyę, hr. Potocki w swoich dobrach pod Lwowem w Dźwinogrodzie, jako swemu z jednego pułku koledze i towarzyszowi w niewoli po kampanii 1812 r.

Pełno jego anegdot wszędzie kursowało. Słyszałem go np. opowiadającego, że kiedy był w Hiszpanii, zajechał na taką górę, iż koń nagle stanął jak wryty, i kiedy chcąc ruszyć, dał mu ostrogę — koń skoczył, lecz wszystkie cztery podkowy zostały przy ziemi.

— Bo była to góra mospanie magnesowa — kończył swe opowiadanie kapitan Bieńkowski.

To znów, kiedy była mowa o starych miodach, on opowiadał, że będąc w marszu do Moskwy, stał kwaterą na Litwie u księdza. »Wioska nie wielka, mospanie, plebania jak kurnik, aniś mógł przewidzieć, jaka przygoda cię spotka. Otóż, mospanie, kiedy ksiądz rozochocił się i począł oficerów raczyć doskonałemi nalewkami, tak na końcu wydobył, mospanie, butelkę starego miodu. Fiu! Butelka ogromnie omszona, a skoro z niej dał nam po sporym kieliszku, zaraz nas senność opanowała. Poszliśmy spać — no, i cóż Asaństwo na to powiecie, że ja w nocy, uczuwszy małe wstrząśnienie, znalazłem się nagle w łóżku mego kolegi — a kolega w mojem. Miód przerzucił nami, mospanie, jak piłkami, i to przez dosyć szeroki pokój. Ba, ale był stary!«

Raz trafił na żartownisia, który się także puścił na opowiadanie dziwacznych przygód. Anegdota była taka, że oficer pewien w Hiszpanii miał faworyta charta, który zawsze w otworze armatnim sypiał.

— Chart ten — opowiadał żartowniś — tak był lotny, iż kiedy raz niespodziewanie kazano dać ognia, chart, przebudzony wylatującą kulą, począł przed nią uciekać, i jeszcze obracając się warczał na nią, że go goniła. I co pan kapitan powie — kończył żartowniś — chart uciekł!

— A, mospanie, to nieprawda, to być nie może! Asan ze mnie żartujesz.

— Nie wiem, nie byłem przy tem, ale słyszałem to od kolegi pana Kapitana z Hiszpanii, od pana Ancuty.

... I znowu odbiegłem daleko od pana Chorążego i jego teki. Lecz ta barwna przeszłość, tak się spływa w duszy w jeden obraz, w jedną przecudną mozaikę, że mimowoli przeskakuje pamięć całe lata i wieki, i sercem gorącem lgnie do wszystkiego, i chciałaby jakiemś czarownem zaklęciem wrócić wszystkiemu ruch i życie i wskrzesić choć na chwilę to, co już na wieki minęło...

ZE STARYCH WSPOMNIEŃ.

„Gdzie jesteś czasie ojców, jeszcześ niedaleki,
A zda się, że Ciebie dzielą setne wieki.“

(Dworzec mojego Dziadka. — Fr. Morawski.

Piękne są dni dziecińśtwa — pierwsze lata młodości człowieka — w których wszystkie wrażenia silnie zarysowują się w pamięci. Dziś po latach wielu, chociaż głowa już osiwiała, z żywością niezwykłą przypominam sobie każdy najdrobniejszy z owych lat uroczych szczegół. Widzę przed sobą te dawne już ubiegłe chwile, jak gdyby one wczoraj się działy, tonę myślą i sercem w ukochanej gorąco przeszłości, zbieram wspomnienia, zachowane w pamięci, uzupełniam je tem, czego mi dostarczają skromne materyały, z których mogę korzystać i spisuję to wszystko tutaj w tem przekonaniu, że nikomu nie będą obojętne tradycye rodzinne, które wiążą się ściśle z dziejami naszego narodu, uzupełniają je, wyjaśniają i uwydatniają ich charakterystyczne znamiona.

Jakże mi jasno stoi przed oczami ta postać babki, klęczącej przed ołtarzem z książką w ręku i odmawiającej wspólnie z całą służbą wieczorne modlitwy. Słuchając *Gorżkich żalów* widziałem nieraz u piastunek moich łzę w oku, a wtedy i ja sam gorąco się modliłem, składając nabożnie małe rączęta, choć jeszcze znaczenia modlitwy nie znałem, i nawet o co się modlę i za co Bogu dziękuję, dobrze nie wiedziałem. Zapewne jednak miłe musiały być Bogu te gorące i czyste modły dziecięcia, jeżeli ich wysłuchał i dozwolił, że życie moje przeszło

bez gwałtownych wstrząśnień, bez bolów i ciężkich wypadków, za co niech będzie dzisiaj pochwalona święta wola Twoja Panie!

Czasem znów przypominam sobie swoją starą piastunkę, która mi rozliczne bajki opowiadała o »zaklętych zamkach«, o »szklanych górach« i o rycerzu w zbroje zakutym na karym koniu, który dla zmylenia pogoni kazał pokuć konie wywróconemi wspak podkowami, a ludzie to miejsce, gdzie konie kuto, nazwali *Zatorem* — i zdaje mi się wówczas, że ją widzę, siedzącą ze mną w garderobie, gdzie co wieczór zasiadały »prządki« z kądzielą i zbierała się inna służba i opowiadano przeróżne bajki, które mnie niezmiernie zajmowały i najżywszą budziły ciekawość.

Podania w ustach ludu są trwalsze i starsze od niejednej pisemnej kroniki. Pamięć o owym rycerzu tylko u ludu się przechowała, a przecież mogła być prawdziwem wydarzeniem, i późniejsze miasto »Zator« mogło istotnie od tego wypadku otrzymać nazwisko.

Obok kaplicy w Kossowej była sala jadalna, w której się najczęściej bawiłem i jadłem gotowane śniadanie, bo w owym czasie dzieciom zamiast kawy lub herbaty, dawano wodziankę, albo zacierkę na wodzie, a czasem na mleku. Pamiętam, jak nieraz łzami się oblewałem, kiedy mnie do tej sali prowadzono na kolacyę, gdyż i kolacya składała się z tych samych co śniadanie dań, tylko, że do wazy był jeszcze dodany półmisek z kaszą lub inną potrawą. Łzy te wyciskało zimno, które w sali tej, pomimo ogromnego pieca, panowało. Na oknach, grubo śniegiem namarzniętych, rysowałem desenie, a kiedym się skarżył z płaczem na wielkie zimno, stary lokaj Kasperek odpowiadał: »Pfe paniczu, wstyd, pan Chorąży zawsze mawiał, że sala najcieplejszy jest pokój.«

Porównywając dzisiejsze wygody z tem, co w dzieciństwie mojem zapamiętam, wielką widzi się różnicę, kto wie nawet, czy nie większą od tej, jaka zachodziła pomiędzy owemi latami, a czasami pana Chorążego. W spisie garderoby po jego śmierci z roku 1780 napotykam wiele futer, jako to: futro z krzyża-

żakami, zielonym atłasem podszyte, kontusz zielony, cały siwemi barankami podszyty, delią z wilków, delią z lisów, koloru *werdragon*. Ojciec mój przeciwnie, już tylko jednem futrem się zadawalniał i to lekkiem, bo krymskiemi barankami. Materace, które dziś są powszednią wygodą w każdem prawie łóżku, za moich jeszcze czasów należały do zbytków. I tak nawet w spisie wyprawy z r. 1805 mojej matki, bogatej jedynaczki, ledwie o nich jest wzmianka; a cóż dopiero mówić, gdy się przypomni i porówna ówczesne twarde meble, skórą lub materyą włosianą wybite, z naszemi miękkiemi i wygodnemi fotelami, kanapami i sofami. W wyprawie matki wymienione są suknie z takich materyj, jakich się znowu przedtem nie spotyka w r. 1726 w wyprawie mojej prababki Imci pani Maryanny Cieńskiej, idącej za Imc. pana Stanisława Wybranowskiego, starostę bareckiego. U pierwszej suknia była peplinowa w deseń, zielona, orzechowa także »peplinowa«, blado orzechowa floransowa, piusowa, kitajkowa, persowa, żółta i t. p.; w wyprawie prababki znajduje się rodzaj zapewne sukni »Sak amarantowy, sułtan zielony, kontusik rożowy, sak kitajkowy.« W obydwu wyprawach zapisane pawilony i kotary. W wyprawie pani starościny »pawilon w płomienie, kotara kitajkowa z frandzlą karmazynową, dywdyk złoty«, a w bieliźnie »koszule szwabskie, płótno moskiewskie, muzułbas, dyma; trzewiki aftowane z pończochami jedwabnemi.« Między klejnotami widzimy »miesiąc dyamentowy, krzyżyk dyamentowy, łeski do zauszenic, parałeski o trzech dyamentach, łesek i sztuk dyamentów 6, sztuczek rubinowych 31, pereł sznurów 4, krzyżyk złoty, guzów 6«; a w srebrach »pudełek srebrnych 6, zwierciadło w srebro oprawne, miednica, lichtarze duże i małe, tacka ze szczypcami, koszyki, tacki, solniczki, cukierniczka, imbryki, łyżki.« W kosztownościach tych może niejedna pamiątka pochodziła z czasów okazyi wiedeńskiej, bo ojciec pani Starościny, pan Wojciech Cieński, brał w niej udział i odznaczywszy się walecznością i niepospolitą siłą, przyniósł zapewne do domu, oprócz tureckiego pałasza i namiotu, niejedną kosztowną zdo-

bycz lub dar królewski; król bowiem po zdobyciu namiotów wezyrskich, które mieściły ogromne skarby Kara Mustafy, wiele z nich rozdał rycerstwu szczodrą ręką, a przy tem i samo rycerstwo wiele bogactwa zabrało nietylko pod Wiedniem, ale i pod Parkanami.

Dwory i dworki szlacheckie różnią się również od późniejszych w budowie i wygodzie. W wieku XVII budowano o wiele skromniej, niż potem, kiedy zbytek zaczął się szerzyć; baczono tylko na jasność mieszkania i dlatego widzimy w pokojach wiele okien. Taką starą budowę przedstawia nam opis z r. 1738 dworu w Kossowej, który nazywa go już starym i zrujnowanym budynkiem.

Może on już wtenczas stał, równie jak dzisiejszy, półtora wieku. »Najprzód — powiada ten opis — są balasiki przed oknami, wchodząc zaś do budynku, jest przedsionek, nad którym altanka, drzwi ze szkoblem, wrzeciążem i kuną przy zaporze. W prawą rękę, idąc z sieni do pokoju, są drzwi stolarską robotą z zamkiem, klamką i haczykiem. W tymże pokoju piec kaflowy, przy którym kominek i szafa snycerską robotą; około ścian są ławki z tarcic stolarską robotą, stołów dwa, okien w ołów oprawnych trzy. Z tego pokoju, pokój drugi o dwóch oknach z kratami żelaznemi. Przez sień idąc, są drzwi stolarską robotą, prowadzące do innego pokoju, w którym piec kaflowy, okien pięć; z tego pokoju idąc, jest spiżarka, w której okien dwa z zasuwaniem drewnianem i kratami. Z pokoju wychodząc, są schody na altankę.« Wszędzie, nawet w przedsionku, sieniach i spiżarni, wymieniona jest podłoga. Dalej w opisie tym powiada: »Idąc do dworca, są wrota na kunach żelaznych, z furtką przy tych wrotach.«

W lat pięć od tego opisu, pani Anna Tęgoborska, sędzina grodzka, oświęcimska, późniejsza kasztelanowa ciechanowska, zaczęła się przygotowywać do budowy nowego dworu. I tak, najpierw w r. 1743 zrobiła ugodę z uczciwym Antonim Zychan, strycharzem, o robotę 20 tysięcy cegieł, po 6 zł. od tysiąca, wyznaczając osobno za wypalenie »pół beczki piwa

i dwa garce gorzałki.« A skoro cegła należycie była już wypalona, w rok potem zawarła znowu ugodę z majstrem »kunsztu mularskiego, mieszczaninem Krakowskim« o wymurowanie kominów dwóch »z fundamentu samego aż na dach, kominów w pokojach szafiastych trzy, robotą jak najpiękniejszą i czwarty kominek kapiasty za 300 zł. z dodaniem dwóch ludzi dziennie do pomocy.« A w rok później jeszcze, bo w r. 1745, zrobiła dalszą ugodę z drugim takim samym majstrem »kunsztu mularskiego, o wymurowanie znów dwóch piwnic i szyi w tym domu, za cenę 80 zł. z dodaniem także dwóch ludzi do pomocy.« Tak powoli i dokladnie stawiany budynek, cóż dziwnego, że stoi jeszcze do dnia dzisiejszego z drzewa modrzewiowego zbudowany cało i silnie.

Czytałem niedawno książkę Teodora Zawackiego, w r. 1616 wydaną, pod tytułem *Memoriale Oeconomicum*, w której powiada:

»Theophrastus pisze w księdze, której tytuł dał: *de tempore*, że każde drzewo, które rąbią, gdy słońce jest w byku, w koziorożcu i pannie (bo te są zimne znaki), na schodzie miesiąca, także w pierwszych dniach trzech, jako po północy abo poranku, póki słońce nie znidzie: takowe drzewo bywa trwałe, nie zgnije i robacy go nie toczą, a im będzie starsze, tym będzie twardsze i ledwie nie tak twarde, jak kamień.«

Dalej znów powiada:

»Drzewo ze pnia rąbać przed św. Fabianem i Sebastianem, w ostatniej kwadrze, gdy miesiąc jest pod ziemią, na budowanie, takie i insze statki domowe, bo takie drzewo długo trwa.«

Pierwsze w Grudniu, drugie w Styczniu.

Przytaczam tu dlatego ten ustęp, że zapewne tej starej metody, o jakiej autor pisze, i później się trzymano, skoro te dawne budowle po dziś dzień jeszcze stojące, tak długo zdrowo się zachowują.

Wyprawy młodzieży w dawnych czasach, czy to udającej się na dwór magnata, czy na pospolite ruszenie, także są ciekawe. Mam taką Imc. Pana Albrechta Dembińskiego z r. 1678,

w której wyliczono: »Wóz węgierski, siodła dwa, kulbaka, wyrostek i dwóch pacholików we wszystko też zaopatrzonych; kożuchy dwa pokryte, wojłoki, kilimki, nawet cokolwiek sreberek, namiocik obozowy, zbroja i szabla, koni pięć.«

Pomimo świetnych zwycięztw, jakiemi w historyi jaśnieją czasy Sobieskiego, przy końcu jego panowania animusz wojenny zaczął niezmiernie upadać. Ten sam Dembiński, już jako chorąży zatorski, w liście pisanym w r. 1696 do teścia swego pana Andrzeja Żydowskiego, chorążego i sędziego grodzkiego krakowskiego, tak się o sejmiku w Zatorze wyraża: »Imc. Pan Mikołaj Starowiejski w gorących słowach przypomniał klejnot szlachectwa jedyne cnoty *recompensa*, który nie gnuśnością i podłością jaką, industryami, trafunkiem, ale rycerskiemi dziełami, krwią, a nawet i życiem nabywać potrzeba. Czy chcemy, aby nasz N. M. Pan i nam uniwersałem przypomniał gnuśność naszą, jak to już uczynił pamiętnym uniwersałem w Żółkwi *ab anno* 1685, ażeby wszystka nowa szlachta, którą *ab anno* 1653, aż do przeszłego sejmu indygenaty i nobilitacye, nie krwią swoją, tylko protekcyą pootrzymywała, i nic z przodków swoich i samą z siebie nie zasłużyła, dała każdy od osoby swojej trzy konie usarskie ze wszystkim porządkiem nowo formowanej z nich milicyi należącym, własnym kosztem, żołdem i hiberną na trzy kompanie. Nie! nam po grodach i parafiach publikować nie trzeba, my sami pójdziemy. Na to Imc. Pan Piegłowski, starosta Ujski i Imc. Pan Przecław Sławiński, powstali i w poczty się zapisali.«

Szlachta, zawsze pełna zapału, potrzebowała iskry tylko, ażeby płomień wybuchnął, i jak w obronie własnej chętnie szabli dobywała, tak i gdzie szło o dobro Rzeczypospolitej, pomimo zniechęcenia przez niewypłacanie żołdów, jak tylko do niej goręcej przemówiono, zaraz była gotowa siąść na koń i w pole wyruszyć.

Blisko w pół wieku później, w r. 1736. ta sama szlachta w instrukcyi danej panom komisarzom w Zatorze, udającym się na trybunał radomski, upomina się, »aby *post fata* ś. p.

Imc. Pana Jana Piegłowskiego, stolnika ciechanowskiego, a rotmistrza znaku wyprawnego prześwietnych księstw — sukcesorów pomienionego nieboszczyka, tak *nomine* prześwietnych księstw, jako i Ich Mościów kompanii na ten czas służących, przypozwał na komisyę radomską *in ordine* do uczynienia kalkulacyi z wybranych sum *juxta taryffam* na chorągiew anno 1667 erygowaną. Także i *deces*, który pozostał *ex defectu* sześciu koni, *ad computum* siedemdziesiąt dwóch, które Imc. pan rotmistrz stawić był powinien, aby toż samo nikomu inszemu, tylko pracującym na ten czas Ich Mościom kompanii za ich fatygi i prace przypadł.« Dalej jeszcze polecono zasługi ś. p. Imc. pana Stanisława Sławińskiego, podstolego księstw, i za nie sukcesorom, Imc. panom Józefowi i Janowi Sławińskim, braciom rodzonym, sumę dwu tysięcy zł. *currentis in Regno monetae* zapłacono.«

Dziad mojej matki, żyjący do roku 1780, pamiętał dobrze sejmiki zatorskie, bo w nich brał udział — i w późniejszym wieku, kiedy już rząd nastał nowy, często przygody o nich różne opowiadał.

Raz, jadąc koło kościoła w Zatorze, przyszła mu na myśl sprawa pana Nielepca i tak ją synowi opowiedział: »Kościół ten dużoby rzeczy mógł opowiedzieć, bo w nim się dawniej sejmiki odbywały, ale za moich czasów radziliśmy już na zamku. Pamiętam raz ludno i gwarno tu było u pana starosty. Poprzyjeżdżali panowie posłowie z żonami i córkami i po limicie bawiliśmy się wesoło, a jak to niewiasty mają obyczaj nami rządzić, tak zaraz tu znowu odbył się jakoby sejmik niewieści. Imc. pan Józef Nielepiec był wtenczas już stary kawaler, człek nietylko podżyły, ale i o niemałym groszu, choć zawsze mawiał: »Z Nitku nie wiele pożytku, a z Witkowic to już wcale nic.« Panny się z niego bywało podśmiewały i kiedy sejmik wypadł był w same zapusty, a Imc. pan Nielepiec dał na siebie czekać, tak, że się kadencya opóźniła do samego popielca i tańce, na jakie się zanosiło u pana starosty, przez niego przepadły, kobiety podniosły gwałt, ażeby za

opieszałość skazać go na grzywny. A że właśnie uchwaliliśmy dla kościoła zatorskiego, jako dla miejsca obrad naszych, który znacznej w ten czas potrzebował reperacyi, 800 zł. i tyleż dla konwentu kalwaryjskiego z najpierwszej percepty — więc skazaliśmy Imc. Pana Nielepca na 10 zł. dla obojga kościołów. Nie było już bowiem starego prawa, jakie za książąt zatorskich istniało, iż któren z rajców na roki zatorskie nie przybył, płacił każdemu z przybyłych »achtel piwa.«

Jak zwykle starzy ludzie lubią o swojej młodości opowiadać i wszystko co dawno istniało chwalić — tak i pan Paprocki, nietylko chętnie o sejmikach zatorskich dzieciom opowiadał, ale i o tych złotych dniach swej młodości, jak ją zwykł był nazywać, spędzonych w Podlaskiem na dworze J. O. Księżny Radziwiłłowej w Białej.

Złote to były czasy, proszę asindziejów, służba była wesoła, w podróżach na Litwę wiele czasu schodziło, a dwór zawsze roił się gośćmi. Oj! i inna to była młodzież, nie taka mosanie, jak dzisiejsza. Imc. panna podkomorzanka Zaleska bardzo mi była wpadła w oko, bo była jak koteczka miła i zręczna i J. O. księżna, jak mówili, dla mnie ją przeznaczała. Bywało tańczyliśmy razem i kiedy ją spytam: »Czy mnie kocha? — ona, bywało, milczy, ja znowu pytam, a ona jeszcze milczy, aż w końcu, oczęta na dół spuściwszy, rzecze: »Pana podstolego się boję i dlatego milczę.« Pan podstoli Zieliński był sierocie opiekunem i wydał ją potem po mojem opuszczeniu dworu J. O. księżny za Imc. Pana Adama Raczka, stolnika podlaskiego, mego brata ciotecznego. Przyjąłem pokornie los, jaki mi był z wyroków Najwyższego naznaczony, choć żal mnie brał okrutny za moją Petrunią i serdecznie za nią tęskniłem.«

Po śmierci mego nieboszczyka ojca służyłem w chorągwi J. W. Imc. pana hetmana Józefa Potockiego i z nią chodziłem w dalekie kraje od naszego Brześcia litewskiego, a że w niej miałem zasługi, Imc. pan hetman przedstawiał mnie królowi i *ab an.* 1752 N. M. Pan, dziś w Bogu już spoczywający, dał mi dyplom królewski na chorąstwo podlaskie.

W liście jednym pan chorąży, pisząc do swego bratanka, tłómaczy się z substancyi ojczystej, a w końcu taką wzmiankę robi o swojem ożenieniu: »Starania moje Bóg pobłogosławił, dał mi żonę dobrą, a choć wdowę po dwóch mężach, to jeszcze młodą, bo kiedy szła pierwszy raz an. 1730 za Imc. Pana Ludwika Moszczeńskiego, chorążego znaku pancernego J. W. Imc. Pana Tarła, kasztelana lubelskiego, miała lat 13.«

W innym znów liście tak opisuje pan chorąży wyjazd na sejm koronacyjny: »Zjechawszy się do Zatora, postanowiliśmy gremialnie udać się do Warszawy i zaraz z przedniejszych ze szlachty wybrało się sporo. Wymieniam tu niektórych, bo może Wmść Panu będą znani: Imc. Pan Aichinger z Radoczy, Jan s. g. O., Ankwicz z Posławic Stanisław, stol. wojew. krakowskiego, Czerny Schwarzenberg Joachim, chorąży ks. zat. i oświęć., Hebda z Tropia Jan, Pruszyński Adam, Pisarzowski na Pisarzowicach, Adam, wojski, Jakliński Tomasz, burgrabia zam. krakow., Bobrowski z Bobrówki Ignacy, Szembek Aleksander, Waxman na Korabnikach, cześnik, Waxman Władysław, Trzebiński Franciszek, burgrabia krakowski, Trzebiński Szylchar na Trzebini Kajetan, Zaćwilichowski Maryan Jan, Dunin ze Skrzynna Józef, Stolnikiewicz, Zatorski, Łodziński, Radwan Jan, Russocki z Brzezia Tomasz, Przebendowski z Przebendowa Ignacy, Romiszowski z Romiszowa Sariusz Aleksander. Trzymaliśmy się wszyscy kupą w drodze, a Imc. pan Pruszyński, syn mego szwagra i Imc. pan Pisarzowski jechaliśmy razem.«

Charakterystyką jest najstarszych listów, że pisano je na całym arkuszu, jak listy królewskie i złożywszy w kilkoro, adresowano na wierzchu. Potem dopiero zaczęto używać kopert i pisać w mniejszym formacie na półarkuszu. Za czasów Stanisława Augusta więcej upowszechnia się tytuł francuski. Król, niedaleko sięgając swoją parentelą, wyrobił przy wstąpieniu na tron w roku 1766 przez konstytucyą, że mu wolno było rozdać sekretnie 10 dyplomów na szlachectwo. Poczęto zarzucać i w listach zwyczaje stare: »Mości Panie Chorąży

i Panie Bracie«, a natomiast modą, jak ją wówczas zwano, *à la mode de Bretagne,* nazywano dalszych krewnych kuzynami. Podobała się ta moda młodzieży, której ojcowie nakazywali szanować ubogich stryjów i ciotki, choćby nawet w czwartym i dalszym stopniu pokrewieństwa.

W starej korespondencyi pana Andrzeja Żydowskiego, chorążego krakowskiego, list pana Franciszka Bielińskiego, marszałka W. K. donoszący Augustowi III do Drezna, o ciągle i groźnie powtarzających się niesnaskach między stanem duchownym i świeckim, przypomina mi o Panu chorążym krakowskim dobrą anegdotę. Pan chorąży będąc raz na zjeździe we Lwowie, gdzie toczyła się sprawa o prerogatywy biskupie, był proszony, ażeby powagą swoją i wymową, z której słynął, przyczynił się do ich ukrócenia. Na to on odpowiedział: »Nie, Mości Panowie, nie uczynię tego, bo już raz na sejmiku proszowickim, gdzie przemawiałem za zmienieniem dziesięcin kościelnych, odebrałem karę Bożą. Upragniony syn urodził mi się głuchoniemy, a później i wnuków tem samem kalectwem upośledzonych doczekałem się.« Silna ta wiara naszych praojców, o ile strzegła ich od niejednego grzechu, o tyle znów często wiodła ich na fałszywą politykę ze stanem duchownym, z którym walka przez długie lata trwała w Rzeczypospolitej.

Tenże pan Andrzej Żydowski, nietylko chorąży, ale i sędzia grodzki i podstarości krakowski, używając wielkiej powagi na sejmach i trybunałach, miał i w domu swoim taką samą estymę. Mając dwóch synów, najstarszego w piątym jeszcze roku zaręczył z córką swego dalekiego krewnego i cieszył się tem wczesnem postanowieniem, jako rzeczą już nieodmienną. Ówczesny obyczaj bowiem, że dzieci woli rodziców nie mogły się sprzeciwiać i szły powolnie za ich postanowieniem, pozwalał mu się tem cieszyć. Prędko jednak się przekonał, że zawiódł się na uległości dziecka, bo zaraz w wieku młodzieńczym okazał się w synu charakter silny i nieugięty, tak, że wola surowego ojca nie mogła go skłonić do uprojektowanego małżeństwa. Oburzony tym uporem Pan Chorąży,

spostrzegłszy przytem jeszcze i uczucia syna do ubogiej szlachcianki, na respekcie zostającej u Pani Chorążyny, wolał go zamknąć w klasztorze, niż na związek wbrew swej woli pozwolić. Zakochany syn, sądząc, że może wyborem surowej reguły na serce ojca wpłynie i potrafi go przejednać, obrał sobie zakon Kamedułów na Bielanach. Zawiódł się jednak nieborak, bo Pan Chorąży, choć bolał i niedowierzał wokacyi syna, w końcu i na to przystał, aby tylko nie widzieć dziecka nieposłusznego, i potem, kiedy miał już dwoje dzieci w klasztorze, gdyż i córka jedna była zakonnicą, na uproszenie dla nich i dla siebie łaski Bożej, fundował klasztor OO. Reformatów w Kentach.

Pan Paprocki, do którego powracam w mojem opowiadaniu, lubo nie należał do konfederacyi Barskiej, sympatyzował jednak z nią bardzo, szczególnie od tego czasu, gdy jeneralicya przeniosła się na Szląsk, a pasierb jego, pan Tomasz Wilkoński, dzielny młodzieniec, został marszałkiem konfederacyi. Lubił też o tych czasach w późnym wieku dzieciom opowiadać: »Proszę asindziejów, zamęt to był wielki, jak zawiązano w Barze konfederacyą. Młodzież rwała się do walki. Bywało, jak zaśpiewa Imci Panna Apolonia pieśń konfederacką anno 1768, to łzy mospanie wszystkim stały w oczach:

— Przebóg kto czuje — niechaj ratuje
Matkę ojczyznę — widząc jej bliznę,
Gdy wolność, prawa, wiara i sława
Są jej odjęte, czasy przeklęte.

Podobnych poezyj i dyaryuszy z pod Tyńca, Krakowa i Częstochowy pozostało wiele w Kossowy.

Parę lat ostatnich swojego żywota pan chorąży podlaski mieszkał już w Gierałtowicach i tam umarł. Gotując się na śmierć obyczajem dawnym, zawczasu miał wszystko aż do ubrania przygotowane. Trumna, antaby do niej i światło było kupione. Pieniądze dla rozdania ubogim, duchownym, kościołom były popieczętowane, każde z właściwym podpisem osobno.

Ciało odprowadzono do Kent i w grobie familijnym u OO. Reformatów złożono. Opis wymienia, którędy kondukt ma przechodzić i ile kościołowi w Nidkach za wyjście z chorągwiami i dzwonienie ma być dane. Na żałobę dla syna i jemu osobno dla rozdania ubogim, zostawił pan Chorąży pieniądze w złocie. Dalej za złożenie ciała OO. Reformatom przeznaczył 62 zł., OO. Bernardynom w Kalwaryi 200 zł., na dekanat Zatorski dla 27 kościołów 389 zł., dla plebana Gierałtowskiego 8 zł., dla Tłuczańskiego 3 dukaty. Z powodu takiego sutego uposażenia kościołów, wynosił pogrzeb sporą sumkę.

Książka, która nosi tytuł *Probatio calami*, ma u wierzchu jako dewizę cztery wiersze:

»Niepotrzeba zupełnie dziką nazwać ziemię,
Gdzie na niej cnotliwych znajduje się plemię,
Ta jest ludzi poczciwych i rozumnych dola,
Że im znośna powinna być niecnót swawola.«

W niej znajduje się wszystko, co pan Chorąży chcial mieć lepiej w pamięci zachowane. Są tu intraty z wiosek i z majątku w Podlaskiem. Są zapisane ważniejsze wydarzenia tak u siebie jak i w sąsiedztwie. Obok urodzin: »d. 9 Sep. 1765 Imci Pani Skarbnikowa Mielnicka szczęśliwie powiła syna, któremu na Chrzcie św. dano imię Jan Kanty«, znajduję zapisane: »Oźrebiła się wiewiorka, kupiona od Imc. pana Waxmana w Korabnikach za 26 dukatów, ma źrebca gniadego z białą łatką na zadniej nóżce.« Dalej jest zapisana śmierć »Imc. Pana Starosty Oświęcimskiego«, a potem pod r. 1774: *ad vim* posagu córki naszej, Imc. Pani Rozalii Szembekowej, dałem 10.000 zł.

Takiemi notatkami *expensy* i *percepty*, w której są zapisane *salaria* dla pp. podstarościch i pensye »sług folwarcznych« zapełnione jest *Probatio Calami*.

Ciekawa jest także w niej *expens* na drogę do Podoleńca: »Jadąc z panem Józefem do Podoleńca, wydalem 71 zł. Na

książki i papier Imc. księdzu rektorowi zostawiłem 20 zł.« O ileż ta droga mniej pana Chorążego kosztowała, niż nasze dzisiejsze koleje? Wszak z Gierałtowic najmniej było 25 do 30 mil drogi.

Przy tem są i mobilia także ponotowane, jak n. p. »trzy rzędy pozłociste« jeden »suty szeroki« a jeden »pstro«; »szabla pozłocista, karabelka srebrna«, »zegarów na ścianach dwa, jeden bije godziny i kwadranse, trzeci stołowy od pana kasztelana, czwarty złoty, bije godziny, kupiony w Białej.«

Po śmierci pana Chorążego, syn tak samo w tej książce zapisywał dzieci i wnuki, obok klaczy i krów, notując zarazem ważniejsze wypadki. Był to rodzaj domowej kroniki, jaką dawniej zwykle rodziny prowadziły, a nim całkiem przestano je spisywać, powtarzają się jeszcze te zapiski w starych kalendarzach.

Za czasów pana Chorążego nie widzę jeszcze wymienionego dochodu z siana. Dopiero potem pan Chorążyc »brogami« je sprzedaje i tak: od panów pędzących woły bierze za »dwa brogi 54 dukatów.« Przepęd wołów rozpoczyna się prawie z r. 1802, bo od tego roku siano w Kossowy stanowi większy dochód.

Sprzedawszy majątek w Podlaskiem pani Annie ze Szczytów Matuszewiczowej, kasztelanowej brzesko-kujawskiej, miał z nią pan Chorąży jeszcze interesa. Raz przysłała pani kasztelanowa do Gierałtowic z listem swego zaufanego kozaka. Posłaniec na koniu jechał z okładem mil 60 więcej tygodnia i czekał na odpowiedź, wypoczywając znowu tydzień. Nie była to więc prędka wiadomość, jeżeli trzeba było na nią czekać blisko miesiąc, ale i poczta nie szła prędko, szczególnie w te strony, a kosztowała wiele i nadto wszystko była jeszcze zawodną.

Trudne komunikacye, nie pozwalając rozproszonym po szerokim kraju rodzinom często się widywać i mieć o sobie relacye, sprowadziły zapewne i oziębłejsze, niż dzisiaj stosunki. Jak pan Chorąży, wyprowadziwszy się z Podlaskiego w r. 1754, mało miał potem relacyj ze swoją bliską familią, tak to samo spostrzegam i w rodzinie dziada mego, Pana Domicyusza

Wybranowskiego. Kiedy ojciec jego, pan starosta barecki, po uczynionym dziale familijnym w roku 1729 został tu na Rusi w Deržowie, a brat jego pan Krzysztof, starosta Kopajgrodzki, osiadł w województwie Mazowieckiem w ziemi Czerskiej, w Gościeńczycach, bracia tak daleko rozdzieleni, mało odtąd o sobie wiedzieli, co sprawiło, że mój dziad podobno swego stryja nie znał.

Wspomniawszy Derżów, przychodzi mi na myśl późniejszy jego właściciel pan Nikodem Smarzewski. Pamiętam go już dobrze podżyłym człowiekiem. Silny, barczysty, po polsku się noszący, najczęściej po rusku mówiący, był on typem despoty z wszystkiemi narowami możnych panów, a cnotami brata szlachcica. Dom prowadził gościnny i wino beczkami z Węgier spowadzał, bo choć miał ładny majątek, to przecież na taki wielki jego odbyt w domu przy ciągłych libacyach, możeby nawet był nie wystarczył.

Opowiadano mi o nim nie jedną dobrą facecyę. Czasem, gdy sobie z gośćmi podochocił, a ktoś mu się niepodobał, zapominał o prawie gościnności i stawał się niegrzecznym. Mając raz u siebie w Artasowie gości ze Lwowa, zaprosił ich do piwnicy, aby się winami pochwalić, które co tylko nadeszły z Węgier. Był tam pomiędzy zaproszonymi i młody, utalentowany powieściopisarz, który niepodobał się gospodarzowi, bo w ostatniej swojej powieści umieścił istny jego portret. To jeszcze byłoby może nie pozbawiło pana Smarzewskiego cierpliwości i byłby uszanował prawo gościnności, ale młody człowiek, ufny nietylko w łaskę gospodarza, jako swego dalekiego koligata, ale i swoją wymowę, począł wygadywać na stare narowy, których szlachta nie porzuca i prawić o poświęceniu i równości. Ale że sam podobno zanadto tej równości dawał dowody we Lwowie i często tracił równowagę w swoich finansach, co go wiodło na różne manowce, więc pan Nikodem, podochociwszy sobie ze swymi przyjaciółmi, kiedy mu już żarciki krewniaka cierpliwość odebrały, nie czekając aż przyniosą dywan, kazał go położyć i ojcowską ręką wyliczył mu bolesne upomnienie.

Mnie samemu opowiadał dosyć wesoły żarcik na dowód swojej dobrze znanej srogości nietylko w okolicy, ale nawet i u rządu. We dworze służba składała się z kozaków w barwie herbowej, ludzi silnych i dobrze wytresowanych do wszelkich usług swego pana. Otóż, kiedy rząd zaprowadził akcyzę gorzelnianą i straż często robiła rewizye i łapała nadużycia, zjawił się raz strażnik w kancelaryi pana Nikodema i zachował się niegrzecznie, a że był w służbie i w uniformie, więc stał z nakrytą głową. Nie podobało się to p. Nikodemowi, tem więcej, że takie wizyty nieprzyjemne dosyć często się powtarzały. Zamiast więc strażnikowi się tłómaczyć ze swego nieporządku, otworzył okno i krzyknął na swego kozaka Iwasia. Gdy ten na głos pana odpowiedział »Zaraz bat'ku«—już strażnika w pokoju nie było, a koń przy bramie upięty ułatwił i dalszą ucieczkę. Kontent był pan Nikodem z tej roztropności, że strażnik wyniósł się tak prędko i uwolnił go od nieprzyjemności. Ale w parę tygodni później odbiera nakaz z cyrkułu, ażeby się tłómaczył, dlaczego wtenczas wołał swego kozaka? Tego już za wiele było panu Smarzewskiemu i, jak mi opowiadał, zbył żarcikiem nakaz tłómaczenia, odpowiedział bowiem, że on już sobie dobrze przypomnieć nie może, po co wtenczas wołał Iwasia, gdyż często go przyzywa, ale jeżeli p. strażnik był taki ciekawy, to niechby się był chwilę dłużej zatrzymał, a byłby z pewnością i sam zaspokoił swoją ciekawość i mógłby był i urząd także dokładnie o wszystkiem poinformować. Raz jeden i drugi takie żarty na małej pisaninie się skończyły, ale potem, nie chcąc mieć ciągłych z cyrkułem kłopotów, zamknął gorzelnią.

Derżów za czasów panów Wybranowskich, jako duży majątek, miał i znaczne lasy, gdzie zwierza było dosyć, i polowania na większą skalę się odbywały. Lisiatycze, ówczesna królewszczyzna wojewody humieckiego i prywatne majątki, jak Rudniki panów Szeptyckich i Czernica, należąca do dóbr rozdolskich panów Rzewuskich, graniczące rozległemi lasami, stanowiły przestrzeń nie małą. A gdy jeszcze w zimie Dniestr

zamarzł, i ten obszar lasów złączył się ze starostwem Drohowyskiem i z Rozdołem, to miał w sobie kilkanaście tysięcy morgów prawie połączonego lasu, w którym nietylko dzik i jeleń miał swoją siedzibę, ale i o niedźwiedzia nie było trudno, bo ten z gór niedalekich bardzo często schodząc w te rozległe knieje, obierał sobie i dłuższą w nich siedzibę.

Dziad mój opowiadał, że nieraz młodym chłopcem z bratem brał udział w tych łowach.

Zjeżdżali się na nie z dalekich stron kraju myśliwi: bywał Romanowski z Bełzkiego, Horodyski z Samborskiego i podkomorzy Nahujowski z Kropiewnika i wielu jeszcze innych, podobnie zawołanych myśliwych, z całym przyborem sieci, psów, psiarczyków i strzelców.

Polowania takie trwały tygodniami i przygotowania do nich zajmowały nietylko gospodarza, ale i wszystkich i myśliwych. Na ustach każdego był tylko dzik, jeleń chybiony lub inna jaka przygoda.

W czasie tych polowań nie wiele widać było mężczyzn między niewiastami. I nie dziwiły się też panie, jeżeli mąż albo adorator, przeziębnięty, omokły, wolał po osuszeniu się, zamiast kobiety bawić, zabawiać się przy stoliku zielonym kartami, lub pogadanką o strzałach celnych, o swych ogarach i o tysiącznych bohaterskich przygodach, w których fantazya najczęściej nie miała granic.

Dziś, przejeżdżając przez tę okolicę, spotyka się tylko gdzieniegdzie małe laski przy drodze, które świadczą, że tu przed wiekiem rosły odwieczne dęby, buki i sosny.

Gościniec idący do Stryja, później już od czasu tych polowań zbudowany, przypomina mi żywo pewną anegdotę. Szlachcic Sasulicz z Pukienicz, patryota gorący, w czasie sformowanego wojska polskiego w r. 1809 pod dowództwem pułkownika Strzyżewskiego, kiedy się wojsko austryackie cofalo do Lwowa i niejeden urzędnik cudzoziemiec trwożliwie zabierał swoje manatki i za wojskiem się wynosił, postawił przy gościńcu w Pukieniczach słup z ręką na dół pochyloną, na

której były litery, żegnające uciekających życzeniem, oby więcej nie wrócili.

Po śmierci pana podkomorzego Nahujowskiego, zawołanego myśliwego, majątek jego Kropiewnik, w górach samborskich położony, spadł na jego krewnego a mojego wuja, pana Antoniego Nahujowskiego, takiego samego wielkiego myśliwego, który może jeden z ostatnich utrzymywał na tak wielką skalę myśliwstwo u siebie, mając 50 sfór psów, kilkunastu psiarczyków i tyluż strzelców umundurowanych.

Była to postać na wskróś typowa; słusznego wzrostu, bardzo silnej budowy ciała, ponury, a mimo tego, usposobienia łagodnego. Wtenczas się tylko ożywiał, jak brał strzelbę do ręki, która jedyne zajęcie jego stanowiła, bo choć posiadał duże gospodarstwo, miał piękną stadninę, znaczny chów bydła i owiec, mało go to wszystko interesowało i nie wiele się tem zajmował.

Polowania trwały przez całą jesień i zimę i goście tygodniami bawili. I jak zwierza padało niemało w tych rozległych kniejach Kropiewnika, wynoszących do pięciu tysięcy morgów, tak i w tym miłym i uprzejmym domu, którego duszą była rozumna żona, niejeden padał ofiarą gry, a często i sam gospodarz lubiący jak myśliwstwo tak i karty.

Do takich smutnych ofiar zaliczano wówczas bardzo miłego kawalera, sąsiada, człowieka wielkiej fortuny, który właśnie w tę porę dwa razy ją w karty przegrał.

Sława myśliwska pana Nahujowskiego była tak głośna, że kiedy go przedstawiał starosta arcyksięciu Ferdynandowi, gubernatorowi Galicyi, powiedział:

— Wielki myśliwy, zabił swoją ręką kilkunastu niedźwiedzi — on się oburzył i odpowiedział:

— Więcej proszę Waszej Arcyksiążęcej Mości, zabiłem dwudziestu dwóch, a trzech postrzeliłem.

Napisał dzieło myśliwskie, w którem były mapy do podkładania psów na każdego zwierza, głosy jak psy za którem zwierzem ujadają, nuty na trąbkę, jak trzeba i kiedy trąbić na

psy i dawać sygnały. Było w niem dużo opisanych przygód, prognostyków pogody i udania się polowania. Przy tem nauka, kiedy i jak się poluje.

Dzieło to pozostało w rękopiśmie, bo podobno nie miało wielkiej wartości, pomimo że autor poświęcił mu kilka lat pracy.

Namiętność ta nie opuściła go do śmierci, i nie mieszkając już później w swoich ulubionych górach, tylko na równinach w Stryjskiem, w majątku żony, Czernicy, polował nieustannie, choć już nie na taką skalę, bo i kniei takiej nie było i czasy się zmieniły.

Właściwym tamtym czasom rodzajem dzierżawy było wypuszczanie majątku na zastaw. W takim kontrakcie zastawu o Chrząstowice w r. 1743 znajduję ciekawy ustęp, malujący ówczesną łagodność w postępowaniu spornem. I tak, »w razie wypadku, czy nieurodzaju przez inundacyą Wisły, czy innego, Jejmść pani dziedziczka Imć panu posesorowi strzeże: jeśliby który bez dania przyczyny *(quod Deus avertat)* przytrafił się, o takowym przypadku strona stronę wcześnie przez list lub przyjaciela obwieścić ma, po którem obwieszczeniu strony obydwie najdalej we dwie niedziele po dwóch przyjaciół na grunt dóbr zastawnych dla uznania i oszacowania szkody *ex casu fortuito* podjętej wysadzić powinni, a co ten przyjaciel z obopólny zgodzie przyzna, na tem strony obydwie poprzestaną i strona stronie szkodę uznaną przy wykupnie nądgrodzić obliguje się«.

W chwili, kiedy pełno było skarg po sądach ziemskich i grodzkich o zbiegłych poddanych, ta sama pani Tęgoborska, sędzina oświęcimska, przyjmuje od poddanych kartę, którą ręczą, że »zbiegły Antoni Tyrata nigdy już uciekać nie będzie, a jeśliby kiedy to uczynił, my, którzy za niego ręczymy, powinniśmy go i będziemy powinni stawić i swoim kosztem szukać go, a znalazłszy oddać do dworu; dług zaś ten, który pozostał winien, w dobroci swojej Pani Dziedziczka rozkłada na trzy części, jako to: czynsz z roli 4 zł., za kapłony 1 zł. 24 gr.,

z zagrody czynszu 15 złp., na ekspens, posyłając po niego 20 zł., który gdyby zadosyć nie uczynił, to my za niego zapłacić obligujemy się i powinniśmy. Na co, dla lepszej wiary i waloru na karcie tej, którą za tego A. T. ręczymy jako nieumiejący pisać, kładziemy znaki krzyża św.«

Zaraz po śmierci obojga państwa Chorąstwa, poczęły się spory o podział fortuny między rodzeństwem rodzonem i przyrodniem. Pan Stanisław Szembek procesuje się z moim dziadem przez długię lata. Proces za nowego rządu toczy się już w Tarnowie i we Lwowie, gdzie obydwie strony często zjeżdżają i patronów i stemple, świeżo zaprowadzone, opłacają. Dopiero po spłaceniu całkowitem siostry, nastąpiła serdeczna zgoda, która już do śmierci trwała, choć i pierwej jeszcze wśród sporów i procesu nie opuszczał afekt braterski pana Szembeka, i w listach swoich czasem wesołych przypominał się o Kossowskie rybki dla »Szembeczka« i na nie mego dziada zapraszał.

Takie samo nieporozumienie z przyrodnim bratem, panem Wojciechem Moszczyńskim, ciągnie się długo po sprzedaży Osieczan, które w dziale po śmierci matki w roku 1784 jemu się dostały. Pan Moszczyński przeniósł się na Ukrainę w okolice Białocerkwi. Z początku listy były serdeczne, potem coraz oziębiejsze, nakoniec ustała wszelka relacya i syn jego Jan, służący w gwardyi narodowej, już nigdy nie zgłosił się do swoich bliskich krewnych w Krakowskiem i rodzina ta stała się zupełnie nieznaną.

W chwili ogólnego zobojętnienia, możnaby powiedzieć apatyi i w sprawach publicznych i narodowych, jaka cechuje w pierwszych latach po rozbiorze tę część Polski pod rządem Austryi, szerzą się tak mocno gry hazardowne, że cesarz Józef widział potrzebę, patentem z roku 1784 przypomnieć dawniejszy zakaz gier *Maccau* i *Wallacho*, w którym pisał: »Ponieważ dawniejsze ustawy co do gier poszły w zapomnienie, przeto odnawiamy niniejszem i powtórnie zakazujemy jak najsurowiej wszystkich, potajemnych i publicznych gier hazardo-

wnych, jako to: »Faraona, Bossety, w kości, Possadieci« i t. p. Takich gier wymienia ten patent 16, zdaje się przeważnie włoskich, u nas w Polsce nawet i z nazwiska nieznanych, prócz »Straszaka, Halbzwölf, czyli Mezoduadeci.« Przestępcy tego zakazu, tak gracze sami, jakoteż i ci, w czyich domach grywać się będzie, mają za każdym razem zapłacić 300 czer. złotych kary. Donosiciel z pieniędzy, za karę wliczonych, jako trzecią część 100 czer. złotych w nagrodę dostaje.

Jeden z panów Pisarzewskich, wujów mojej matki, jako młodziutki kawaler, wpadł w sidła ludzi tego rzemiosła i jadąc sześcioma końmi do Warszawy, wszystkie przegrał, a potem wesołym listem, w którym przyznał się ojcu do wszystkiego, gniew ojcowski trochę złagodził. Doniósł bowiem wierszykami, że takie »były żyrne bestye, że w drodze zjadł jeden drugiego«.

Jak za Stanisława Augusta gorętsza młodzież ciągnęła do Warszawy, aby w niej nabyć lepszej otuchy, tak i księstwo Warszawskie obudzało w Galicyi życie narodowe. Wielu z tutejszej młodzieży wstąpiło do wojska nowo się formującego.

Wierszyków bezimiennych autorów, zwanych dawniej »paskwilliuszami«, krytykujących rząd i osoby, kursowało wiele po domach, jedne od drugich nie wiele się różniące, a prawie wszystkie małego dowcipu i wartości, jak naprzykład: »Obraz księstwa«: »Żołnierz polski, pieniądz pruski, rząd, prawa, kodeks francuski« i wiele podobnych, które dziś czytając, nasuwa mi się na myśl dowcip, jaki a propos nieudanych utworów poetycznych, za moich młodych lat słyszałem.

Pan Kasper Ostrzeszewicz, znany w tamtej okolicy z ostrego języka, a przytem niegłupi człowiek, znalazłszy się raz w towarzystwie młodych ludzi, z których jeden był literat i świeżo jego poezye były drukowane — po kilku kieliszkach, kiedy już wino humor podnieciło, odezwał się do niego:

Pamiętaj poeto — że pierwszy artykuł w księdze ustaw Feba,
Gdzie sensu mało, rymu nie potrzeba.

Z Księstwa Warszawskiego i Kossowa miewała częste relacye, gdyż matka moja po pójściu pierwszy raz za mąż, przez kilkanaście lat mieszkała w Radomskiem i nieraz była świadkiem smutnych wypadków w czasie przechodów wojsk i walk, jakie się w Księstwie odbywały. Przechody armii francuskiej, rosyjskiej i austryackiej nie mało trapiły mieszkańców a Rawica, leżąc na szlaku większym, często była nawiedzaną.

Pomimo jednak tych klęsk i spustoszeń, i tego, że wydatki na wojsko formujące się wiele kosztowały, pieniędzy było dosyć i bawiono się nietylko w samej stolicy w Warszawie, ale i w całem Księstwie doskonale. W miastach, gdzie stały większe garnizony wojska, oficerowie bale dawali. Patrząc na tę piękną młodzież, garnącą się do służby wojskowej i urzędów, nietylko serce się radowało, lecz i rozum zapominał, że co chwila nowe polityczne burze spokój Europy zakłócały i krew nasza marnie płynęła.

Kodeks Napoleona przyniósł mieszkańcom niemałe zmiany i ulgi, i tego właśnie i moja matka na sobie doznała, bo biorąc ślub w roku 1806 w Krakowie, łatwo potem rozwód uzyskała.

U nas w Polsce rody szlacheckie, choć dawność swoją na wieki liczyły, często nie odznaczały się majątkiem, i dopiero zasługą jednego człowieka przychodziły do znacznej fortuny, która, gdy raz powstala, nie upadła tak rychło, jak obecnie, lecz przechodziła z ojca na syna w pokolenia odległe.

Pan Andrzej Żydowski w miarę przybywających godności a z niemi i zasług mnożył fortunę i choć sam tylko jednę wioskę Halcnów po ojcu swoim panu Krzysztofie otrzymał, zostawił dzieciom czternaście wiosek po największej części w województwie Krakowskiem, a po części i Samborskiem. Wioski te, oszacowane w roku 1728, wynosiły okragłą sumę 560.000 zł.; dwie kamienice w Krakowie i dworek w Proszowicach 4.000 zł.

Zaiste piękna to była szlachecka fortuna, ale gdy się nią trzy pokolenia w ciągu całego wieku dzieliły, najprzód dzieci,

a po nich wnuki, to prawnuk, mój dziad Paprocki, umierając w r. 1819, zostawił córce mały już z niej odłamek, bo tylko Kossowę i Chrząstowice.

Kamienice pana Chorążego Krakowskiego przy ulicy Sławkowskiej, podług opisu znacznie od dzisiejszych się różniły, bo jak dwory szlacheckie w XVII wieku o wiele były skromniejsze od późniejszych, jakie jeszcze po wsiach można było gdzieś spotkać za mojej pamięci, tak i kamienice oryginalnego stylu do naszych czasów Kraków posiadał. Zdaje mi się, że do roku 1830 była w rynku obok kamienicy Dembińskich, kamieniczka mała o jednem oknie a o dwóch piętrach, z których każde miało jeden pokój. Jak w niej schody były prowadzone na piętro, nie wiem, to jednak mi opowiadano, że szersza była w środku jak z frontu. Ostatnim jej właścicielem był niejaki pan Drelinkiewicz, człowiek stary, dobrze młodzieży znany, bo miał u siebie antykwarnią, do której często studenci przychodzili po książki i jego drażnili, bo znając jego uprzedzenie do dzieł Woltera i Russa, zawsze o nie się pytali, a że mieszkając na piętrze, za każdem zadzwonieniem schodził sam z piętra aby drzwi otworzyć, niecierpliwił się więc stary, gdy napróżno zbiegał na dół.

Raz mego znajomego spotkała niemała konfuzya. Natrafił na zły humor p. Drelinkiewicza, który zapytany o Russa, rzekł do niego: mam podobno, lecz trzeba szukać ot tam na tej półce, u góry jest; weź asindziej drabinkę i poszukaj. Skoro malec znalazł się u półki, począł go staruszek laseczką okładać wołając, a masz za Russa, a masz za Woltera!

Podałem tu wartość majątku pana Żydowskiego, gdyż ona dziwnie odbija nietylko od teraźniejszej wartości ziemi, gdzie może jedna z tych wiosek, biorąc na skalę monety ówczesnej, dziśby taką samą sumę wynosiła, ale już nawet w pół wieku później w r. 1772 ta sama Kossowa z Chrząstowicami większą wartość przedstawiała, bo 72000 zł.

Poświęcam jeszcze jedno wspomnienie z przeszłości tej mojej rodzinnej wiosce. Sięgając dosyć daleko pamięcią, wszystko

co dziś widzę, jakże odmiennie przedstawia się moim oczom od tego, co w dziecinnych moich latach pamiętam; nietylko ludzie są inni, zwyczaje odmienne, ale i pozór okolicy nawet do niepoznania prawie się zmienił. Patrząc na tę wielką przemianę, trudno nie uledz pokusie, ażeby nie wspomnieć tu jeszcze choć pokrótce, jak dawniej było.

Dwory stare czas zniszczył, a te co na ich miejsce powstały, są okazalsze i nawet o wiele wygodniejsze, ale mniej za to otwarte i gościnne. Sady o rozłożystych jabłoniach i gruszach zastąpiły ogrody spacerowe i sady o nizkich już tylko drzewkach, bo czy to ziemia, czy gatunki szlachetniejsze, czy może my sami temu winni jesteśmy, że pielęgnować nie umiemy, dosyć że one tak rosnąć nie chcą, jak dawniej, i nim drzewko wyrośnie, starzeje się i przedwcześnie się psuje.

Serdeczność sąsiedzka nie na samem tylko przyjęciu polegała, lecz była to przyjaźń, która długiemi latami się utrwalała i w każdej przygodzie szła z pomocą.

Pamiętam ogień u moich rodziców; spalił się folwark ze stajniami i całym żywem inwentarzem w Kossowy. Sąsiedzi pospieszyli zaraz z różnemi darami; przysłano kilkanaście sztuk pięknego bydła, a sąsiad najbliższy z Tłuczan, pan Krystyan Żeliński, darował morg lasu. W końcu cała ta pomoc sąsiedzka większą część straty powróciła.

W każdej wiosce ktoś mieszkał i słusznie powiedziano, że »co pagórek to dworek«, a choć były i dwory i dworki, to każden w nich życie prowadził według staniku, jak dawniej mówiono, i nie rujnując się na zbytki, wszyscy żyli ze sobą.

Służba była własna, i nie było przykładu, aby z obcej wsi kto służył we dworze. Pensya choć była mała, to za to wszystko nosiło liberyą więcej lub mniej paradną, nawet często i kucharz ją dostawał i chłopcy przy kucharzu, kredensie i stajni byli także w nią odziani.

Lokaje i furmani nosili wysokie kapelusze z galonem lub z pasem tylko lakierowanym, przy którym były kokardy czarne lub kolorowe, nieco wystające ponad kapelusz. Później znów

kapelusze zarzucono, a zastąpiły je czapki z denkiem szerokiem ze skóry lakierowanej.

A choć służba nie przechodziła jak dziś, po miesiącu z dworu do dworu i każden swoje obowiązki znał tylko z tego, czego się w domu przy drugim słudze nauczył, to jednak byli dobrzy kucharze i zręczni furmani, o jakich my już dziś, jeżdżąc parą końmi tylko, i wyobrażenia nie mamy. A niemała to była sztuka, dobrze wozić czterma lub pięcioma końmi po owych złych drogach, na których błoto większe pół roku nie wysychało, a dziury mało kto naprawiał. Przytem powozy na wysokich, wiszących resorach z budowy swej ciężkie i nie bardzo zgrabne, łatwe były do wywrotu i wymagały wielkiej umiejętności i zręczności furmana. Takiego to artystę na wysoko podniesionym koźle, Adama Cichonia, miał mój ojciec, i ten dalekie podróże robił z nim a potem z braćmi. Był on tak dzielnym i biegłym w swoim furmańskim zawodzie, że na podwórzu nie bardzo dużem, kwadratowem w Kossowy pięcioma końmi 16 miary, powozem ciężkim, kłusem ósemki wycinał, strzelając z bata przy każdym zawrocie.

Zaprzęgów powszechnie używano krakowskich, a czasem tylko szor z bronzami.

Mogłoby się zdawać, że czasy ucisku pańszczyzny przygniatały swobodę ludu, mogę jednak śmiało powiedzieć, że tej wesołości, a nawet tego zdrowia i urody teraz już nie widzę. A strój piękny, malowniczy krakowski coraz więcej z nowemi zwyczajami się zaciera.

Każde wesele przychodziło prosić o błogosławieństwo, przynosząc placek okrągły z sérem i rodzynkami, doskonale i smacznie upieczony, na któren nietylko ja malec mile spoglądałem, ale i starsi, bo wszystkim nam smakował. Panna młoda ustrojona była w różnokolorowe wstęgi z tyłu aż po pas razem z włosami rozpuszczone, wśród których upięty był na głowie mały wianuszek, misternie zrobiony z mnóstwa świecidełek, kupiony w Krakowie. Pan młody zaś i drużbowie mieli u swoich wysokich kapeluszy duże kity z piór białych

i kolorowych. Wesele więc, tak pięknie i kosztownie ustrojone, miało coś w sobie bardzo uroczego.

Służbę folwarczną pełnił karbowy. Do niego należał dozór zboża na polu, a potem w stodołach i spichlerzu. Karbował on zboże przywiezione do stodół i zebrane do spichlerza na karbach, jakie miał podwójne razem z panem podstarościm, a za mojej młodości z ekonomem. Karby te z sobą się równo składały i złożone karbowały przychód i rozchód całej krestencyi, tak w snopie jak i w ziarnie. Zwyczaj ten powoli ustał; pozostało tylko nazwisko karbowego w tamtych stronach.

Jak polowy, który znów rozkazywał pańszczyźnie i miał nadzór robocizny, był wolny od pańszczyzny i danin, taksamo i karbowy, który prócz tego posiadał jeszcze ordynaryą i pensyą. Również i leśny był wolny od pańszczyzny i miał oddany las, ażeby »zagraniczni« nie wycinali drzew i nie rujnowali lasu. Tylko za kwitem pańskim wolno mu było wydawać drzewo na potrzeby dworu i gromady. Miał on przytem obowiązek dawać grzyby, orzechy, a nawet chmiel i żołądź, gdy zrodziła.

Cóż dziwnego, że taki pan Chorąży, lub jemu podobny pan Podstoli, ukochawszy wioskę, w której żyli jego przodkowie, kochał i ten lud, który wiernie i uczciwie na niego pracował, z nim się w starym modrzewiowym kościele modlił i na jednym cmentarzu razem z pradziadami swymi się chował.

Parafia był to mały światek jego, w którym on najprzód zaczął żyć. U plebana co niedziela zjeżdżał się ze swymi sąsiadami i tam może poznawszy pannę Stolnikównę, uczuł po raz pierwszy w życiu, jak mu serce silniej uderzyło. I kiedy znowu, po nauce u OO. Jezuitów, powrócił młodzieńcem, to z tymi samymi sąsiadami przy zdarzonej okazyi wychylał szczerze i ochotnie owo nasze stare, kochajmy się, bo ten symboliczny kielich miłości dowodził, żeśmy kochać się pragnęli i uważali za obowiązek to braterstwo, któreśmy wyznawali. Przywiązanie to do tego małego światka łatwo później zamieniał na miłość całej Rzeczypospolitej, tej wielkiej swo-

jej ojczyzny, za którą przelewał krew, znosił wygnanie i szedł na tułactwo z wiarą w sercu i nadzieją.

Poświęciłem kilka wspomnień wiosce, jakich tysiące leżą nad brzegami Wisły w okolicy Krakowa. Nie odznaczyła się ona żadnem ważniejszem zdarzeniem, prócz tego jedynie, że przez kilkanaście pokoleń była siedzibą poczciwej szlacheckiej rodziny, której synowie, wiernie służąc Rzeczypospolitej, nieraz się zasłużyli tak w kościele, jak i na polu walki, tak na sejmach jak i w palestrze. Kochając tę ziemię, której dzieje ściśle się łączą z dziejami mojemi, wpadłem może mimowoli w zbyteczną, a tem samem niepotrzebną drobiazgowość, którą mi łaskawy czytelnik zapewnie wybaczy.

KORESPONDENCYA PANA CHORĄŻEGO.

Stara korespondencya, znajdująca się w Archiwum Kossowskiem, ma już dziś pewną wartość historyczną, gdyż obejmuje znaczną przestrzeń czasu, przeszło półtora wieku.

Ciekawe są listy, pisane do Pana Andrzeja Żydowskiego, Chorążego krakowskiego, za panowania Jana III i Augusta II, jak i do innych osób z dawniejszych jeszcze cokolwiek, niż Pana Chorążego, czasów, a następnie korespondencya jego wnuków, dochodząca aż do czasów konfederacyi Barskiej.

List najstarszy jest pana Wojciecha Wybranowskiego, pisany ze Szczebrzeszyna, majątku Zamojskich, do pana Tomasza Zamojskiego, wojewody kijowskiego, który także i dla treści swojej, bo pisany jest w czasie powietrza, zasługuje na umieszczenie w całości. Pismo własnoręczne na całym arkuszu jest czytelne, równe, nieprzeplatane jeszcze łaciną.

»Jaśnie Wielmożny, a mnie Wielce Mciwy Panie y Dobrodzieju moy.«

»Iż Pan Bóg wszechmogący nad nami gniew swój blisko Szczebrzeszyna rozpościera, to jest w majętności PP. Latyczyńskich, a iż ostrożności i posłuszeństwa (którego niemasz) miasto potrzebuje, bo go i rajcy w klubę wprawić nie mogą, uchodzą win trybunalskich, a to z tych przyczyn, że pospolity człowiek za lada jaką przyczyną, choć i niesłuszną, zwykł starszych swych prawem na trybunał pociągać i trudzić — proszę tedy uniżenie W. M. Pana mego Mwgo za tymi raycami o przyczynę, ażeby pod ten czas niebezpieczny powietrza mogli surowość swą swawolnym okazać.

Jeżeliby W. M. mój Mciwy Pan assekuracyą swą Pańską owym dać raczył, aby w przyszły czas trybunał zwykłych win na tych PP. rajcach nie extendował, bo idzie zatym i o procenta do skarbu należące (czego strzeż Boże nieszczęścia), czego nieposłuszeństwo przyczyną było. Pisania W. M. Pana mego Mciwego wyglądając, posyłam owsa korcy 8, siana wozów dwa, za którem się zapłaty upominać nie kazał. Mniemam, że jest w dobrej pamięci u WM. Pana mego Mciwego prośba moja o list za synem moim Łukaszem do Bestlem-Gabora, któryméś mnie był W. M. moy Mciwy Pan przyobiecał ukontentować. Jakoż da Pan Bóg w przyszłym czasie może syn mój bydź godnym sługą W. M. memu Mciwemu Panu. O który list pilnie i uniżenie proszę W. M. Pana mego Mciwego.

Oddaję przy tem uniżone posługi moje w łaskę W. M. Pana mego Mciwego.

Z Szczebrzeszyna dnia 10 Iunny A. 1623. WMM. Mciw. Pana i Dobrodzieja uniżony sługa Wojciech Wybranowski.« Adres: »Jaśnie Wielmożnemu Panu i Dobrodziejowi JEm. Panu Tomaszowi Zamoyskiemu z Zamościa, Wojewodzie Kijowskiemu, Goniąckiemu, Knyszyńskiemu etc. Staroście, Panu memu Miłościwemu — oddać.«

List pana Wojciecha daje także obraz stosunku, jaki istniał w owe czasy między bratem szlachcicem, a pierwszym magnatem w Rzeczypospolitej.

Drugi list jest bratanka Pana Wojciecha, Zygmunta Wybranowskiego, stolnika Warszawskiego a potem wojewody Derpskiego, gdyż na elekcyi króla Jana III synowie jego, Jan i Franciszek, podpisani są jako wojewodzicowie Derpscy *).

List ten adresowany jest do Piotra Daniełowicza, podstolego koronnego, a znajduje się u mnie w odpisie z autografów biblioteki Pawlikowskich w Medyce i opiewa jak następuje:

»Wielmożny Mnie wielce Mciwy Panie Podstoli koronny, mój Mciwy Panie y Dobrodzieju.«

---

*) Poczet Elektorów Piotruskiego.

»Z jaką życzliwością i afektem życzyłem tego WM. memu Mciwemu panu, abyś był sobie przybrał do serca swego przyjaciela, o czem zawsze pytałem się z pilnością, takowąż pociechę ztąd odnoszę (jako i pierwszą), że już z łaski bożej lepiej, niźliś, WM. chciał, dał Pan Bóg WM. Niechajże Pan Bóg w długi wiek szczęścia błogosławi Wściów. Jako szczery i uniżony sługa WM. winszuję WM. memu Mciwemu Panu, że WM., chwała Bogu, na gotowy chleb trafiasz gratulor. Oddala Pan Bóg plagę (albo pracę?) tą WM., boś te WM. po wielekroć odprawił, *pareat Deus* WM. Jeślić to dobra rzecz powtórzyć, proszę o wiadomość. Jeźli dobra, nastręcz mi też WM. dobrze, chociaż i nie z gotowym chlebem, ale i gotowym nie pogardzę, byle tak dobrym, jakom pierwszy miał. Nowin żadnych wypisać nie mogę, bo ich też nie mam. Ja sobie teraz dni 9 na wsi mieszkam i wyprosiwszy się u króla JM. (nazwa miejscowości nieczytelna) na pogrzeb JM. panny Ursuli, zapadłem do domu. Na miejscu nieboszczki p. Ursuli pani kuchmistrzyna Żyromska i pan Zatorski. Król Imć wyjeżdża do Torunia die 4 Juni. Panowie Comisarze na traktaty jechali, ale onych *nulla spes*, bo się też pan zawiódł i na *clasem* morską (?) Oddaję się zatem powolnymi posługami mymi jako najpilniej w łaskę WM. mego Mciwego Pana w .... die 23 may 1636.

WM. mego Mciwego Pana i Dobrodzieja życzliwy pupil i sługa powolny Zig. Wybranowski Stol. War. mp.

Muzyka (?) kłania się W. M. swemu Mciwemu Panu. Uniżony pokłon JM. Pani Podstolinie mej Mciwej Pani oddaję.

Adres: Jego Mości Panu Piotrowi z Żurowa Danielowiczowi Podstolemu koronnemu ....., Staroście, memu Mciwemu Panu i Dobrodziejowi.«

Poczet listów, pisanych do pana Chorążego, rozpoczyna list pana Franciszka Jordana, starosty Dobczyckiego, tej treści:

»Wymogła to na mnie usilna brata mego, JMci Pana Mencińskiego, instancia, że jeszcze nieskończywszy Świąt chwalebnych solennitatem, o dokończeniu szczęśliwym zamysłom

jego WMm. Pana expostuluję. Nie mam za złe, widząc, że *Amantibus festinatio ipsa mora, mora autem mors est,* ale i z tego respectu, że mi się dostaje przy tej okazyi Świąt chwalebnych *cum voto* wszystkich pomyślnych fortun, *et decorum in hac Republica* powinszowanie J. W. WM. Panu przesłać. Co uczyniwszy, przesyłam i moje i Imci Pana brata uniżoną prośbę, abyć WMm. Pan z łaski swojej chciał do omawiania determinacyi awizować mnie raczył .... Moję do obsługiwania WM. Pana obliguję powolność, którą i teraz pilnie WM. Panu oddając, zostaję WM. MEgo Wielce Mciw Pana uprzejmie życzliwym bratem i powolnym sługą. Fran. Jordan Sta: Dob: w Dobczycach 12 April 1680.«

Po tym następuje list J. Opalińskiego, cześnika koronnego z daty Kraków, 26 Jan. 1681, w sprawie przyznać się mającego na najbliższym sejmie wynagrodzenia panu wojewodzie podolskiemu, za utracone majętności na Ukrainie i Podolu.

Po zwykłym wstępie i wymienieniu affektów braterskich, pisze pan cześnik koronny: »Z wielu tedy miejsc mam tę przestrogę, że JE. Mść Pan Wojewoda Podolski w nagrodę straconych majętności w Ukrainie i Podolu chce się starać w Rzeczypospolitej, aby na teeraźniejszym sejmie były relaxowane i zniesione *vexus juris,* któremi JE. Mść od różnych swoich creditorów jest innondowany. Której *non inviderem* i ja JE. Mści fortuny, gdybym nie miał sam na sobie tego dowodu, że JEMść nietylko w tamtych zawojowanych krajach, ale i tu, gdzie za łaską Bożą i za szczęśliwem JE. Król. Mści, Pana mego miłościwego, day Boże długoletniem panowaniem, od tej niefortuny ojczyzny wolne majętności zostawają. Między wielą innych creditorów w sumie sześćdziesiąt i ośm tysięcy *jure possesorio* przez niegdy JEMści pana wojewode sendomirskiego rodzica *patris, matrimonialibus* wielkiej pamięci JE. Mości pana kasztellana krakowskiego, hetmana wielkiego koronnego, dziada JEMości *satisfacientem* w grodzie krakowskim, od lat 40. zapisanej possesią rzetelną księżny JEj Mości Koreckiej, ciotki mojey *usque ad extrema vitae tempora* utwierdzonej

po gwałtownem majętności odebraniu przez lat dwadzieścia kilka wiela processów grodowych, trybunalskich i executiej a nadto trzema dekretami *ex personaeibus comparitionibus ac gracissimis controversiis* evincowanej po wyłożonej na te przewody prawne sumę capitalną przewyższającej kwocie, *ex terminis satisfactionis gracissimos condemnationes decreta ultimaria finalis executionis* i ostatnie *juris nexus sustinet. Recurro* tedy do WMści MM. Pana z moją braterską *requisitia*, abyś Wmść MM Pan *in publico orbis Poloni theatro* nie dopuścił powagą swoją sprawiedliwości świętej, słuszności i prawa *confusionem*, a mnie z wielą innych tej ojczyzny obywatelom *jacturam pati* nie dopuścił, bo tej *consequentiey* spodziewać się trzeba, że JEMść stamtych krajów na dobra tu pobliższe za takową *relaxatią* sprowadzić creditorów, którzy albo mniej słuszne albo z innych respectów przyznane sobie mają pretensye u JEMści sługi. Co abyś *promovere* chciał *in hoc publico theatro* i mnie wtem szkody uchronił jako uniżenie proszę, tak obowiązany zostaję do każdego służenia WMści MM. Panu. A teraz zostawam JE. MM. Pana uprzeymy brat i niski sługa J. Opaliński.«

Pan kanclerz wielki koronny, pisząc w r. 1686, nazywa jeszcze Chorążego Stolnikiem, bo zaczyna list: »Mnie wielce Mciwy Panie Stolniku krakowski Móy Mc. Panie i Bracie.« Wyraziwszy interes swój prywatny, powiada: »Sejmiki następują deputackie, należałoby na nich kogo z przyjaciół mieć, tak w województwie jako i w księstwie. Racz W. M. Pan dowiedzieć się wcześnie, ktoby się zszedł na funkcyi, a jeślibyśmy swego mieć nie mogli przynajmniej, żeby nie *directe oppositum alias* lepiejby nikogo, *ut moris*. W czem wszystkiem informacyj W. M. M. Pana czekając, zostawam uprzejmie życzliwym Bratem i sługą. J. Wielopolski K. W. K. w Warszawie Augu. 1686« p. s.

W drugim liście z r. 1687 d. 30 kwietnia z Warszawy pisze pan kanclerz: »Wyprawiam do JM. Pana Krakowskiego uniwersały sejmikowe do województwa Krakowskiego i do

księstwa z okienkiem, prosząc J. Mc., aby je W. M. M. Panu odesłał, żebyś mógł z J. X. Biskupem się zniósłszy, czas, który najsposobniejszy osądzisz, zapisać.

Szereg listów od rozmaitych dygnitarzy, jako to: od referendarza koron. Stan. Szczuki, od biskupa płockiego Szembeka, od biskupa kijowskiego Witwickiego, od wojewody sandomierskiego Warszyckiego, świadczy, jak rozległe stosunki miał pan Chorąży i jak zawsze był gotowym do wszelakich posług obywatelskich. Pomijam je tutaj, a przytaczam tylko trzy listy królewskie, które dają wymowne świadectwo, jak wpływowe stanowisko zajmował p. Chorąży pomiędzy bracią szlachtą, jeżeli nawet koronowane głowy odwoływały się do jego pośrednictwa i pomocy. I tak 16 kwietnia 1693 r. pisze do niego król Jan III.

»Jan trzeci z Bożej łaski król Polski, wielki Xiążę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki, Kijowski, Wołyński, Podolski, Inflantski, Smoleński, Siewierski y Czerniechowski.«

»Urodzony wiernie Nam Miły. Zważywszy w każdey okazyey *sincerum et promptum* Wierności twojey ku Nam *animum*, y teraz nie wątpimy, że Wierność Twoja Naszej requisitiej swoją *respondebis* ochotą i *seriam* przyłożysz tam w tym Wojewodztwie *applicationem*, aby regiment nasz dragoński, pod Urodzonym Kuchmistrzem koronnym będący, według przeniesionych summ, vigore trybunału skarbowego Radomskiego z provinciej Pruskiej do wojewodztwa krakowskiego, tym prędzej *emerita stipendia serviatur.* Tudzież tenże nasz regiment, także Semeni i piechota nasza tamże sobie zapłatę naznaczoną skutecznie otrzymali. O co gorąco po Wierności Twojej żądamy, *persuasi de indubitata activitate* Wierności Twojej, że *tantum impende*s swoiej prace y ku Nam życzliwości: iż *merita meritis cummulabis.* Za którą zawsze wierność Twoię Nasza *manebit* wdzięczność, któremu zatym dobrego od Pana Boga życzymy zdrowia. Dan w Warszawie Dnia XVI. mcą kwietnia roku Pańskiego 1693 Panowania Naszego XIX. roku. Jan Król.

W lat cztery potem w roku 1697 pisała z Warszawy do p. Chorążego także »Marya Kazimiera z Bożej łaski Królowa Polska, W. Księżna Litewska, Heska, Pruska, Mazowiecka, Żmudzka, Kijowska, Wołyńska, Podolska, Inflantska, Smoleńska, Siewierska y Czernichowska.«

»Urodzony uprzejmie nam Miły. Przez powracającego ztąd Urodzonego Stockiego odzywamy się Uprzejmości Waszej, jak najuniżeniej żądając, abyś nie przestawał dług Nasz, wygodzonych od lat kilku przez Najjaśniejszego niegdy Króla Pana Małżonka Naszego Najmilszego na wojsko koronne ćwierci wybierać, i pewien będąc, że świadczony w tej mierze Uprzeymości Waszej życzliwy afekt rzetelną naszą recompensować wdzięcznością nie omieszkamy. A że nas zewsząd jednostajne dochodzą wiadomości, jako na generale Korczyńskim nienawiść ludzka szkodliwe bardzo przeciwko Nam i Najjaśniejszemu Domowi Naszemu fabrykować usiłuje fraktury, usilnie zalecamy, abyś zniósłszy się Imieniem Naszem z Wielmożnemi Kasztelanami Woynickim, Oboźnym koronnym, Starostą Bieckim, i Urodzonym Stockim, a jeżeli można będzie i z Urodzonym Starostą Stobnickim, wszelkich szukał sposobów do sparaliżowania intencyj niechętnych, żeby pomienionego generała Korczyńskiego cale nie było, wiedząc o tym, że na nim wszystko złe przeciwko Nam i Najjaśniejszemu Domowi Naszemu attentować zechcą. O czym, że łatwo potrafi przezorność Uprzejmości Waszej, gdy się do tego szczerze applikować, i przyjaciół swoich do tejże dysponować będziesz, życzliwości Uprzejmości Waszej jako zdawna nie wątpiemy. Tak dobrego Onemuż od Pana Boga życzymy zdrowia. Dan w Warszawie Dnia XIX mca stycznia roku Pańskiego 1697 Maria Kazimiera Królowa.«

Także i następca Jana III, August II, zaszczycał zaufaniem p. Chorążego, który był wiernym stronnikiem domu Saskiego. Zachował się w papierach rodzinnych następujący list tego króla, pisany z Torunia do p. Chorążego:

»August Wtóry z Bożej łaski Król Polski, Wielki Xiążę Litewski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki, Kijowski, Wołyński, Podolski, Podlaski, Inflantski, Smoleński, Siewierski y Czerniechowski: Dziedziczny Xiążę Saski i Elektor.

»Urodzony Wiernie Nam Miły. Do doświadczonego Wierności Waszej bezpiecznie czyniemy rekurs affektu w teraźniejszych conjunkturach, w których nietylko wrodzonej ku Ojczyźnie miłości, ale i statecznej ku Nam chęci dać możesz próbę i dowód. Jeżeli kiedy, to teraz widzi każdy *coelum non posse unijus humeris inniti*, i dlatego, czyniąc wszystko z osoby Naszej, cokolwiek *ad integritatem et contentationem publicam* należy, radzibyśmy wszystkich szczerze kochających tę Ojczyznę do skutecznej pociągnęli applikacyej *et ad seriam* o miły kraj *cogitationem*. Czyniemy My co tylko bądź rozumiemy *in presenti statu* potrzebnego, ale skryta złość *sperantibus meliora quam adsentes* wszystkie najlepsze mięsza imprezy, najżyczliwsze *pro bono publico* medytacye *parum amica manu et animo* psuje. Więc przy dzisiejszem nabożeństwie uniżywszy się Nowonarodzonemu Bogu, oddawszy krzywdy i żal nasz i pomstę jako *innocentiae protectori et vindici* zostawiwszy, i szczerze westchnąwszy, aby kędykolwiek ciemne te *in lucem* wywiódł złości skryte *et pro feritati et pro consvetudine* wyjawił *lattratus*, i pokazał światu Polskiemu *integerrimas intentiones et actiones Nostras*, bośmy nigdy nic nie czynili, ani czynić chcemy, coby się do publicznego królestwa tego, któremu nas Bóg *praefecit*, nie stosowało dobra. Mamy w dobroci jego nadzieję, że uwolni *timentes quales* od tej bojaźnie, którą zawziętość na nas *plenis buccis* rzuca, różne *immerita* publikując, które *in cor nostrum nunqam ascendant*. Wyjawi i tych aktorów sekretnych, którzy bunty kozackie *in pernitiem* Ojczyzny albo wzburzyli, albo utrzymują, do których My *nec directe nec indirecte* nigdyśmy się nie przyczynili, i owszem *nihil intermissimus*, coby do ugaszenia zaczynającego się tego ognia pomódz mogło. Wyprawiliśmy do Cara Imci Moskiewskiego z gorącem pisaniem, aby *pro potestate* uskromił *hic*

ausus, gotowibyśmy i sami Osobą Naszą, którą chętnie zawsze na zaszczyt królestwa tego niesiemy i ku tamtej stronie pomknąć się, życząc sobie, gdyby się godziło, *etiam per replicationem* wszędzie tam się stawić *et agere*, gdzie potrzcba *exigit*, gdzie nas szczera chęć *ad defensionem omnium et singulorum* prowadzi. Co podufale Wierności Waszej doniosłszy, do doświadczonego, *iterum iterumque recurrimus* affektu, abyś gdziekolwiek okazya się poda, honoru Naszego i interesów *pro virili* chciał bronić, *et os inique loquentem* zamykać, pewien będąc, że się My *a nemine in affectu superiori patiemur*, i że doznasz we wszystkich także, które się pokażą, osobliwy na osobę i Dom swóy respekt, któremu dobrego od Pana Boga życzymy zdrowia. Dan w Toruniu Dnia XXV miesiąca Grudnia roku Pańskiego 1702 Panowania Naszego VI Roku. August Rex.«

Po tych listach królewskich, idąc porządkiem chronologicznym, następuje list Księżnej Marszałkowej Lubomirskiej, pisany z Wrocławia w r. 1704, w którym skarży się przed Chorążym na spustoszenia, jakie jej Sasi w dobrach robią: »Trudno wyrazić — pisze księżna — jako srodze dobra moje ludzie Sascy zrujnowali i w jedną prawie, rozprószywszy poddanych i folwarki przetrząsnąwszy, obrócili pustynią, chociaż żadnego do mnie, dalekiej od wszelkich intrygów, nie mieli i mieć nie mogą protekstu. Teraz jednak, gdy się reassumptiej z przyszłych okoliczności spodziewać nam potrzeba, zanoszę moją poufałą prośbę do WMści MM. Pana, jako zdawna życzliwego sobie i całemu domowi naszemu przychylnego, abyś z łaski swojej wespół i z innymi Ichmściami przyjaciołmi i colligatami memi przy moiej krzywdzie stanął. Policzę — pisze w końcu — ten dobry afekt WM. MM. Pana między inne życzliwości dowody, które wraz wszystkie zasłużyć powinna będę, zostawając WMm. Wielce Mci Pana siostrą życzliwą i powolną sługą Lubomirska.«

W innych listach z tych czasów znajdujemy instancye zanoszone do p. Chorążego, ażeby w województwie swojem

przyczynił się do przyśpieszenia wypłaty zalegającego wojsku żołdu. W tej sprawie udaje się do niego książę Lubomirski i w tejsamej sprawie pisze hetman w. koron. Sieniawski z obozu pod Zamościem d. 25 sierpnia 1712:

»Wypróbowana ku interesom publicznym Rzptej *dexteritas* WM. MM. Pana i oświadczona zawsze tak całemu wojsku jako własnej osobie mojej przychylność, *adstringit* mię, abym *desideria* wojskowe na teraźniejszym zjeździe WMść Panów nigdzie indziej nie lokował, tylko *in sinu* łaski i powagi WMść MM. Pana. Pewien będąc, że cokolwiek w liście moim do Prześwietn. Wdztwa WM. Panów *remonstratum*, jako rzecz w teraźniejszych konjunkturach *in publicum* wielce potrzebną, *manu tenere* WMm Pan zechcesz i płacę woyska do jako najprędszego skutku doświadczonym kredytem swoim i applikacyą przyprowadzić będziesz raczył. Jeżeliby też na tamtem miejscu zdarzyła się wzmianka osoby albo urzędu mego, proszę uniżenie, abyś WMść Pan chciał z affektu swego pokazać rzetelny dowód życzliwej ku mnie przyjaźni, którą ja w podających się okazyach partykularną *rependam* obligacyą, zostając ochotnie WM. Pana życzliwy jak Brat i sługa powolny Sieniawski.«

Listy te są smutną ilustracyą owych czasów samowoli i rozprzężenia, w których władza rządu do tego stopnia była już osłabła, że pierwsi dygnitarze koronni uciekać się musieli do protekcyi wpływowych w województwie osobistości, aby za ich łaskawą pomocą uzyskać od braci szlachty to, do czego ich na mocy prawa powagą swojego urzędu zniewolić nie mieli możności.

Chociaż p. Chorąży był wiernym stronnikiem Augusta II, to jednakże zachowywał on zawsze dawną życzliwość dla rodziny króla Jana III, z którą łączyły go ścisłe stosunki. Dowodem tego przytoczony poniżej list sekretarza JK. Mści, p. Wojciecha Stanisława Chrościńskiego, pisany do p. Chorążego z Wrzosowej pod Jasną Górą d. 16 września 1714 r.:

»*Monseigneur!* List królewica Jmci Jakóba, *magni Aestimatoris* Osoby WMści Pana i Dobrodzieia, odsyłam, przy

mojej należytej veneracyej, i ciesząc się, że w Krakowie posłaniec ten zastanie WMść Pana, śmiem uniżenie prosić, ażebyś mu WMść Pan raczył kazać dać wiadomość o Jmci Panu Staroście Oświęcimskim, gdzie go ma szukać, gdyż także jest osobny adres do Jmci, *ab illo Principe* w pewnym interesie. Posyła się też karta Jmci Pana Wojewody Wileńskiego, jeszcze pod Sozczawą w obozie dana Nieb. Sp. królowi Jmci na m/10 talarów bitych, a dotąd niewypłacona, na królewica Jmci, *circa exdivisionem* spadła do oblaty grodu krakowskiego, która, aby mogła być przez extrakt wyjęta, i od WMci Pana podpisana, przy pieczęci, uniżenie Imieniem Pryncypała mego upraszam WMść Pana, tudzież o respons na list jego, który się w przyszłe Święta, da Pan Bóg, do Olawy odeśle. *In reliquo* oddaję się nieodmiennej łasce i protekcyej WMść Pana i Dobrodzieja, zostając uprzejmie życzliwym i uniżonym sługą.«

Po tym liście następują dwa listy bez daty z niewyraźnym podpisem, zasługujące jednak dla treści swojej na uwagę.

W jednym donosi ktoś Chorążemu o sprawie Łyszczyńskiego, oskarżonego o to, że w Boga nie wierzył, którego na ciężką śmierć osądzono, »czego ani Ojciec św. Innocenty XI nie pochwalił, ani król JEM. bez utrapienia i boleści nie mógł ponieść, bo się dawno w Polsce nie trafiało, ażeby tak okrutnie bezbożnych karano.«

W drugim liście znajduje się wzmianka o ks. Lubomirskim, podobno Marcinie, trochę niedowiarku a trochę literacie, bo pisał i badał rozmaitych autorów o nieśmiertelności duszy, — iż jeżdżąc po folwarkach rozległych dóbr swoich, spostrzegł przy drodze leżące dwa ciała, mężczyzny i kobiety. Obeszło go to bardzo i kazał je zaraz uroczyście pochować. W parę dni potem, siedząc sam wieczorem w ponurych komnatach swego zamku w Rzeszowie, usłyszał, że ktoś wszedł do jednej z komnat, a kiedy się spytał, kto o tej porze bez wołania śmie chodzić, odebrał odpowiedź:

— My Mości Książę, których kazałeś pochować, przyszliśmy ci podziękować i stwierdzić, że jest nieśmiertelność duszy! Duchy te zaraz znikły, a książę z niedowiarka stał się nabożnym i razem ze swoją żoną, córką jenerała węgierskiego K.... przyczynił się do fundacyi p. Chorążego klasztoru OO. Reformatów w Kentach.

Są także interesujące listy rodziny hr. Celarych, osiadłej na Szląsku, pisane w drugiej połowie XVII wieku. Świadczą one o ile język polski był tam w owych czasach w używaniu w życiu towarzyskiem, gdyż w tym języku własnoręcznie korespondencya się toczy i brat w liście do siostry, mieszkającej w Wiszówce, wyraża się czysto po polsku i pisze nawet wykwintnym stylem ówczesnym. Rodzina hr. Celarych mieszkała wówczas koło Głogowa, gdzie państwo Lublińskie do nich należało. Posiadali oni też wiele wsi w Polsce. Od tych Celarych kupił p. Chorąży w r. 1694 Olszę i Promnik pod Krakowem i dlatego wiele listów tej rodziny zachowało się w archiwum kossowskiem.

Na zakończenie tej korespodencyi z czasów p. Chorążego pozwolę sobie przytoczyć list p. Chorążyny z domu Pie głowskiej, pisany wkrótce po jej zamężciu do męża. Jest on próbką korespondencyi małżeńskiej z owych czasów i obok zwykłej atencyi dla męża, odznacza się niezwykłym u niewiast ówczesnych rezolutnym humorem i rzadką w XVII w. u płci pięknej wprawą w pisaniu:

»W Jakóbowie w niedzielę wielkanocną 1678.

»Moja jedyna pociecho albo bardziej frasunku wielki, kiedy w niebytności! Bez WM. moje serce zostaje, co i teraz wielce cierpię, wielkie trudności i turbacye ponoszę, a to umyśliłam pisanie to do WM. zostawić przy mojej Pannie, a sama musiałam się puścić Ichmościów odprowadzić, bo choćbym była i czekała na przyjazd WM., tom się nie bardzo spodziewała WM., boś Wasze pisał do mnie, żeś WM. miał być na wielką noc, aleś WM. nie pisał, żeby na święta. Nie wiem jako to tę wielkanoc rozumieć, czy to na ową, co bywa naj-

większa koło Bożego Narodzenia? czy jako inaczej? Także miałeś WM. posłać umyślnego, jeżeliby do tego było nie przyszło, żeby WM. miał być... ponieważ ani WM. Pana, ani nikogo nie było widać, dla tegom tedy nie czekała przyjazdu WM. Pana bom się bała omylenia, a z wielką to było moją tęsknością i żalem, kiedybym była miała zostać, a i WM. się nie doczekać na Ichmościów nie doprowadzić. Zaczem proszę uniżenie, mój kochaneczku, żebyś WM. za nami do Skorczewa przyjechał, a jeśli mnie WM. w Skorczewie nie zastaniesz, to WM. do Uścia poślej do mnie, a jabym zaraz do WM. do Skorczewa przyjechała, tylko się WM. zatrzymaj na mój przyjazd. A teraz mój kochaneczku, oddając się łasce nieodmiennej WM. MM. Pana z gustem rączki całuję WM. K. Żydowska.

Proszę mój kochaneczku, żebyś WM. się ze mną widział, niżbyś WM. odjechał do domu pierwej, bo gdybym tego nie miała otrzymać z łaski WM., śmierć by też już moja była bobym musiała zwątpić o miłości WM., a tę mam nadzieję, że w każdym terminie znać ją będę, w czem i teraz nie wątpiąc, uniżenie proszę, choćby też i najpilniejsza droga była, bo mam swoje racye, czemu, opowiem ustnie.

Adres: Memu z serca kochanemu mężowi Jegomości Panu Andrzejowi Żydowskiemu oddać pilno.«

Ponieważ Pan Chorąży należał w r. 1687 do komisyi rozdzielającej owe »miliony,« które August II przy elekcyi przez *pacta conventa* deklarował, zachował się więc także w archiwum kossowskiem ciekawy zbiór kwitów przez właścicieli regimentów lub też deputatów od chorągwi panów senatorów wydanych.

Kwity pisane są w jednej formie, tylko stosownie do zaległych ćwierci na wojsko, wysokość kwoty różna. Jest ich 30 i kilka, a rozpoczyna je kwit p. regimentarza Lanckorońskiego w tej formie, w której i inne są pisane.

— »Ja niżej podpisany zeznawam tą recognitią moją, w ręce Wielmożnego Jmci Pana Andrzeja Jana z Żydowa Żydowskiego, Chorążego Wdstwa i Sędziego grodu Krakow-

skiego, commisarza od Rzpltej na elekciey blisko przeszłey do podziału summ od Najjaśniejszego Augusta wtórego, obranego króla polskiego, declarowanych tu do Lwowa zwiezionych i przez J. W. Im. Pana Jerzego Prebendowskiego, kasztelana chełmińskiego upewnionych y asekurowanych, przyznawając, iż na tenże regiment mój w ćwierci Augustowey 1695 Anni porcyi Nr. 128, w ćwierci Novembrowej Anno eodem tamże porcyi Nr. 113, w ćwierci Februariuszowey Anni 1696 tamże porcyi Nr. 124. Na ostatek w ćwierci Majowey Anno eodem tamże porcyi Nr. 125. Według liquidatiey na trybunale Skarbowym lwowskim blisko przeszłym, i według reyestrów zaprzysiężonych, a przez JW. Mci Panów Commisarzów produkowanych, przychodzącą sumę 22 tysiące złotych polskich odebrałem, i z realiter odebraney tak skarb Rzpltej i Wodztwo krakowskie, w którem z repatytiey płaca tych ćwierci należeć miała, kwituję. Żadney respectiwe zasług regimentu mego w tych wyżej wspomnianych ćwierciach czterech nie zostawując sobie do Rzpltej ani Wdztwa pomienionego pretensyjej. Na co się podpisuję we Lwowie na commisyi die 31 Augusti 1697. Lanckoroński.«

Dalej na kwitach są podpisy tylko samych p. deputatów. I tak po niemiecku kwituje deputat za regiment JM. Berensa pułkownika. Na innych są podpisy deputatów znanych rodzin, jak: Hołyński, Biberstein, Błoński, Zaleski, Konopka, Kossowski, Obertyński, Oświencim, Żaboklicki, marszałek komisyi lwowskiej, Grzymała, Korczakowski, Markowski, Zabilski, Jabłoński, Przysłuski, z Kępna Kępiński, Sobolewski, Hryniewiecki i inni. Są jednak podpisy takich pp. deputatów, którzy się podpisali znakiem krzyża świętego.

Chorągwie zaś są następujące: chorągiew pancerna JM. P. Lubowieckiego, starosty oświęcimskiego. Chorągiew JW. P. Stefana Potockiego, łowczego kor. Regiment pieszy W. Hieronima Lubomirskiego, podskarb. w. k. Regiment pieszy Najjaśniejszej królowej JEy Mści pod WK. kasztelanem czerskim. Chorągiew usarska Aleksandra Cetnera star. szczurowskiego. Chorągiew pancerna P. Marcina Sabora Chełmskiego, oboźnego

koronnego. Na presidium zamku Lubowla. Regiment pieszy JWP. kaszt. Kamienieckiego po JWP. wojewodzie sandomierskim. Regiment dragoński Stefana Branickiego, stolnika koronnego. Chor. panc. JW. ks. biskupa poznańskiego. Chorągiew *Frey Compania* WP. star. dobczyckiego, podpis Michał na Zakliszynie Jordan. starosta dobczycki. Chor. star. olsztyńskiego. Chor. panc. JM. margrabiego pinczowskiego po śp. JW. panu woj. sandomierskim. Regim. dragoński WP. Szczęsnego Potockiego, woj. krakowskiego. Chor. WP. Józefa Potockiego, star. halickiego. Chor. panc. WP. Hieronima Lanckorońskiego, podkomorzego podolskiego. Chor. panc. WP. Stefana Górskiego podczaszego kijowskiego. Chor. panc. WP. Aleksandra Potockiego, podkomorzego halickiego. Chor. usarska JOKs. Radziwiła podkomorzego W. X. Lit. Chor. panc. WP. Łaska, starosty dymirskiego. Chor. panc. Zaborowskiego, stoln. nowogrodzkiego. Chor. panc. Najjaśniejszego króla Jmci Jana III. Chor. usarska JW. Dolskiego, marszałka W. X. Lit. Chor. panc. Pruszyńskiego, chorążego żytomierskiego. Chor. usarska JWP. Michała Warszyckiego, wojew. sandomierskiego. Chor. panc. WP. Jakóba Morsztyna, star. kowalskiego. Chor. panc. JOKs. Janusza Wiśniowieckiego. Chor. panc. JWP. Chomentowskiego, wojewody bracławskiego.

W skołatanej wszelakiem nieszczęściem ojczyźnie, przyczyniały jeszcze kłopotu niedołężnemu panowaniu saskiemu niesnaski między stanem duchownym i świeckim, które szerzyły się w sądach i trybunałach. Przyczynkiem do smutnych dziejów tego sporu jest poniższy ustęp z listu marszałka w. k., pisanego do Augusta III do Drezna w r. 1753:

— »Co zaś jeszcze do usposobienia i do potrzeby publicznego zostaje interesu włożenie powagi W. K. M. do Ojca św., a jako w państwa swoje pożądane W. K. M. nastąpi przybycie, byle z obydwóch stron sama była przedsięwzięta, z uwagą konsekwencyj, sprawiedliwość, łatwo nastąpi wieczna, z dawna pożądana między stanem duchownym i świeckim jedność i wieczne wiary św. utwierdzenie. Niech to będzie pierwszemi

w tej okoliczności dowodami prawdziwego i ochotnego woli Pańskiej posłuszeństwa, niech będzie dowodem nie inszych, tylko zawsze do dobrego i szczęśliwego końca zmierzających intencyj, które przed powagą Majestatu W. K. M. oświadczywszy, z najgłębszą jego zostawam weneracyą W. K. M. P. M. M. wierną radą obowiązany i najniższy sługa Franciszek Biliński. M. W. K.

Król, który w czasie swego niedołężnego panowania więcej przesiadywał w Dreźnie, niż w Warszawie, zjeżdżał chyba na to tylko do Polski, ażeby pisać o poparcie na sejmach do ziemian. Jeden w takich listach przechowuje się w tece p. chorążego, w którym August III pisze do WP. Koca, podkomorzego bełzkiego, co następuje:

»August III z Bożej łaski król Polski, Wielki Książę Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki, Kijowski, Wołyński, Podolski, Podlaski, Inflantski, Smoleński, Siewierski, i Czerniechowski, a dziedziczny Książę Saski i elektor«.

»Urodzony wiernie nam miły. Po tylu infructive rozeszłych sejmach, trzebaby mało mieć nadziei w dalszych około dobra Rzpltej do podjęcia prezentujących się pracach, gdyby miłość ojczyzny nie dodawała ochoty i nie zakazywała opuszczać ręce. Lubo tedy pamiątka przeszłych publicznych rad żalem tylko serce ścisnąwszy, wstręt czyni zaprzęgać się do tej pracy, którą właśni tej ojczyzny synowie bezbożną rozrabiają ręką — jednak z drugiej strony ratunek nas samych choć późny, zawsze przecież naturalny, a tem samem zawsze przyzwoity powinien nam być w konsyderacyi. Z tej tedy okoliczności bierzemy świeże do uszczęśliwienia państw tej Rzpltej przedsięwzięcia, nie żałujemy nowej fatygi, kiedy według prawa sejm ordynaryjny i sejmikom poselskim w wyrażonych uniwersałach naszych czas naznaczyliśmy. Żądamy tylko po wierności twojej, abyś wielkim kredytem swoim i roztropnością chciał na tym sejmiku wyrażone w instrukcyi naszej sekundować punkta. Wątpić nie trzeba, że łatwo pilnego do tego przyłożysz starania, kiedy przy otwartem sercu naszem ku dobru

pospolitemu, nie znajdziesz inszej do promowowania materyi, tylko tę, która całość ojczyzny utrzymywać może. Tej jesteśmy ufności, że wierność twoja, dawszy zawsze miłości ojczyzny dowody, nie omieszkasz z zacnymi kolligatami swymi do tego prowadzić końca publiczne obrady, aby przyszły sejm *utilitate publica* mógł *coronari.* Dobrego przytem od Pana Boga życzymy zdrowia. Dan w Warszawie dnia 10-go miesięca Czerwca roku pańskiego 1748 panowania naszego XV roku — Augustus Rex«.

Z czasów konfederacyi barskiej, w której jak już powiedzieliśmy, brał udział prawnuk chorążego, znajdują się jeszcze dwa listy dosyć ciekawe. A że historya dotąd nie zebrała dla pamięci potomnej wszystkich bohaterskich usiłowań tej konfederacyi, zatem każdy szczegół z tej epoki, a przedewszystkiem wiadomości o ludziach, którzy w niej wybitniejszą odgrywali rolę, ma wartość i jest pożądany.

W jednym liście — w rodzaju raportu — donosi kolega p. Tomaszowi Wilkońskiemu, d. 7 Januarii od Częstochowy:

»Nie znajdowałem się w domu, dopiero w sobotę przyjechałem przed wieczorem, byłem w Rudnikach, dobrach Xcia biskupa krakowskiego, gdzie się kordon wyciąga, patrzałem z góry ztamtąd na Częstochowę, która w całości zdrowa, choć od dnia ostatniego Xbra dzień i noc attakowana; przy każdym attaku Derewicz z wielką stratą odpędzony. W piątek byłem u generała Dalwika, który wyjeżdżał za kordon na górę do Polski, zkąd powróciwszy, upewnił, że Derewicz nie dostąpi do fortecy i ze wstydem odejdzie. Bomby rzucał, które przenosiły fortecę, drugie na powietrzu rotrzaskały się, jedna padła na kościół, ale żadnej szkody nie uczyniła, tylko dziurę w dachu wybiła i przygasła. W piątek po obiedzie znowu attakował, równie ze stratą odpędzony. W sobotę o 5-tej zrana przed dniem attakował, za wydaniem razy trzy ognia z fortecy z dużych armat odpędzony. Trupów we wszech stronach moc leży, grzebać ich nastarczyć nie mogą. Słuszny półkownik kozacki zginął w sobotę rano. Gdy się dobrze wypogodziło,

jeździłem na tę górę, widziałem klasztor w całości i wieże obydwie na kościele. Ta rzecz najbardziej podziwienia godna, że sześć dni i tyleż nocy w pryncypalną bramę ustawicznie biją, ani kawałka muru w niej nie zepsuto. Generał Dalvik i to mi powiedział, że gdyby 200 konnych wypadło, toby Derewicza w niwecz obrócili. Prowianty i wozy wszystkie popalono. Więc po moim odjeździe musiało nie wiele nastąpić, bo dotąd żadnej wiadomości nie mam, chociaż we trzy strony wysłałem; to mi tylko za pewność twierdzą, że sukurs konfederatom w nocy miał nadejść. Żalił się generał tenże, że kozacy rabując, przypadają pod kordony.

Dziś odebrałem wiadomość, że pan Puławski, wypadłszy z fortecy, Derewiczowi armaty zagwoździł i baterye powywracał«.

Drugi list jest to kopia listu ks. biskupa kamienieckiego (Krasińskiego) niestety bez końca, z daty 15... 1772 (?). Nacechowany on jest w każdem słowie takim gorącym patryotyzmem, taką bystrą przenikliwością, głębokim rozumem i nieustraszoną odwagą — jakiemi odznaczało się całe działanie ks. biskupa Kamienieckiego — i dlatego przytaczam go tutaj w całości.

— »Jeżeli oczywiste oszukanie w Radomiu nie może nas uczynić ostrożnymi, jeżeli zdrada przez prymasa i podskarbiego nie potrafiła zrobić nas roztropniejszymi, jeżeli na ostatek własne doświadczenie, świeże przykłady, bieda i niewola nie może nas przyprowadzić do rozumu i oświecenia, trzeba być koniecznie wyperswadowanym, że zguba nasza jest wyroków Boskich przeznaczeniem. Chwyciliśmy się w Radomiu szaleństwa, w obłudną deklaracyę moskiewską przystrojonego, że nam miał tron Polski od teraźniejszego uwolnić tyrana. Przysięgał Podoski w Radomiu, Wesel w Warszawie, Mniszech w Wielkiej Polsce i Pociej z Brzostowskim w Litwie, że tajemnica detronizacyi w moskiewskim gabinecie ułożona, im tylko samym objawiona i staraniu ich polecona. Wkrótce jednak czas odkrył i potem pokazał, że jeden podjął się tej

zdrady dla prymasowstwa, drugi dla przywrócenia skarbu, trzeci przez zemstę, inni dla prywaty, zysku i ambicyi. Powinniśmy byli postrzedz się i rozeznać obłudę od zdrowej rady zaraz po przystąpieniu króla do konfederacyi radomskiej, przecież ślepota nasza trwała aż do samego sejmu, trwało zaufanie w obietnicach autorów konfederacyi, trwał kredyt i wiara, trwała naostatek lekkomyślna do zguby nąszej powolność; słuchaliśmy przez usta tychże autorów promulgowane omamienia, że ponieważ Moskwa dla walnych przyczyn przystąpić do detronizacyi nie mogła, a mianowicie, że przy wakującym tronie dzieła uszczęśliwienia naszego skutecznie dopełnićby nie potrafiła, więc odłączywszy tę materyę, chce pierwej na sejmie delegacyjnym zrobić nam pożądną administracyą Królestwa, powtóre uczynić pomiarkowanie między tronem a wolnością, naostatek nową jakąś postać rządu zbawiennego rozumnemi prawami obwarować«.

»Przestrzegał nas Xiążę biskup, przestrzegał wojewoda krakowski, wołało wiele innych poczciwych obywatelów, że wszystkie deklaracye moskiewskie są sidłem na karki nasze i grobem dla wolności, ale zaraz w drugie ucho szeptali nam autorowie konfederacyi, iż biskup krakowski nie gada tylko dla baldachymu, hetman dla konsensów, a w innych nie odzywa się tylko czysty fanatyzm i tak chytremi fałszami rozum w nas zbałamucili, czy zasłonili i poczciwą radę rozumnych ludzi ohydzili podejrzeniem«.

»Zaczęliśmy dopiero przeglądać ku końcowi Delegacyi, kiedy ta cała machina, wielkiemi nadziejami napełniona, skończyła się na przyłączeniu opactwa Oliwskiego do prymasowstwa, na powiększeniu pensyi do trzech kroć sto tysięcy podskarbiemu, na frymarkach intratnych starostw i królewszczyzn za podłe i mizerne kawałki, na podarunkach, na largicyach i rozprószeniu publicznych podatków. Otworzyły się nam naówczas oczy, ale na to tylko, żebyśmy obaczyli błąd nasz i nad nim zawieszony miecz, kajdany i niewolę. Szukaliśmy swych przewodników, którzy nas w tę otchłań zaprowadzili, ale jedni

się pochowali, drudzy z prostoty naszej naśmiewali się. Zdrętwieliśmy na to, kiedy Podoski i podskarbi, pierwsi zwodziciele, dla większego z nas urągania, pytali się na sesyi prowincyonalnej, czy mamy sto tysięcy wojska, żebyśmy się potędze Moskiewskiej oprzeć mogli. Struchleliśmy, słysząc bluźniącego Gurowskiego: że Najświętsza Panna zmazać nie potrafi, co Carowa Jmć. o nas napisała. Obaczyliśmy senatorów, mężów zacnych, o Wiarę i wolność obstających, z pośrodka nas w niewolę porwanych. Poznaliśmy niewysłowioną ich ochotę, poznaliśmy oraz fałsz potwarzy, niegodziwie na nich rzucony, ale to wszystko już było nierychło. Już widzieliśmy po jednej stronie usypaną mogiłę z praw i swobód i wolności naszych, po drugiej tryumfujących Repnina i króla z gminem zdrajców i zaraz przy nich obfite nagrody za zdrady. Widzieliśmy ordery moskiewskie, ordery polskie, sobole, dyamenty, pieniądze, porcelany, a co więcej krzesła i urzędy polskie między zwodzicielów rozdawane, widzieliśmy razem rozpacz naszą *et pretium* krwi zaprzedanych senatorów, zagrzebanej wolności i wiary sprofanowanej«.

»Nie wątpię, że ta smutna pamiątka sprawi w umyśle J. W. W. M. W. Mc. Panów zadumienie, dla jakich przyczyn w okolicznościach teraźniejszej obrony i ratunku, zamiast posiłkującej rady wystawuję w oczach Ich okropne zguby Ojczyzny naszey wyobrażenie. Dlaczego opisuję historyą świeżej epoki, gdzie chytrość moskiewska, obłudne postępki wyrodnych obywatelów, gdzie naostatek lekkomyślność nasza i sposoby zażyte do omamienia rozumu naszego są nam przytomne i dobrze znajome. A niżeli się wyexplikuję, niechaj mi się godzi przypomnieć JWWM. Panom, że podczas konferencyi Radomskiej, ani między zwodzicielami, ani w liczbie zwiedzionych i oszukanych nie znajdowałem się. Byłem wprawdzie sprowadzony pod Radom przez Xcia biskupa Krakowskiego i wzywam śmiele świadectwa JMCi P. generała Zboińskiego, że na dwie godziny do Radomia zajechawszy, o zdradzie moskiewskiej, o chytrości księdza Podoskiego, podskarbiego przestrze-

gałem, na ostatek wszystkie nieszczęśliwości przepowiedziawszy, sam siebie do negocyacyi z Turkami ofiarowałem.«

»Wybaczyć raczycie JWWM. Panowie, że teraz też same obowiązki poczciwego senatora wziąć muszę na siebie, ponieważ widzę, że zapomniawszy projektu znoszenia się z Potencyami, o uwolnienie nasze troskliwemi, kładziecie głowę w toż samo jarzmo, w te same sidła, z których się wyplątać usiłujecie, słowem mówiąc też samą tragedyą, tych samych aktorów i zwodzicielów przenosicie z teatrum Radomskiego do Preszowa. Szukajcie, jak chcecie, JWWM. Panowie początku w całej osnowie omamienia waszego, nic okazalszego nie znajdziecie, tylko jedną detronizacyę króla, która was do zrobienia konfederacyi Radomskiej zachęciła — czyż nie możecie poznać, że ciż sami szalbierze toż samo sidło ofiarują Wam pod pokrywką *Interregni*.«

»Gdyby nie było inszych dowodów, zawsze dosyćby być powinno tego objaśnienia o zdradzie chytrych *interregni* konsyliarzów, że Imc. Pan Gomuliński nalegał imieniem Francyi, że podskarbi roznosił listy Ponseta, radzące imieniem Saksonii, że na ostatek Karocki przykrzył się o to z Konstantynopola, a potem wszystko pokazało się fałszem i utajoną zdradą IM. Pana podskarbiego. Wszakże oprócz listu JM. P. de Choiseul, pierwszego ministra dworu francuskiego, w których JWM. Panom zdanie swoje wcale dalekie od insynuacyi JM. Gomulińskiego otworzył, jeszcze jaśniej odkrył się fałsz na konferencyi w Dreźnie w przytomności Najjaśniejszej Królowiczowej Elektorowej wdowy, J. pana Zukmantela, ministra francuzkiego, JM. Pana podkanclerzego saskiego, na tę konferencyą od Elektora JMci delegowanego, J. Pana Roztworowskiego, ministra od Generalności do dworu drezdeńskiego posłanego, J. Pana Ponseta, sekretarza legacyi francuskiej, na ostatek w przytomności samego J. P. podskarbiego, gdzie żadna potencya do tej Rady przyznać się nie chciała, i owszem tak JM. P. minister francuski jako i J. P. podkanclerzy saski ministerialiter JM. Pana Roztworowskiego ostrzegali i warowali sobie

imieniem dworów swoich, ażeby *Interregnum* preklamowane nie było bez wyraźnego ich pozwolenia. Powróciwszy z Drezna nic nie omieszkałem zaraz donieść JW. Panom, com widział, com słyszał, i czegom się nauczył, że J. P. podskarbi, spojony węzłem dawnej przyjaźni, ogniwem dawnego rzemiosła z Xciem Jmc. Prymasem a Prymas z Moskwą rozszarpali najpierwej między siebie pieniądze saskie, a potem pod powagą Saxonii i innych potencyj przez Gomulińskiego i niektórych skarbowych ludzi chcieli tę zdradę do konferencyi wtłoczyć, żeby projekt moskiewski do rozdwojenia Narodu i dozwolenia wojny domowej Wołkońskiemu ułatwić i drogę utorować.«

»Niechaj mi się tu godzi przypomnieć JWW. Panom historyą Bierzyńskiego, której sami JWW. Panowie jesteście świadkami; widzieliście, z jakiem usiłowaniem nalegałem o fortyfikowanie Krakowa, pisałem projekta, sprowadzałem inżynierów, prosiłem, żeby dywizya JW. Pana Bierzyńskiego lokowała się między Warszawą a Krakowem dla zasłonienia tej operacyi, a tymczasem JM. P. podskarbi pod pozorem kłótni jakiejś z Xięciem Sulkowskim, ściągnął Bierzyńskiego z całem wojskiem ku Białej pod Sącz, zamiast myślenia o utrzymaniu Krakowa, projektował uformować koło, proklamować *Interregnum*, obrać marszałka związkowego generalnego, na ostatek swoich pisarzów komornych, celników i mytników Województwom i Ziemiom przez woysko marszałkami wywołać i gwałtem imponować postanowił. Ten cały postępek, jeżeli nie może być jeszcze konwikcyą jawnej zdrady, tedy to bałamuctwo ostatniem głupstwem osądzić należy. Któż słyszał proklamować *interregnum*, a Kraków opuszczać, gdzie konwokować senatorów, gdzie miejsce rady założyć i gdzie dalsze według prawa o bezkrólewiu dopełniać obowiązki. Nie chcę ja zatrudniać JWW. Panów opisywaniem tych dziejów, na któreście patrzali, widzieliście, z jakim wstydem opuszczono Kraków, jak go niemiłosiernie obdarto, jak w nim kilku hołyszów sól zmarnotrawiło, na ostatek, jak się Bierzyński obrócił i gdzie się podział, ale o tym podobno JWW. Panowie uwiadomieni jeszcze

nie jesteście, że tenże Bierzyński publicznie głosi, iż nie czynił tylko, co mu kazał JW. podskarbi. Przyjdzie czas obszerniejszego dowodzenia zdrady, gdy zdrajców szukać będziemy, pokażą się mowy na *senatus consilium*, gdzie Jm. podskarbi czterdzieści tysięcy Moskwy do Polski zapraszał na pognębienie konfederacyi Barskiej. Dwie exkuzy, o których już mi się słyszeć zdarzyło. 1-sza, że był przymuszony, 2-ga, że nie wiedział, iż to jest konfederacya prawdziwa za wolnością — są bardzo słabe do usprawiedliwienia tak wielkiego występku. Wszakże nikogo na Syberyą nie wzięto z tej rady Senatu za stanie przy konfederacyi Barskiej, wszakże minister przysięga, że nic szkodliwego radzić nie powinien, wszakże na ostatek prawo infamisem deklarowało tego, któryby exotyczne woyska na karki współbraci swoich bądź złych, bądź nieposłusznych wśród wnętrzności Oyczyzny swojej zapraszał i sprowadzał. Przyjdzie i ten czas, gdzie i ja przed całą oyczyzną obowiązany będę explikować się raz jako senator z rady mojej w Kole generalności dawanej — drugi raz jako konfederat ze wszystkich moich czynów i korrespondencyi; niżeli jednak ta pora nastąpi, znam się, żem winien JWW. Panom usprawiedliwienie, i dlatego składam w Archiwum Generalności kopię listu pisanego do JM. Pana generała Zboińskiego *sub data 7. Sbris* do Wiednia tak, jakom zawsze zwykł wszystkie korrespondencye moje przychodzące i odchodzące, wszystkie projekta, planty i rady z rady, z podpisem moim oddawać do Kancelaryi JWW. Panów chcąc, aby tym sposobem wszyscy, których obowiązek albo miłość ojczyzny do ratunku zagrzewa, nie przez szepty i przez tajemne intrygi, ale przez projekta ręką własną podpisane rady swoje Generalności subministrowali. Nie wstydzę się za moje zdanie i owszem cokolwiek w pośrodku JWW. Panów miałem honor mówić, toż samo teraz do przyjaciół moich rozpisuję. Mówiłem od początku konfederacyi toż samo i teraz powtarzam, że nam dwóch fatalnych przypadków w dziele obrony naszej chronić się należy: 1-mo wojny domowej, 2-do wojny generalnej. Wojna domowa osłabi siły konfederacyi,

rozdwoi obywatelów, zniszczy kraj, zohydzi przed potencyami naród, i naostatek obrzydzi nasze interesa w gabinetach nam sprzyjających; wojna generalna, jeżeli się z przyczyny naszej między sąsiadami zapali, nigdzie już według pozycyi Państw jeden monarcha u drugiego indemnizacyi expensy wojennej znaleść nie może, a przeto kraj Polski musi być podzielony. Dawałem wiele sposobów uchronienia się od tego nieszczęścia. Popierałem nieodbitemi racyami i jasnemi dowodami, iżbym zawsze rozumiał, że takiego, któryby szukał zapalić między obywatelami wewnętrzną wojnę za największego nieprzyjaciela Ojczyzny naszej osądzićby należało. Prosiłem i zaklinałem na miłość wiary i Ojczyzny, ażebyście interregnum nie proklamowali bez wyraźnego Potencyj nam sprzyjających zezwolenia, sądząc to być pierwszą ich iskrą wewnętrznego ognia, którego bez posiłków zagranicznych i influencyi gabinetów ugasić ciężko by nam było. Naostatek radziłem odłożyć ten krok do skutków wojny tureckiey, do lepszego objaśnienia dworów przez Manifest i publiczne oskarżenie Pana Stanisława o uzurpacyę tronu, o zdrady, o kointelligencyę z Moskwą i zobopólną z nieprzyjacielem naszym na wolności, na prawa, na Wiarę i na całą Ojczyznę następywanie. Teraz zaś, gdy uwiadomiony jestem przez list J. W. Marszałka Glnego L. o wydanych już uniwersałach *Interregni*, oświadczam powinne wyroków Ich uszanowanie, dopełniając tego posłuszeństwa, które w przysiędze mojej obiecałem i sumiennie potwierdziłem, pozwolić mi jednak raczycie JWW. Panowie, ażebym prawdę w szczerości ducha mego powiedział, że jeżeliście te rezolucye wzięli bez zniesienia się z dworem wersalskim, wiedeńskim i drezdeńskim, tedy bądźcie pewni, żeście strzelili do własnej stodoły, narobiliście huku, aleście majątek wasz zapalili. Skutków zaś zamysłów waszych spodziewać żadnych się nie możecie. Sytuacya interesów naszych taka jest dzisiaj, że co dwory przyjacielskie o nas osądzą i postanowią, to wszystko my z pokorą przyjąć i wypełnić musimy, nie nasze uniwersały, nie nasza wola i żądanie dyrygować będzie i obracać koło Europy, ale ku tej

stronie potencye nam sprzyjające usiłowanie swoje natężać muszą, gdzie prepotencya przeważa *aequilibrium*. Bogu dziękować należy, że prowidencya Jego całość i wolność naszą osądziła *in sistemate aequilibrii*, inaczej przez nierząd, przez podłość, przez bałamuctwo, przez pychę, łakomstwo i ambicyę, jużbyśmy dawno w pośrodku najmocniejszych w Europie sąsiadów bez wątpienia zginęli, przeto z tychże samych reflexyi sądzić JWW. Panowie możecie, żeście tylko na wiatr wystrzelili, jeżeliście się pierwej gabinetów nie poradzili. Dziwno mi to jest bardzo, że jakieś kabały, intrygi, potwarze ludzi złośliwych tyle względów u JWW. Panów znalazły. Wszakże to ciż sami zwodziciele, którzy nas w Radomiu zgubili, trzeba było koniecznie mieć ufność, że żaden jednym sposobem nikogo dwa razy nie oszuka, że Naród tym bałamuctwom nie tak łatwo ucha nadstawi, jak się spodziewają, że naostatek wszyscy Ich znamy i wszyscy wiemy, że byli początkiem naszego nieszczęścia, któżby tedy znalazł się taki z rozumu . . . .«

...Na tem urwanem zdaniu kończy się ten ciekawy list, gdyż papier przez zbutwienie robi koniec jego nieczytelnym.

O ile możności starałem się, jeźli nie w całości podać tę starą korespondencyę z wieku XVII i z większej połowy XVIII, to w streszczeniu. Jeźli nie wiele ciekawych rzeczy ona zawiera, to jednak ma choć tę wartość dla historyi, że w pewną całość ułożona, przedstawia życie domowe i publiczne naszych przodków i przyczynia się w ten sposób do odtworzenia tem zupełniejszego obrazu przeszłości naszej dziejowej, której znajomość i poszanowanie jest jednym z warunków naszego bytu, bo zapomnienie przeszłości jest zawsze pierwszem znamieniem upadku.

JESZCZE O STARYCH AKTACH.

Odwiedziłem w tym roku miejsce rodzinne. Na widok modrzewiowego kościoła, okolonego staremi lipami, cmentarza z omszonemi przez czas nadgrobkami i dworku, przy którym na straży stoją rzędem wysokie topole, jakby z ciosu wykute zielone kolumny, których młodość łączy się z młodością dawniejszego pokolenia — ożyło na nowo w piersi mojej uczucie przywiązania do tych dawnych wspomnień, do pamiątek przeszłości, które zawsze tak chętnie zbieram i spisuję.

Była to niedziela i dzień był jasny, ciepły, jak zwykle u nas w czerwcu. Lud z pobliskich wiosek wszystkiemi drogami i ścieżkami, wijącemi się pomiędzy pola, dążył na mszę do parafialnego kościoła. Na różnobarwnym kobiercu dojrzewających zbóż, łąk kwiecistych i koniczów niebieskich i na tle drzew, rosnących przy zagrodach i po miedzach, robiła liczna ta rzesza w strojach świątecznych, jasnych, kolorowych, widok okolicy z natury już piękny, jeszcze bardziej uroczym i malowniczym.

Wszystko zapewne tak było i za czasów pana Chorążego, tylko może mniej pięknie, bo dziś postęp i cywilizacya więcej ubarwiły strój niewiast tamtejszych. Ale za to znikły owe kolaski, które wówczas wiozły głowy podgolone jegomościów i jejmoście postrojone z dworków szlacheckich do kościoła. Wioski rozparcelowano bowiem; a te, co swoje dworki zatrzymały, poszły niektóre w ręce obcych ludzi, którzy Boga po swojemu chwalą.

Okolica Zatora, jak wszystko na świecie, ciągłej ulegała zmianie i wioski przechodziły spadkiem, zastawem i sprzedażą

w coraz inne rodziny; te które dłużej w jednych rękach się zatrzymały, noszą do dziś jeszcze tego ślady, bo mają miejscową tradycyą i często miłe wspomnienia o rodzinie, do której niegdyś wiekami należały.

— Oj! inaczej to dawniej bywało, proszę pana — począł opowiadać idący ze mną stary człowiek. — W Chrząstowicach był dwór, byli panowie. W Tłuczani były trzy dwory, a teraz ostał się tylko jeden, w którym jeszcze pan mieszka. Pamiętam, byłem małym chłopcem, bydło pasałem, jak mi stary dziaduś opowiadał, jak to ongi było. Panowie dbali o nas, biedy takiej, jak dziś nie było. Flis do Warszawy i Gdańska dawał dobry zarobek. Powodzie nie tak często nawiedzały. Mówił mój tatuś, że tylko jedną większą w 1813 r. zapamiętał. Stał wtedy ksiądz proboszcz na pagórku w Kossowy i dawał ostatnią absolucyą tonącym ludziom w Chrząstowicach. Teraz już za mojej pamięci było kilka powodzi.

A kiedym zauważył, że może czasy nie tyle były lepsze, co odmienne od dzisiejszych.

— O prawda, że odmienne — odpowiedział — bo ja już mojej Zośki, jak się do kościoła cudacko ustroi w swoje pańskie na głowie warkoczyki i wdzieje spencerek, poznać nie mogę, a Kuba w okrągłym, spłowiałym kapeluszu i twinie kraciastej patrzy na Niemca! Ja za dawnych dziedziców, którzy na tej świętej ziemi tu spoczywają, co wieczór na tej oto koronce się modlę, a młodzi może już i za mnie pacierza nie zmówią. My do szkoły, jak oni, nie chodzili, a więcej Boga chwalili i bliźniego kochali. Pod kościołem są groby dziedziców Kossowy i Tłuczani, które gdy się zapełniły, poczęli się znowu chować w małym kościółku i wasz ojciec tam ostatni spoczywa.

Służyłem ja wtenczas we dworze. Pamiętam, jak go chowano. Dobry był Pan, nikomu krzywdy nie zrobił.

Tu łzy nam obydwom w oczach stanęły i przerwaliśmy rozmowę.

Kiedy wśród tej pogadanki doszliśmy ze starym do progów kościoła, cmentarz już zapełnił się parafianami, którzy nas obu serdecznie powitali.

*
* *

Stare archiwa, które dawniej każdy prawie dwór szlachecki w swych lamusach starannie chował, przez niedbałość późniejszych ludzi, zgnilizna i mole zniszczyły. Dlatego tam, gdzie jeszcze zostały te zabytki, można dziś niejeden ciekawy szczegół o przeszłości miejsca i rodziny z niepamięci odgrzebać.

Prawa ówczesne nie znały zadawnienia, sporów więc mnóstwo było, co mnożyło akta. Procesa o posagi babek, a często i prababek, bardzo zabałamucają wdowy i wdowce, bo ci nie rzadko nawet po razy kilka się pobierali i mieli potem dzieci z kilku małżeństw — które, choć dla siebie były obce, stanowiły przecież rodzinę, roszczącą sobie do jednego spadku pretensye.

Takich zabałamuceń w procesach, im rodzina była bogatszą, tem więcej ich miała, bo śmierć zarówno z dworu możnego pana, jak i biedaka z pod strzechy młodo zabierała. Ztąd więc wdów i wdowców, młodo pobierających się, nie brakowało. I dlatego to patronowie, rozsądzający spory, potrzebowali do nich daleko sięgających genealogij z kilku pokoleń różnych rodzin, na wszystkie gałęzie rozrodzonych, jakie w aktach znajdujemy.

Prawodawstwo dawne nie znało także ksiąg hipotecznych, przeto układy, mocą których dłużnik oddawał wierzycielowi w zastaw dobra, miały tylko formę kontraktu kupna i sprzedaży, w którym kwota pożyczona była kwotą kupna. Wierzyciel nabywał własność, a dłużnik sobie zastrzegał prawo odkupu, a czasem równocześnie w osobnym dokumencie oddawał wierzyciel dłużnikowi dobra nabyte w dzierżawę za umówiony czynsz, który reprezentował procent sumy wypożyczonej.

Sprawy takie przysparzały aktów, bo nieraz, jeżeli dłużnik nie odkupił na czasie, wywiązywał się proces z wierzycielem.

Pan chorąży krakowski po śmierci pierwszej żony, ożenił się powtórnie z Barbarą z Konar i Opola Słupecką, urodzoną z Lanckorońskiej, a wdową po Butlerze, staroście drogickim. Mając dzieci z pierwszego małżeństwa z Piegłowską i dzieci drugiej swej żony, toczył potem przez lat kilkadziesiąt spór o spadek, jaki mu druga żona na mocy intercyzy ślubnej zostawiła. Prowadziły go rodziny obydwóch stron, Słupeccy, Lanckorońscy, Butlerzy, Żydowscy, Dembińscy i wiele innych jeszcze rodzin, mających do tego spadku prawo. Wspominam zaś o nim dlatego, że toczy się inaczej jak dziś, że nie same dzieci w nim występują, lecz nawet prawnuki wykazują prawo do majątku prababki.

Często w pretensyach figurują różne przedmioty, jak suknie, klejnociki, a często nawet ubrania hajduków. Tak czytamy w jednym akcie, upominającym się o spadek: »Suknia na słomianem dnie, z tureckiej materyjki, wzięta i do działu nie komportowana; suknia kitajkowa biała w płomienie; kolczyków para dyamentowych; fuzya francuska; dwie łyżki srebrne; srebro z ferezyi; dwa kapelusze z galonami i t. p.

Cofnąwszy się do wieku XVI i XVII, widzi się w dokumentach ówczesnych opisane dokładnie działy wsi i ich granice.

Mając kilka takich dokumentów pod ręką, pozwalam sobie ciekawsze z nich ustępy tutaj przytoczyć.

I tak akt podziału Tłuczani z roku 1597 takie podaje szczegóły:

»A iż zostały jeszcze lasy i zapusty, które nie są mianowane w tym dziale, jako las w końcu wsi Tłuczani, nazwany za Nawsiem, także i zapusty na rolach chłopskich, tedy w tych lasiech będzie wolno obiema Ich Mość Panom Porembskim zarówno rąbać, tak jednak, aby jeden nad drugiego więcej nie wyrąbywał.« Mimo jednak tego układu pokazuje się, że jedna strona go przekroczyła i wynikłe z tego pretensye tak się przedstawiają: »Przez lat trzynaście potrzebę dworską rąbiąc, więcej dwudziestu dziesiątków, a przez poddane swe znowu

rabiąc i do Krakowa na przeday wożąc, więcej dziesięciu dziesiątków nad aktora wyrąbał, i to jeszcze różnym osobom pręcia z tychże lasów po dwadzieścia dziesiątków, krokwi par dwadzieścia, łat kop dziesięć, płatew dziesiątek, jedli wielkich, do budynku godnych, sześćdziesiąt mniej albo więcej także nad aktora wyrąbanych rozdał i rozprzedał...«

Z tych lasów to zapewne ma Imci panna Porembska, zakonnica, zapewniony w r. 1606 od matki i braci dla klasztoru w Krakowie u św. Katarzyny reguły św. Augustyna:

»Drew półdziesiątka Jej Mości Pani Matka nasza z łaski swej pozwala za kwitem panny siostry naszej dawać do swojej śmierci...«

Tak się wyrażają bracia Jan i Piotr Porembscy, gdyż najstarszy brat Wodzisław, będąc na służbie Rzeczypospolitej i króla JMCi w rocie urodzonego Mikołaja Herburta rotmistrza w r. 1579, zginął później od Tatarów, bo matka, dzieląc synów w r. 1597, daje im i jego substancyi połowę w Tłuczani.

A musiał być i dzielnym młodzieńcem, kiedy taką przesyła o nim relacyą pan rotmistrz: »Znany mi afekt serca brata IMCi, każe donieść Imc. i matce Imc. o śmierci. Kiedyśmy rotą na niewiernych żarko uderzyli, zaraz ich wparli w jezioro, poczęli tyłu podawać. W tem natarciu owych rot zabit Inwaldzki z rusznice, bratu IMCi konia postrzelono tureckiego wilczatego i sam w udo postrzelon. Obrócił się do hetmana, prosząc, aby go nie opuszczał w potrzebie jego, któren mu zaraz kazał wałach swój gliniasty powodny dać, mówiąc: Mścić się krzywdy swej możeszli? Czemu dosyć czynił, bo pohańce w pogoni mężnie gromił...«

Niewyraźne pismo nie da się dobrze całe odczytać, widać jednak, że musiał mieć ciężkie rany, kiedy umarł.

W układzie swym pani Porembska wyraźnie zastrzega sobie prawa, jakie i synom nadaje, i tak powiada:

»Do tego chcąc, aby tem większą miłość macierzyńską znali, pozwalam na każden rok panu Janowi dziesiątków pięć na swe potrzeby wyrąbać tam, kędy IMci wskaże.« Dalej,

mówiąc o kmieciach i zagrodnikach przy dziale drugiego syna, powiada: »Bo tego kmiecia, rzeczonego Scepanek, także Łukę zagrodnika tym sposobem onemu pozwalam, pókiby innego kmiecia nie osadził, także i zagrodnika osadzać wolno mu będzie...« Dalej znów wspomina bydło, używając w całym tym akcie zamiast *c*, *cz*: »Czo się bydła tam będaczego tycze, krów jest mniej więcej sternaście, kościelny stych po sześć groszy od krowy do rąk Jej. M. na każden rok powinien będzie oddawać, jeśliby plebanowi jakiemu nie oddali. Inszego bydła rogatego tak wielkiego jako i drobniejszego z łaski swej macierzyńskiej panu Piotrowi przy folwarku zostawiam, oprócz pary wołów i jałowiczy, które zbiegłemu poddanemu Piotrkowi należą.« A mówiąc znów o stawie, tak się wyraża: »A iż tam za górą jest łożysko na staw, pozwalam IMci panu Piotrowi budowacz go, będzieli chciał, nakładem swym, który nakład uczyniony za wiadomością IMci Paniej Matki wytrzymacz ma dotąd, pókiby nakładu swego nie odebrał. A potem po wybraniu swego nakładu dwa spusty wytrzymacz sobie za nadgrodę będzie wolnie mógł.«

Akt cały, stwierdzony podpisami i pieczęciami nietylko obydwóch braci i matki, ale i świadków, jest pisany w Kossowy i kończy się takim ustępem: »Tymże sposobem panu Piotrowi sinowi swemu łaski swe macierzeńskie pokazującz, naznaczam mu folwark Tłuczański, z tym wszystkim gruntem i rolami, jako teraz puściłam w arendę panu Ruseczkiemu, z tym jednak warunkiem, aby spokojnie pan Ruseczki arendy swojej dodzierżał...«

Później bracia, umawiając granice między swemi działami, tak się warują:

»Stawki, które są w tym potoku, należące do działu Kossowskiego, kędy jest młynek na ostatnim stawku, wolno panu Kossowskiemu wodę podwyższać i ziemie od zalewku wody na dziesięć kroków męskich z działu Tłuczańskiego brać...«

Przedtem jeszcze w r. 1586 urząd podkomorski, tworząc granice między wsiami Tłuczanią, Kossową i Markową Porembą, akt swój tak rozpoczyna:

»Działo się na polu różnych, przy wierzchowinie stawku, nad trzema ścianami leżącym, przy miejscu wąwozistem pod laskiem wierzchowiny stawku pomienionego.«

Dokładność w opisie granicy wykazuje całe działanie sądów podkomorskich przy tworzeniu i strzeżeniu ich.

Po ostatecznem wcieleniu księstw do korony za Zygmunta Augusta w roku 1566, kiedy już prawa polskie zaprowadzone zostały i język czeski z urzędowania całkowicie usunięto, widzimy, że szlachta z dalszych województw poczęła się w księstwach osiedlać.

W r. 1574 Andrzej Żydowski, syn Andrzeja z województwa kaliskiego, z powiatu gnieźnieńskiego, bierze zastawem wieś Łazy, należącą do Grojca w województwie krakowskiem, w powiecie oświęcimskim, od Stanisława Porembskiego w Porembie Wielkiej dziedzica.

Akt nazywa księstwo powiatem, należącym do województwa krakowskiego. Jak przy opisaniu granic, widzimy, z jaką dokładnością posiadanie ziemi było warowane, tak tu znów sposób ubezpieczenia zastawu i wypożyczonych pieniędzy ma swoją ciekawą cechę, gdyż poręczyciele zarówno z dłużnikiem biorą na siebie całą odpowiedzialność i tak się opisują:

»Od datum listu tego w roku 1579 blisko przyszłym oddać, a zapłacić bez wszelkich zwłok i forteli w świecie wymyślonych, nowych i starych wymysłów, żadny z nas fantem albo anczalem swym się nie zakładając, ani prawa wszelkiego sobie na pomoc nie biorąc« — tak się rozpoczyna akt poręczenia, który dalej tak mówi: »A jeślibyśmy tego nie uczynili, a sumy napisany na czas mianowany nie dali, a nie zapłacili (czego Panie Boże racz zachować), tedy ja iściec i my rękojmie zapisani dawamy wierzycielom naszym z wierzchu napisanym, tym to listem naszym zupełną moc a prawo, i wszystkim ich pomocnikom, że mnie iśćca i nas rękojmie napisane, będą mieć

i mają wszelkim obyczajem napominać, bez wszego na urząd wkładania, to jest, nam łajać, nas hańbić, sromocić listy i usty, jako chcieć a umieć będą nas i ludzie nasze, z naszym i ich statkiem mogli brać, hamować, szacować w mieściech, we wsiach, karczmach, na drogach i ścieżkach i wszędy indzie, gdzieby nas i ludzi nasze przyścignąć z naszymi i z ich statki mogli.«

Drugi moment ciekawy jest tego listu, że tak iściec, jak rękojmia podpisują się:

Ja Stanisław Skiedziński z Kiednia, a na Kopciowicach z herby a potomki swymi pierwszy iściec, a dłużnik długu niżej opisanego, a my rękojmie Stanisław Rayski z Rayska, a na Raysku, Jan Górski z Brodku, a w Górze, Tobias Pisarzewski z Pisarzowic, a w Pisarzowicach, Stanisław Porembski, a w Wielkiej Porembie, Piotr Starowieyski ze Starej wsi a w Pisarzowicach, Jan Bibersztyn Starszy z Brogiszów, a ze Starej wsi.«

Zachowana tu jest różnica, zkąd rodzina bierze nazwisko, a gdzie mieszka — inaczej, że *z* oznacza zkąd się pisze, a *na*, że jeszcze majątek dzierży. Spostrzega się także w tych aktach, pomimo że z jednej epoki pochodzą, pisownie odmienne; są mniej pewne wyrażenia, cechujące język jeszcze nie wyrobiony, a może tylko prowincyonalizmy z pogranicza Szląska.

Mimo lat wielu, przeżytych z dala od miejsca rodzinnego, wspomnienia pierwszej młodości żyją w mej duszy, a im bardziej pamięć od nich się oddala, tem goręcej kocha je i tęskni do nich serce.

Spisując stare dzieje miejsca rodzinnego, przychodzi mi nieraz posunąć się może za daleko w czasy dawne, nieznane, ale zbierając skrzętnie materyały, podaję z nich obrazki, odnoszące się nietylko do samego miejsca rodzinnego, lecz i do innych wiosek tej okolicy. Dlatego wspomnieć tu muszę o darze zacnego przyjaciela, pana Bronisława Górczyńskiego z Brzeźnicy.

Są to pergaminowe dokumenta książąt Zatorskich i Oświęcimskich, do różnych spraw należące. Ofiara taka jest mi bardzo przyjemna, bo bogaci moje kossowskie archiwum i dlatego o niej wspominam, ażeby raz jeszcze na tem miejscu Szanownemu dawcy złożyć podziękę.

Najstarszy z tych trzynastu dokumentów, które dostałem, jest maleńki, ćwiartkowej prawie formy pergamin księcia Janusza z roku 1420, po czesku, jak wszystkie, pisany. Jest to wyrok, czyli »wyrzeczenie« dwóch sióstr »Wnuczkowien«, jak się wyraża dokument, Marty, żony Inwałeckiego i Felicyi, żony Szemońskiego.

Od wspomnionych tu pergaminów nierównie starszy jeszcze zabytek przeszłości posiada archiwum Kossowskie, kartkę pergaminową z bogatemi inicyałami, należącą kiedyś czy do całości jakiegoś modlitewnika, lub może osobno służącą do modlitwy, bo brzegi jej równie nie wyglądają na urwanie i mieści tylko na obydwu stronach Psalm gockiemi literami po łacinie pisany, w formie ćwiartki papieru, starannie zachowany i żywemi barwami kolorowany i złotem.

Wieku i pochodzenia trudno oznaczyć, zawsze jednak jest to zabytek z dalekiej bardzo przeszłości, może nawet niekoniecznie polskiej. To pewna, że zakonnik, który ją z temi bogatemi inicyałami wypracował, musiał nad tą piękną robotą lata całe strawić.

Na akcie granicznym wsi Łączan, należącej do opactwa tynieckiego, sporządzonym pod przewodem Mikołaja z Brzezia Lanckorońskiego między wsiami Kossową i Chrząstowicami w r. 1518, są obecni Jan Zebrzydowski z Zebrzydowic, Stanisław Płazki z Płazy, Jan Jaśkowski z Jaśkowic, Jan Rupniewski z Rupniewa, Mikołaj Przytkowski z Przytkowic, Piotr Hussarzewski z Hussarzewa, Giezowski z Choinika i wielu innych.

Łączany, wioska rozsiana u samego brzegu Wisły, użyźniona jej namułem, narażona jest jak Chrząstowice na częste wylewy. Słusznie może ona być pomieszczona w liczbie tych

wiosek, zdobiących nadwiślańskie wybrzeża, w których przyroda zachowała się w pierwotnych zarysach, bo ręka ludzka mało tam zrobiła.

Najstarsza parafia tej okolicy jest Krzęcin. Potem dopiero w roku 1353 dnia 27-go lipca, za półwiekowego panowania Jana, księcia oświęcimskiego i zatorskiego, Bodzanta, biskup krakowski, utworzył probostwo w Tłuczani, należącej do Dersława, zwanego Dzierzkiem ze Stogniewic, stolnika krakowskiego. W kilka wieków potem późniejsi właściciele Tłuczani, panowie Porembscy budują na miejsce starego nowy kościół w r. 1636 do dziśdnia stojący, a sądząc z tej niewielkiej liczby starych kościołów, jaka się jeszcze z XIV wieku zachowała, o wiele większy, poradniejszy od pierwszego.

Patrząc dziś na te poczerniałe i omszone przez starość modrzewiowe kościoły, podziwiać trzeba niespożytą siłę i trwałość materyału, że po kilku wiekach stoją jeszcze zdrowe i wcale nieuszkodzone. Modląc się w nich, chciałoby się przywieść na pamięć tych ludzi, co je budowali, a potem siadłszy w kolatorskich ławkach, modlili się na różańcu, snując paciorki w rękach, lub śpiewając pieśni nabożne razem z ludem. Strój ich nawet z portretów nie może nam być dokładnie znany, bo widzimy, że i w późniejszych czasach często się zmieniał. Tak samo było i u ludu, bo postęp i wynalazki, tworząc fabryki, coraz lepsze materye i płótna wyrabiały.

Trudno sobie przedstawić te materye, jak wyglądały, gdzie się wyrabiały, i jakie były ceny ówczesnych wyrobów, kiedy za Kazimierza Wielkiego, w r. 1361 »koń pod rycerza na wyprawę wojenną w pancerzu z dzidą ma być w wartości 6 grzywien«, jak to dokument zamku Lanckorońskiego podaje.

Wartość ziemi także jest niska, bo wydany w r. 1457 w Zatorze, w dzień św. Antoniego, dokument powiada, że Władysław, książę zatorski i oświęcimski, Kossowę i Chrząstowice za 100 złotych węgierskich Andrzejowi Porembskiemu sprzedał.

Dopiero w półtrzecia wieku później, w r. 1701 wartość się zmienia. Te same dwie wioski kupuje pan chorąży kra-

kowski od swego ciotecznego brata, Stanisława Cikowskiego, za 32.000 zł., a po śmierci jego syna w roku 1728 w dziale familijnym między siostrami, widzimy je oszacowane już na 75.000 zł.

Należący do Kossowy przysiołek Podlęże, któren jezioro czyli stare koryto Wisły dzieli od Łączan, zdaje się, że niegdyś stanowił oddzielną posiadłość, gdyż w starych dokumentach osobno jest wzmiankowany. Może o to jezioro, zwane wówczas stawem, wiedzie w r. 1356 spór Dzierzek, stolnik krakowski, posiadający jak się zdaje i Kossowę. Tę łączność posiadania Tłuczani i Kossowy stwierdzają późniejsze dokumenta, bo gdy w Kossowy mieszkają Porembscy, czy to na podstawie kupna, czy też nadania przez książąt Zatorskich, to i Tłuczań także do nich należy.

Tak samo jak Podlęże, stanowi dziś i Owsianka, z której się pisali Owsieńscy, tylko przysiołek przy Nowodworach, które znacznie później powstały zapewne z części pól Owsianki, Markowy, Poremby rzeczonej Górek i z części Brzeźnicy, gdyż akt graniczny w r. 1578 nazywa dzisiejsze Nowedwory wioseczką. Dopiero w r. 1648 czytamy Nowydwór alias Brzeźnica.

Wsie, tworząc się, czy to z trzebieży lasów, czy z podziału innych posiadłości, przybierały nieraz tę nazwę, jaką dziś mają.

»Wypuszczają IMść panowie Porembscy IMść państwu Leńczowskim z górnych Leńczów w roku 1648 w trzyletnią arendę dobra: więc Kossowę, Tłuczań, także Nowydwór alias Brzeźnicę, Owsiankę, Porembę i Chrząstowice w województwie krakowskiem, a księstwie zatorskiem, prawu swemu dziedzicznemu, dożywotniemu i oprawnemu podległe, za sumę 12.000 zł.« Ugoda zastrzega: że poddanych i na mil cztery przeciążać nie wolno. »Sól suchedniową, 3 bałwany, do tych dóbr należącą z żup wielickich odbierać i one poddanymi tamecznymi zwieść raz w rok na folwarki wolno będzie.« Pobory podatków Rzeczypospolitej, uchwalone na sejmie, powinni poddani wcześnie oddawać. Czynsze wyderkafowe, dziesięciny kościelne, komuby należały, płacić i kwity z nich otrzymawszy,

oddać obowiązują się IMść państwo Leńczowscy tak, aby IMść państwo Porembscy o to żadnej turbacyi nie mieli.«

Tak często w tych moich starych zapiskach wspominam o soli suchedniowej, że należy przytoczyć, zkąd to dawanie soli powstało.

Przy zatwierdzeniu ordynacyi Kazimierza W. salin wielickich i bocheńskich przez Kazimierza Jagiellończyka w roku 1454, potrafiła szlachta wyjednać sobie prerogatywę, że sól szlachcie krakowskiej, sandomierskiej i lubelskiej ma być sprzedawaną na ich potrzeby trzy razy do roku po dawnej cenie w ordynacyi salin Kazimierza W., to jest centnar w Wieliczce po gr. 6, w Bochni po gr. 8. Później rozciągnięto ten przywilej do wszystkiej szlachty, utrzymując nader niską cenę soli, która własnych nawet kosztów wydobycia nie wracała. A chociaż pod pozorem redukcyi monet, ustawy następnych królów podniosły nieco cenę soli dla szlachty, płaciła ona jednak nawet za Augusta III za bałwan soli zł. 12, za beczkę 4 zł.: gdy zaś sama sól wydobywała, to bałwan soli wypadał skarbowi królewskiemu po zł. 56, a beczka po zł. 12. Dla zaopatrzenia się w sól, przyjeżdżała szlachta lub przysyłała fury do salin w Suchednie i otrzymywała takową w miarę posiadanych mniejszych lub większych folwarków, po dwa bałwany lub dwie beczki, z rejestru ułożonego i w województwie przez siebie lub swych podstarościch zaprzysiężonego, a żupnikowi corocznie doręczanego. Od terminu, w którym sól wydawano, zwano ją suchedniową*).

Jak zaś żupnictwo donioslem bylo, pokazuje wierszyk na żupnika krakowskiego Sebastyana Lubomirskiego, którego bogactwa przyczyniły się do otrzymania krzesła kasztelańskiego, napisany w początku panowania Zygmunta III-go:

O zacna soli! bych cię dowoli
Miał przez czas jaki, byłbych też taki.

*) Dawne żupy i żupnicy w Polsce Hieronima Łabęckiego. Biblioteka Warszawska, r. 1846.

Przedtem znowu ci sami państwo Porembscy ustępują w r. 1611 wieś Strużе panu Adamowi Rożnowi z Rożnowa, podsędkowi ziemi krakowskiej i w ugodzie rachują kopę zboża jednę na drugą, jak się wyraża umowa, pszenicę, żyto, jęczmień i owies po 1 zł. 4 grosze.

Jak wartość ziemi z biegiem czasu się zmieniała, tak i dochód z niej ulegał też zmianie. Kiedy powyższy układ wykazuje, że za lat trzy z kilku wiosek dochód czynił 12.000 zł., to znów w sto lat później, w r. 1741, jedna z tych wiosek, Chrząstowice, wypuszczona zastawem, przynosiła dochodu rocznego 1280 zł., gdyż od 16.000 rachowano 8 zł. od »każdego sta«. W kontraktach najstarszych nie pozwalano słomy ani zboża w snopach z gruntu wywozić, jeno siano.

Stare testamenta, szczególnie z XVII wieku, są również interesujące, bo świadczą o głębokiej religijności, sumienności, miłości i o wzorowym ładzie w rodzinach.

W testamencie swoim pan Jan Wybranowski, stolnik bełzki, podstarości i sędzia grodzki lwowski, tak się wyraża przed samą śmiercią we Lwowie 27 czerwca 1672 r.

»*In nomine Domini Amen.* Będąc w ostatnim ciężkim paroxizmie moim, taki porządek czynię«. Tu wymieniwszy wszystkie legata, zostawia małżonce swej »ukochanej paniej Marcyannie z Skórkowic« dożywocie na dobrach Szołomeńce w powiecie przemyskim« i powiada dalej: »przy tem jeżeliby się jaki inszy dług pewny za pewnemi dokumentami kiedykolwiek odkrył, upraszam pilnie małżonki mojej, aby w niczem ciężkości duszy mojej nie czyniła, a co komu słusznie należy, zapłaciła, tak czeladzi, jako i innym wszystkim, którymkolwiek się co winno zostało. Upraszam małżonki mojej, aby pamiętała o duszy mojej, którą jej na sumienie oddaję. Nakoniec nie wiedząc czasu i godziny ostatniego terminu życia mojego, wcześnie oddaję i zalecam w opiekę macierzyńską kochanej małżonce mojej dziatki moje, aby na miejscu mojem przy ojcowskiem błogosławieństwie mojem macierzyńską miłość wszystkim pokazała.«

Taką samą ostatnią wolę, w gorętszych jeszcze słowach napisaną, mamy syna pana stolnika a pradziadą mego ojca, pana Marcina Wybranowskiego, chorążego podolskiego, którą rozpoczyna w następujący sposób:

»W Imię Ojca i Syna i Ducha św. Amen. Od roku 1657 miesiąca lutego narodzenia mego z prowidencyi i dyspozycyj Boskiej, przeżywszy wiek do dzisiejszego roku 1720, nie wiem, na com sobie w łasce Boga mego zarobił. Teraz zaś w tym terminie życia mego stanąwszy, gdzie mi co dzień, co godzina, co moment śmierci wyglądać potrzeba, ile możności i umiejętności mojej, jak chrześcianin i prawdziwy katolik, taką wcześnie czynię dyspozycyą.

Naprzód protestuję się przed Panem Bogiem moim, że jakom z łaski i prowidencyi Jego urodził się prawdziwym katolikiem, tak w tej wierze bez wszystkie lata moje żyłem i w niej umierać chcę i o pomoc mi Boga mego w Trójcy Świętej jedynego, Matki Świętej proszę, któremu duszę moją oddaję. Ciało zaś życzę sobie pospół z ojcem moim, aby u OO. reformatów lwowskich, bez wszelkich ceremonii i kosztów, trumny nie obijając, prywatnie zaniosłszy, złożone było, tylko o to usilnie i gorąco proszę, aby mszy jak najwięcej było i po wszystkich kościołach ratować duszę moją i żeby ciało me w Derżowie nie trzymać, ale zaraz odwieść do Lwowa chyba, żeby jaki wielki impediment przeszkodził do tego, to gdzie będzie wola kochanej żony mojej, to tak uczyni, jednak proszę do Lwowa. Gości żadnych zachowaj Panie Boże spraszać, chyba, że kto sam z afektu swego będzie, tylko księży, a ubogich jak najwięcej żeby było, żeby wieś i za moje i za Jana ojca mego duszę Pana Boga prosiła.«

Z taką pokorą chrześciańską i religijnością rozpocząwszy swój testament, rozporządza majątkiem między dzieci z dwóch żon, legując Derżów, w którem testament pisze, najstarszemu synowi Stanisławowi, staroście Bareckiemu.

W tych testamentach powtarza się i to, co poprzednio tu o wdowach i wdowcach powiedziałem, bo obydwóch panów Wybranowskich małżonki idą jako wdowy powtórnie za mąż. Żona pana stolnika, Marcyanna Skórkowska, była pierwej za Sredzińskim, a obydwie żony pana chorążego Podolskiego, również jako wdowy wyszły za mąż. Pierwsza, Petronela Miaskowska, wdowa po Stanisławie Golińskim, druga, Katarzyna Giżycka herbu Gozdawa, wdowa po Krzysztofie z Skruków Radecz Radeckim.

Wspomniawszy tu testamenta panów Wybranowskich, pisane na Rusi, przychodzi mi jeszcze wspomnieć i o ekonomii Samborskiej i o miasteczku Starej soli.

Ekonomia Samborska, choć należała do dóbr stołowych królewskich, niemniej jednak narażona była często na wielkie szkody od wojsk Rzeczypospolitej.

Począwszy od Zygmunta I w r. 1539, Stefana Batorego w r. 1581 i Zygmunta III w roku 1589, aż po Augusta II w r. 1709, przechowało się u mnie kilka dyplomów, w których królowie udzielają różne przywileje miastu Starej soli i upominają, aby szkody im nie czyniono.

W jednym z nich Jan Kazimierz tak się wyraża:

»Wielmożnym Urodzonym Szlachetnym Pułkownikom, Obersterom, Rotmistrzom, Capitanom, Porucznikom i wszystkim innym zaciągu Polskiego i cudzoziemskiego uprzejmie i wiernie nam miłym łaskę naszą królewską. Wielmożni urodzeni szlachetni uprzejmie i wiernie nam mili! Nie mając do stołu naszego jeno tę jedną Oekonomią Samborską, surowo przykazujemy, aby żaden nie ważył się staciami i przechodami niszczyć i postoszyć tej Oekonomii Samborskiej, a ktoby ważył się tę wolę i zakazanie nasze przestąpić, taki surowym sądom i naszym, i Hetmańskim podlegać będzie, i takich wszystkich gromić i znosić po wszystkiej Oekonomii dozwalamy jako gwałtowników Prawa i zdzierców ostatnich dóbr naszych. Na co dla większej pewności przy podpisie ręki naszej Pieczęć koronną przycisnąć rozkazaliśmy. Dan w Często-

chowy dnia 18. miesiąca czerwca Roku Pań. 1657. — Panowania królestw naszych Polskiego 9, a Szwedzkiego 10 Roku.«

Podpis Polski. »*Jan Kazimierz*, król.«

Obraz takiej uciążliwości od żołnierza koronnego, jaką ponosiła Ekonomia Samborska, jak i inne dobra królewskie — stary pamiętnik po wojnie moskiewskiej w r. 1612 wymownie podaje:

»W Samborze stało rot cztery Kazanowskiego, Skumina, księcia Poryckiego i Abrama Tatarzyna, kozacka dla posługi — koło w Samborze; — przystawstwami podzieliliśmy się, dostały się 4 łany na koń; mnie na koni 12 dostało łanów 48 wsi w górach w Beskidzie na samej granicy Węgierskiej, gdzie acz owse dobrze się rodzą (bo nic nad owies tam nie sieją), jenoż o przywiezienie trudno, bo wozem ztamtąd nigdy nie jeżdżą do Sambora, i targi wszystkie swoje w Węgrzech mają, a wołami kowanemi, albo końmi te góry przebywają. Mnie w jukach poczęli byli nosić, ale i tak źle, że się musiało pieniądzmi od nich wziąć, porachowawszy po czemu żywność w Samborze płaci. Tego uczyniło z łanu po złotych 18 na na pierwszą ćwierć, na drugą ćwierć 10 wzięliśmy, na trzecią ćwierć po złotych 4 z łanu tylko braliśmy. Oprócz działu dał mi Pan Pawłowski, co u nas w rocie przystawstwa rozdawał, wieś pode Lwowem na samem przedmieściu, łanów b.... potrzebaż mi była bardzo dla przyjechania do Lwowa, bom z niej wszystkiego jak z folwarku dostatek miał. Marszałek i Deputaci w Krośnie stanęli na Podgórzu, bo pułki drugie w Wielkiej Polsce stanęli i około Krakowa, póki Smoleński żołnierz nie nastąpił.«

Zatrzymam się jeszcze w tej samej okolicy Rusi, w dawnej ziemi Żydaczowskiej, która znów w czasach o wiele późniejszych, przed okupacyą wojsk cesarskich była, jak inne części dzisiejszej Galicyi, narażona na różne nadużycia nietylko wojsk rosyjskich, uganiających się za konfederatami w r. 1769, ale i przez samych konfederatów, a w końcu i przez wojska okupacyjne.

Smutne obrazki z tych niepokojów daje ówczesna korespondencya, bo relacye w listach o wypadkach, zachodzących w kraju, a nawet w świecie, zastępowały wówczas ludziom żądnym wiadomości dzisiejsze gazety.

Ojciec mej babki, pan Michał Deszert, stolnik Nowogrodzki, zarządzając panom Poniatowskim starostwo Stryjskie, pisze w Szumlańszczyźnie pod samym Stryjem do brata 4. Aprl. 1769.

»Wielmożny sercu Najukochańszy Imc. Bratunieńku i osobliwszy Dobrodzieju!

Poczta przeszła podobno wraz z teraźniejszą dojdzie WWm. Pana Dobrodzieja, ponieważ nie mogąc bezpiecznie przez pocztarza ordynować, przez okazyą do Lwowa posełam. W sobotę i w niedzielę, to jest dnia wczorajszego, mieliśmy przechody wojska moskiewskiego pod komendą półkownika Brynka, dążącego za konfederatami, u których oglądaliśmy pojmanego w Kutach przez tego półkownika Brynka jenerała Hadyka (Kadyka?), brata rodzonego księżny Marcinowej, i tego z Drohobyczy zawrócił jako aresztanta, odsełając do Xięcia Prozorowskiego do Bazylei (?). Prowidując tedy dla niego konie, że spieszno z nim dążyli, ledwo dziś dwie godziny spałem, bo o drugiej z północy wstać musiałem. Powiadał mi zaś tenże jenerał Hadyk, że Imc. Pan Półkownik Brynk w Drohobyczy odebrał wiadomość, jakoby 4 tysiące wojska tureckiego wkroczyło do Śniatyna. Dla czego tenże pólkownik, porzuciwszy przedsięwziętą drogę, powrócić nazad ma, lecz do tych czas go nie widać, wnosimy tedy sobie, iż to dla niego uczyniony jest *horror*. Moskwa zaś nie tylko tędy, ale kilku pość miała traktami...« Dalej w tym samym jeszcze liście powiada: »Rozgłoszono tu wszędzie, jakobym chcąc się pomścić, nie wiem za co na konfederatach, dał znać Moskwie, w jakiej supozycyj że był Im. Pan Rylski, w Gorach mieszkający, teraz przechodząc konfederaci z tej przyczyny zabrali go ze sobą, ja zaś chciałbym tego uniknąć, będąc nietylko uczynkiem, ale i myślą od wszystkiego daleki.«

W późniejszych znów listach z r. 1772, skarżą się państwo Deszertowie na wielkie rabunki. Wojsko, nie oszczędzając dworskich stodół i szpichlerzów, chłopskie komory i karczmy rabuje, a kiedy się upomina właściciel zapłacenia zabranych rekwizytów, kwity tylko dają. Owsa korzec 8 zł. kosztuje.

Jedyny syn pana stolnika, dziewietnastoletni młodzieniec pełen nadziei, bawiący na naukach u XX. Teatynów we Lwowie, gdzie jednym z jego nauczycieli był późniejszy X. arcybiskup Stefanowicz, w rok potem sekretarz króla Stanisława Augusta w Warszawie, takie donosi ojcu ze Lwowa wiadomości 6. Mai 1778.

»Raptowne rekrutowanie żołnierzy, szczególnie na początku miesiąca tego z gwałtem doświadczone tu było, tak dalece, iż wiele pospólstwa po przedmieściach w własnych domach osiedzieć się nie mogło, inni zaś ani ukazywali się na ulicach, liczne bowiem kupy miejskich cechów na przechodniów napadały i owych do liczby zwerbowanych odsyłały, wyjęta jednak od tej napaści szlachta. Zgielk ten już ustał, podobno dla tego, że w liczbie na miasto naznaczonej dostarczono rekrutów, których ma być sto pięćdziesiąt. W odbieraniu onych uważają tylko czerstwość i siły każdego.

Przyobiecane przeszłą pocztą manifesta czyli deklaracye czterech dworów, to jest króla pruskiego, księcia Dwóch Mostów, elektora saskiego i cesarza Imci posyłam W. Wmu Panu Dobrodziejowi, których inaczej nie mogłem dostać, tylko po łacinie napisanych.«

W innym liście donosi znowu pan Zawacki: »Wiersze do Kościuszki i list Odrowąża do Iw. Szczęsnego Potockiego pisany właśnie już przed przyjściem rozkazów nagotowane łączę, z tem następującem uwiadomieniem, że podobne pisma u JW. kasztelanowej Kossakowskiej za szkłem oprawione widzieć się dają.«

Przed tem znowu Franciszek Karpiński, odwiózłszy do XX. Jezuitów swego elewa Maurycego Cieńskiego, którego hetman Potocki zaraz po urodzeniu, w kołysce jeszcze obdarzył

patentem chorążego — pisze ze Lwowa 22. Octo. 1765, do pani Cieńskiej:

»Równe chyba, ale nie większe miał awantury Telemak...« Tak rozpocząwszy obszerny list powiada dalej: »To prawda, że nie umówiwszy się Pani i Dobrodziejka z Imci Xiędzem prefektem ani nawet listu do niego przez nas nie napisawszy, zostawiła mnie niby wzgardzonym sierotą... X. Prefekt, żadnym sposobem pozwolić na to nie chciał, żebym chodząc do palestry był na dyrekcyi Imci Pana Chorążego. Długo się ten interes ciągnął. Interesowała się tem z łaski swej Iw. Starościna i wiele listem swoim pomogła. Ja nakoniec dobiłem doktorstwem mojem, że ponieważ w tutejszej Akademii doktorowanym jestem, a po inszych Akademiach doktorom dają nadgrody, upierałem się koniecznie, żebym służbę Imci Panu Chorążemu w nadgrodzie tej odebrał. Stało się nakoniec, że pozwolić musieli. Choć już dwóch dyrektorów na miejsce moje napiętych było. Żal także i płacz Imci Pana Chorążego za mną przed Jezuitami pomógł mi wiele, za któren affekt obligowanym mu być nie przestanę...« Potem opisawszy expens i spełnienie różnych zleceń dodaje:

»Pozwoli Pani i Dobrodziejka, ażebym Imci Pani Cześnikowej, Skarbnikównie, Podstolance i Miecznikównie, jeśli są, do nóg upadł.«

Pomimo, że list nie mieści, jak poprzedni, politycznych wiadomości, dla stylu jednak samego, jako autograf poety, pozwoliłem sobie przytoczyć go w ustępach.

Pięknym stylem są także pisane listy samego Pana stolnika Nowogrodzkiego do rodziny i dzieci, w latach od 1763 do końca prawie XVIII-go wieku. Przyjemnie się je czyta. W jednym z nich do córki, a mojej babki, takie zakończenie, pełne uczucia ojcowskiego i atencyi niezwykłej: »Nie tylko wrodzonym, ale i obowiązanym ściskam WWm. Panią serca mego afektem, prosząc, ażebyś dała temu wiarę, że cię wszyscy jak ojciec, tak ciotka, brat i siostra serdecznie kochamy i szanujemy razem ze wszystką familią. *M. Deszert.*«

Podobnie piękne zakończenia, jak list Pana Deszerta, spotykają się i w dawniejszych jeszcze czasach, mam przed sobą list pisany do Jana Zamojskiego, kanclerza i hetmana z Brześna 16. Januar 1599, któren tak kończy: Stym powtóre służby me powolne miłościwe łasce W. M. swemu mił. Panu oddawam

W. M. mego mił. Pana
życzliwa i służyć rada
Anna Tartówna Chodkiewiczowa,
Pani Wileńska
Starościna Breska.«

Później znów w lat kilka, bo w r. 1607, matka Tomasza Zamojskiego, tak pisze do syna:

»Moy namilszy synu, day Ci Panie Boże dobre zdrowie ku chwale swey i mey pociesze«

podpisuje się zaś: »Matka życzliwa
Barbara Zamoyska, z Tarnowa
ręką swą.«

Tak samo nieco jeszcze później w lat kilka do tegoż Zamojskiego, pisze z Krakowa zakonnica:

»Jaśnie Wielmożny Mciwy Panie Podkanclerzy kor. moy wielce Mciwy Panie i Dobr.«

Wyraziwszy swój interes, kończy: »za które dobre zdrowie i szczęśliwe panowanie W. M. naszego wielce mil. Pana, że prosić jako najpilniej Pana Boga nie przestaniemy, to upewnienie osobie W. M. memu mił. Panu donoszy; uniżenie się i modlitwy nasze pod obrone miłościwey łaski W. M. mego wielce mił. Pana oddawszy, proszę abyś W. M. moim mił. Panem i wszystkiego ubogiego zgromadzenia naszego bydź raczył.

W. M. mego mił. Pana bogomodlca ustawiczna
Ludgarda Zebrzydowska,
Matka panien klasztoru św. Agnieszki.«

Widać, że w zamiłowaniu mojem do poszukiwania pamiątek przeszłości, od najmłodszych lat służyło mi szczęście. W starym Kossowskim dworze było bardzo dużo myszy, gdy ściany i sufity, obite malowanemi płótnami, były dla nich wygodnem schronieniem.

Pamiętam, że co wieczór odbywały się tam dziwne piski i bieganiny, na co matka zawsze się skarżyła, iż sobie już rady z niemi dać nie może.

Otóż raz, kiedy matce brakowało papieru pod pieczywo wielkanocne, kazała bratu mojemu starszemu, ażeby otworzył starą szafę, która od dawna była nieotwieraną i wsunięta w kąt stała w sieniach, bo pewnie tam znajdzie niepotrzebne papiery.

Rozkaz ten obudził we mnie wielką ciekawość, co się tam znajduje. Pobiegłem więc za bratem i otworzywszy drzwi, zobaczyliśmy u spodu dwie duże szuflady, które może jeszcze przez pana Chorążego były wysuwane.

Mój brat skwapliwie je wysuwał, lecz spostrzegłszy w nich gniazda myszy, odskoczył i nie chciał dalej zaglądać. Ja zaś, malec odważniejszy, począłem się bliżej przypatrywać i przekonawszy się, że to nie są myszy, ale coś twardego, nakształt zeschniętych jabłek — pobiegłem zaraz do matki z tą wiadomością, że Jaś niepotrzebnie się boi, bo to nie są myszy, ale coś innego, i kiedyśmy potem powrócili, łatwo przekonał się Jaś, że to są zwoje pergaminowe z pieczęciami wojskowemi na upięciach.

Odkryte tak Archiwum Kossowskie obudziło ciekawość w okolicy, sąsiad nasz pan Adam Górczyński z Brzeźnicy, literat i bardzo zacny człowiek, z najstarszych dokumentów zrobił użytek, ofiarując niektóre do biblioteki w Pradze i w Krakowie. Reszta zaś tego cennego zbioru zamkniętą była już pod moją opieką.

Nie oceniając jednak na razie jego wartości, instynktowo tylko strzegłem z zamiłowaniem stare papiery od każdego uszkodzenia. Ułożyłem je potem w starą walizę i po sprzedaży

Kossowy, wyjeżdżając z matką na mieszkanie do Krakowa, złożyłem mój depozyt u księdza proboszcza w kościele Tłuczańskim.

Tak strzegąc, przechowałem ten zbiór do czasu, aż go tu na Ruś sprowadziwszy, mogłem się nim zająć i pożytek z niego choć mały, na jaki skromne zdolności starczyły, wyciągnąć.

Cenne archiwum uchroniłem także od zniszczenia w Porembie Wielkiej u Wincentego hr. Bobrowskiego. Były to różne bardzo ciekawe dokumenta książąt Zatorskich i Oświęcimskich, jako to: prawa łowienia ryb i bobrów w rzekach Sole, Skawie i Wiśle, oraz nadania różnym rodzinom w stałe i czasowe posiadanie wiosek w księstwach w wieku XIV i XV, a przy tem i dyplomy królewskie, potwierdzające te nadania. Moją zasługą w tem jest jedynie to, że ważniejsze dokumenta dostały się w lepsze ręce, bo do biblioteki Jagiellońskiej.

Wspomniawszy tu obicia płócienne, muszę je opisać, bo były one tylko w domach niemurowanych powszechnie używane za moich lat dziecinnych. Później dopiero zaczęto ściany tynkować i malować na tynku.

Obicia płócienne były w paradniejszych pokojach farbami olejnemi malowane: sfinksy, a czasem i sceny z historyi Świętej lub mitologii.

Lecz jak te obicia zaledwo sobie przypominam, tak znowu mody naszych pań i panów z XVIII wieku — jak muszki u pań, a peruki u panów i pończochy po kolana z trzewikami — już za mnie nie istniały. Tylko muszki na twarzach jeszcze u starszych dam widziałem.

Żyła w sąsiedztwie mej matki stara kobieta, niegdyś podobno piękna i elegantka, która nosiła na czole muszkę w formie półksiężyca i pamiętam, że się śmiano, iż na pogodę bywał rożkami do góry obrócony.

Ta pani Dyktarska, jeżdżąc czterma bułanemi ogierami, była raz powodem bardzo niemiłego wypadku. Konie te, gdy zajeżdżając na dziedziniec w Kossowy, zobaczyły więcej zaprzężonych powozów, wpadły z takim wielkim impetem przed

ganek, że furman silny, z konia powożący, nie mógł ich zatrzymać i zawadziwszy sztylwagą lejcowych koni o słup w ganku, przewrócił go tak nieszczęśliwie, że słup był pierwej w pokoju bawialnym przez okno, nim drzwiami weszła wystraszona pani.

O perukach i charcapach słyszałem tylko wiele anegdot, bo przy wesołych kompaniach łatwo o nie było. Najdłużej nosili je urzędnicy jako cudzoziemcy. Pan Wokurek, kreishauptmann z Myślenic, nocując raz w gościnie, miał arcyśmieszną przygodę z peruką.

Pokoi gościnnych nie było jeszcze wówczas. Lokowano gości razem, więc i pan kreishauptman spał z kimś, co nosił także perukę. Umieścił swoją na przygotowanym do tego słupku, jakie wtenczas w każdym domu dla pań i panów przy posłaniu stawiano, aby na nich nietylko peruki, ale i piętrzące się kornety i tupety starannie i bezpiecznie umieszczać. Kiedy się obudził, już swojej nie znalazł tylko inną, bardzo ozdobną paryzką peruczkę, lecz niestety o wiele za to mniejszą. Sprawcą był Pan Sariusz na Modolu Łącki, kasztelanic Czechowski, siostrzeniec gospodarstwa, młody, wesoły kawaler, noszący się po francuzku podług ostatniej mody, jaka w Warszawie na dworze króla Stanisława panowała, a wiele odmiennej od tej, jaką nosił się pan Wokurka. A że kasztelanic spiesząc się z powrotem do Warszawy, o brzasku jeszcze dnia wyjechał za kordon, pogoń zatem za nim była już niepodobna. Nie pomogła desperacya, trzeba się było kontentować tą, jaką znalazł przy sobie, lub w szlafmycy powracać do domu. Wybrał pan Wokurka pierwsze i z peruczką, siedzącą mu na wierzchu głowy, podobny do pajaca, wyjechał z wielkiem niezadowoleniem.

Najgorzej na tem wyszedł gospodarz, bo był długo potem okładany niesłusznie sztrafbotami. Później jednak, jak się rząd nowy lepiej ustalił, takie żarty, choćby i z wypadku, inaczej jeszcze byłyby karane.

Z początku po rewindykcyi Galicyi, kordon graniczny mało był strzeżony, łatwo się z nim oswojono i dlatego później rozmaitych przygód był powodem, szczególnie tam, gdzie

szlachta i w królestwie majątki posiadała i często musiała kordon przejeżdżać.

Taki dokument naruszenia ostrych przepisów z r. 1780, mam pod ręką. Pan Antoni Ciepielowski z Radziszowa, był na podstawie denuncyacyi, »że ludzi i pieniądze za kordon wywozi«, skazany na zapłacenie 300 dukatów grzywny, patentem cesarskim za podobne przekroczenia naznaczonej. Karę tę prezydyum we Lwowie reskryptem swoim nakazało kraisamtowi w Myślenicach ściągnąć i dopiero za wdaniem się poważnych sąsiadów, dających swojemi osobami i majątkami gwarancyą, że zaskarżony jest niewinny, gubernium karę zniosło i pozwoliło nawet fałszywego denuncyanta do odpowiedzialności pociągnąć.

Dziad mój Paprocki, broniący w tej sprawie pana Ciepielowskiego z panem Waksmanem z Korabnik, miał spór ze szwagrem o posag swej siostry i prowadził proces w Tarnowie, gdyż pan szambelan Szembek, nie słuchając przestróg patronów, że sprawa jest niesłuszna, trwał uporczywie przy swojem.

Sądownictwo ówczesne przeważnie składało się z dawnej szkoły z pod rządów polskich, i choć adwokaci i konsyliarze, rozbijając fortuny szlacheckie, panoszyli się na nich, to byli i ludzie w pośród nich bardzo zacni, których imiona i dziś ze czcią są wspominane, jak n. p. w Tarnowie Piliński, Stradomski, Zakrzewski i wielu innych.

W liście swym do pana szambelana znany z rozumu i dowcipu konsyliarz Zakrzewski, o którego dowcipie kilka razy w tych moich zapiskach wspomniałem, humorystycznie przedstawia sprawę jego.

Wielmożny Panie Szambelanie Dobrodzieju!

Chociaż na kopercie cudzej przypisałeś się Wwc. Pan Dobr. do dobrze życzącego sługi, słodką przecież ten wyraz stał mi się korzyścią z powodu, że mam sposobność moją najniższą atencyą z winną mu wdzięcznością za pamięć wyrazić, powtóre żeś mi dał poznać, iż się boisz procesu, gdy prosisz,

ażeby cię nie sekować. Tak to zazwyczaj bywa, czemu ja się nie dziwuję i co mnie przekonanym czyni, że niesprawiedliwe żądanie jakowej rzeczy sprawuje bojaźń, czyni sumieniowi trwogę i oraz przyprawia o rozpacz.

Gdy przeto ten interes, jak sam wiesz szambelanie, jest niesprawiedliwy, boję się przeto, abyś na skutki rozpaczy nie przyszedł, czyli wyraźniej, abyś sobie w łeb nie strzelił, lecz pono strzelać nie umiesz, abyś się sromotnie nie powiesił, bo cóżbym ja zgubiony sierota robił, gdyby Szembeka djabli wzięli, któżby kłótnie wznawiał, komuby też ja odpowiadał, zostałbym prawie bezczynnym.« Tak dowcipnie reflektując pana szambelana, kończy swój list pan konsyliarz: »Odrzuciwszy na stronę bojaźń przegranej, z utrzymanym honorem odejdź z godnością. Tego ja życzę i z wysokiem poważaniem piszę się« etc.

Podobnego dowcipu, podobnych sporów i procesów ileż to się przechowało w aktach i tradycyach rodzin. Możnaby z nich niejednę zajmującą z tych czasów historyą ułożyć, szczególnie, kiedy rządy nowe nim się ustaliły, nie mało nastręczały wesołych anegdot, a przytem i sporo nadużyć, jakie się działy przez swawole szlachty, a złe przepisy kraisamtów.

Jednak pomimo tych materyałów, jakże to już ciężko po latach tylu opisać niejeden rys, znamionujący wiek i ludzi w nim żyjących z ich wielkiemi cnotami, lecz często niestety i z większemi jeszcze wadami, a cóż dopiero nieudolną ręką dać wierny obraz dawno minionych czasów.

Tworząc tę mozaikę, złożoną z różnych mniej znaczących drobiazgów barwnej przeszłości — mąci się myśl, uczucie kieruje piórem i mimo woli, przeskakując nie lata, ale wieki całe w swem opowiadaniu, powtarzam się może, bo podstawę do osnucia tych starych dziejów, tak przezemnie ukochanych, dają mi przeważnie tylko wspomnienia i pamiątki rodzinne.

Za każdą moją bytnością w okolicach Krakowa, za każdą odgrzebaną pamiątką z dawno minionych czasów, budzi się we mnie chęć dalej moje wspomnienia spisywać.

I nieraz nawet, kiedy czytam te stare pergaminy, które tak dobrze umiały warować rodzinom prawne posiadanie ziemi, że ją ich potomkowie po kilka wieków swobodnie uprawiali, to radbym tę martwą rękę, która je starannie na oślej skórze pisała, a już dawno bez śladu w proch się rozsypała — ucałować, bo o ileż więcej tych pięknych wiosek byłoby teraz w polskich rękach, gdybyśmy my tak samo, jak nasi praojcowie, umieli strzedz, a co jeszcze więcej z takiem uczuciem, jak oni, kochać i szanować rodzinną ziemię.

Czupernosów, dnia 15 Listopada 1891.

LAT TEMU CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ.

W moich zapiskach z czasów ubiegłych, które przed kilku laty w odcinku *Gazety Narodowej* zamieszczałem, wspomniałem tylko pobieżnie o roku 1846; roku bolesnej a po wieki niewygasłej pamięci. Od owych czasów grozą swoją przerażających wypadków, od bratobójczej pożogi lat piąty dziesiątek dobiega, a one jeszcze się nie doczekały wyczerpującego opisu. Rozpoczął go w 1848 roku ś. p. Tessarczyk, śmierć przedwczesna jego pracę przerwała. Szanowny ks. Michna, mając na celu radę, przestrogę, naukę dla ludu — zbierał i ogłaszał szczególne wypadki; obiedwie atoli prace nie dają jeszcze uzupełnionego obrazu. Obraz taki, mojem zdaniem, złożyć można zbierając wspomnienia osób, które brały bądź czynny, bądź bierny udział w wypadkach. Z takich wspomnień wprawna ręka umiejętnego artysty, złoży mozaikę wysokiej wartości. Jakże przydatnym byłby taki obraz dla późniejszego historyka! Bo historya nad zdarzeniami 1846 roku nie przejdzie do porządku; ona wyczekuje pory dojrzałości.

Na takiem zapatrywaniu oparty, daję opowieść, czego sam doświadczyłem. Sądzę, że dla czytelnika nie będzie bez interesu. Da ona wyobrażenie o moralnym ówczesnym nastroju wiejskiego ludu i pozwoli dojrzeć, zkąd płynęły i jakiemi były wpływy, skłaniające ten lud biedny do podniesienia bratobójczej ręki.

W roku 1845 liczyłem dziewiętnasty rok życia i w pierwszej jego połowie zamieszkiwałem z matką i rodzeństwem wieś Kossowę, która była mojem rodzinnem miejscem. Włość ta położona nad Wisłą w połowie gościńca wiodącego od Zatora przez Skawinę do Krakowa, cztery przeszło wieki pozostająca w rodzinie, w tym roku drogą sprzedaży przeszła w inne ręce.

Rodzeństwo moje przeniosło się na Ruś daleką; jeden tylko Feliks Łopuszański, syn mojej matki z pierwszego małżeństwa a mój brat przyrodni, pozostał w tej stronie kraju, dzierżawiąc wieś Glichów w okolicy Myślenic. Matka moja w drugiej połowie roku, w miesiącu lipcu opuściła swoje gniazdo rodzinne udając się do Krakowa, dokąd mnie z sobą zabrała dla pobierania nauk w uniwersytecie krakowskim. Razem z nami porzucał Kossowę stary sługa rodziny, Kasper Klimkiewicz. Ten należał jeszcze do owej, dziś już ginącej klasy sług, których służbowe miejsce było sukcesyjnem, z ojca przechodziło na syna. Sędziwy Kasperek mniej był sługą, więcej przyjacielem domowym. Takiem było w naszej rodzinie stanowisko Kasperka.

Rozrzewniającem było pożegnanie mojej matki z włościanami kossowskimi. Zgromadzili się tłumnie i ze łzami w oczach żegnali zapłakaną, tyloletnią panią swoją. Wspominam o tem, gdyż daje to pewną miarę usposobienia wiejskiego ludu. W mojem przekonaniu lud ten niejednakowy wszędzie, z natury szlachetny — uległ zepsuciu pod wpływem urządzeń administracyjno-policyjnych obok źle pojmowanych, albo niedbale spełnianych obowiązków opieki ze strony szlachty.

Pierwsze miesiące naszego pobytu w Krakowie przeszły spokojnie, bo cichem było nasze życie w mieście. Matka moja oddana modlitwie, szukała w niej pociechy, uciszenia żalu po opuszczonej wiejskiej zagrodzie — ja uczęszczałem na prelekcye. Nie było bez tego, ażebyśmy nie zwracali uwagi na przygotowawcze czynności do późniejszego powstania, które miało miejsce w drugiej połowie lutego następnego roku, ale mój wiek młodzieńczy, dotychczasowe odosobnienie towarzyskie, w końcu zajęcia naukowe, wszystko razem wzięte sprawiało, że w agitacyi udziału nie brałem, że byłem bezczynny.

Ale już pierwszych dni stycznia 1846 r. zwykły spokój i cisza miasta Krakowa, ustępować zaczęły niezwykłemu wzburzeniu. Dojrzewały zamiary, brały koniec przygotowania. Już nikt nie wątpił o wybuchu i tylko nie znano chwili, którą z dnia na dzień odkładano. Całe miasto niepokojem wrzało.

W takim stanie doczekaliśmy miesiąca lutego i wtenczas matka moja przewidując niebezpieczeństwa, jakieby ją spotkać mogły, gdyby pozostała w mieście, postanowiła wyjechać na wieś do syna Feliksa, który, jak o tem wyżej nadmieniłem, dzierżawił wieś Glichów w górach, a lubo tylko dwie mile od Myślenic a sześć od Bochni oddaloną, dla złych dróg miejsce było dość niedostępne.

Opuściliśmy Kraków 18 lutego. Biedna matka moja łudziła się pozorną ciszą na wsi. Jakże rychło a jak boleśnie nastąpiło rozczarowanie!...

Po naszym przyjeździe do brata, chcąc się dowiedzieć co się dzieje w Krakowie i w sąsiednich obwodach, na drugi dzień pojechałem do pana Mikołaja Dąmbskiego do Krzyżkowic, jednocześnie właściciela świeżo nabytej Kossowy. Jego synowie Włodzimierz i Gustaw byli w moim wieku i u nich spodziewałem znaleźć rozkaz kiedy i gdzie mamy się udać, by wziąć udział w ogólnym ruchu. W miejsce rozkazu dowiaduję się w Krzyżkowicach, że powstanie w Tarnowie się nie udało, gdyż chłopi zwrócili się przeciw szlachcie. Jakkolwiek ta wiadomość z pewnego źródła pochodziła, to przecież, że była tak okropną, wierzyć w nią nie chcieliśmy, a to tem więcej jeszcze zdawało nam się do prawdy niepodobnem, że mieliśmy inną zupełnie przeciwną i dla nas pomyślną, gdyż mówiono nam o cofnięciu się jen. Colina z Krakowa do Biały, o rządzie narodowym i o tym podobnych naszych korzyściach. Nadewszystko słuchając mylnych zapewnień osób bliżej się tą sprawą zajmujących, jak mianowicie: Edwarda Dembowskiego, Stanisława Białobrzeskiego i Adama Siedmiogrodzkiego, u którego wówczas Dembowski przebywał w Wieliczce, złym nowinom nie mogliśmy dać wiary i tem samem zapobiedz tak blizkiemu u nas nieszczęściu. Mylił się niestety Dembowski twierdząc, że widział lud ze łzą w oku, gotowy do czynu. Łatwo już wtenczas było można odgadnąć usposobienie ludu, tylko nie trzeba było iść drogą, jaką on szedł i nie łudzić się. Tak jasne były po wszystkich punktach naszej prowincyi oznaki

niechęci ludu, że chyba kto chciał się łudzić, ten mógł wierzyć w przychylność chłopa. Nie wymieniam tu żadnych przykładów, albowiem drudzy lepiej odemnie z tem obznajomieni dosyć ich dostarczą, powtóre, że moim zamiarem nie jest opisywać całej katastrofy — ale jedynie to tylko skreślić, com widział i sam doświadczył.

W takiej więc niepewności o udaniu się powstania, wracałem do Glichowa, śledząc już baczniej usposobienie po wsiach. Jednak, chociaż uprzedzonem okiem patrzałem, to niczem przecież zwodnicza spokojność nie zdradziła tak bliskiej i zaciętej zemsty. Chłop spokojnie pracował przy swym domu, gdyż świeżo rozpowszechniająca się wstrzemięźliwość od wódki, mimo, że to było przy końcu zapust w same ostatki, mało ludzi sprowadzała do karczmy. Nazajutrz dopiero po powrocie moim, w sam dzień Popielca 25 lutego, kiedy pańszczyzna liczniej jak po inne dnie wyszła do roboty, około godziny dziewiątej przyszedł wójt uwiadomić, że warty od wczoraj wieczór po wsiach sąsiednich postawione, nikogo już nie przepuszczają, i że on taką wartę musi u siebie postawić, by każdego podejrzanego bez różnicy stanu aresztować i do cyrkułu odesłać. W czasie zaś jego opowiadania nadszedł przysiężny, mówiąc, że był na Popielcu w Raciechowicach (gdzie była parafia) i że tam są już niedaleko, w lesie, Polaki; że ktoś zrobił wielki popłoch w kościele, wskutek czego jedni ludzie do chat pouciekali, drudzy księdza za coś biją, we dworze słychać strzały — stary pan podobno już nie żyje, a pana rotmistrza i naszego sędziego w drodze Polaki zabili. — A w istocie tak było: dziedzic tej wsi pan Kasper Bieliński, starzec siedmdziesięcioletni był tak okropnie męczony, że go po szkle tłuczonem z wybitych szyb w domu, na podwórzu gołego taczali, wskutek której to męczarni, w najdotkliwszych bolach, w tydzień potem w Myślenicach życie zakończył. Syn zaś jego, wysłużony rotmistrz od dragonów, został w drodze z powrotem do domu przez własnych chłopów napadnięty i tak zbity, że prawie bez życia zawieziono go do Bochni i tam w parę go-

dzin umarł. Również jego towarzysz, sędzia czyli mandataryusz, rodem Niemiec, niejaki Müller. doznał tego samego losu.

Po odejściu wójta i przysiężnego, którzy obaj wyglądali pozornie wystraszonymi, pańszczyzna robiąca w stodole, zrobiwszy krótką naradę, rozeszła się do domów, a po chwili uzbrojona cała wioska w kosy, cepy, drągi, a między temi i broń palną, dwór otoczyła, mówiąc, że będzie nas pilnować do czasu, aż przyjdzie ta gromada, która ma *Befehl*, jak z nami dalej począć. Wszystko to tak prędko się działo, że niepodobna wierzyć, czy wprzód nie były poczynione między nimi jakie przygotowania. Na zapytanie, jaka gromada i kto nią dowodzi? i co to wszystko ma znaczyć? — odpowiedzieli, że jest z różnych wsi złożona, bo do niej łączyć się trzeba, a na czele jest wójt z Gdowa i strażnik finansowy. Idzie ona z rozkazu cyrkułu, by wszystkich wiązać i do cyrkułu odstawiać, a ktoby się bronił z orężem w ręku, lub przy nim znaleziono broń jaką, tego mordować, dobytek zniszczyć lub zabrać na własność swoją — kończył opowiadanie — że taką mają instrukcyą od strażników i różnych urzędników, uwijających się po wsiach od dłuższego czasu. Że o tem wszystkiem byli dokładnie uwiadomieni, można było widzieć z tego samego opowiadania, które, jak zapowiedzieli, w godzinę potem sprawdziło się. Słysząc podobną zapowiedź, nie mogliśmy się czego innego spodzieważ, jak tego, co inszych sąsiadów spotkało.

Chwila ta była ogólnego całej wsi przestrachu — lud zbierając się w największym popłochu, zdawało się, że czynił to w mniemaniu własnej obrony; rozpaczą i zemstą wiedziony, miotał tysiącem przekleństw i urągań. »Polaki idą i będą nas wyrzynać!« — było ich jedynem hasłem. Kobiety krzycząc to wynosiły cały swój dobytek z dziećmi do lasu w góry. Nie mając przy sobie żadnej broni, oczekiwaliśmy z rezygnacyą smutnego zakończenia strasznego dramatu. W samo południe, na wzniosłem wzgórzu, od strony wschodniej, obaczyliśmy ludzi biegnących pieszo i konno — a ledwo że zaczął krzyk ich mocniej nas dochodzić »bić i zabijać« — dwóch młodych ludzi

w chłopskiem ubraniu wpadło na podwórze i połączywszy się z miejscową gromadą, postąpili z siekierą w ręku do drzwi domu, gdzie zobaczywszy mnie stojącego w sieni, krzyknęli: »wiązać ciarachów, kaj masz pieniądze?« To ostatnie pytanie tem motywowali, że są leśnymi z sąsiedniej wioski i że im się jakieś pniakowe należy, co może i tak było, bo strażnika i wójta z Gdowa nie widzieliśmy.

W tejże chwili został dom napełniony ludźmi obojga płci i różnego wieku, którzy mszcząc się nad wszystkiem, co wpadło pod ich rękę, tłukąc i łamiąc drzwi, okna, sprzęty, podłogę, piece i sufity obracali wszystko w ruinę. Z bratem Feliksem, zaraz w pierwszej chwili obydwa powiązani, widzieliśmy tylko od czasu do czasu jakiś sprzęt wyrzucony na podwórze, gdzie nas ustawiono, a potem dzielenie się tym łupem. Po takiem zniszczeniu i rabunku, zbliżył się do mnie ten sam leśny, dowódzca bandy, z szatańskim na twarzy wyrazem i zapytał: »gdzie mas broń i gdzie pieniądze?« a gdym mu odpowiedział, że ich nie mam i że najlepiej zrobi jak sam szukać będzie, uderzony w głowę straciłem przytomność; to było znakiem do rozpoczęcia pastwienia się nad nami. Czując okropne bole od cep i kijów, przetrwałem w tej męczarni godzin przeszło dwie, słysząc tylko czasami niektóre ich słowa — »Tak wy selmy bylibyście nas zabijali, a gdzie wase sabelki, a gdzie noze coście niemi mieli nas wyzynać? O! bić tych psów, niech się to selmoskie plemię nie mnozy. Patrz! jakie to paniątko — jakie białe rączki — nieroba! a cłek na niego cały dzień pracuje.« — Przytem widok matki znękanej nieszczęściem, słabnącej co chwila na każdą nową męczarnię dziecka, obdartej ze wszystkiego co miała na sobie i żebrzącej o życie własne i dzieci, był tak okropny, że wszystkie takie bole fizyczne przewyższa moralne cierpienie. Do tego, poczciwy nasz Kasperek, siedmdziesięcioletni starzec, kiedy na rękę i nogę kaleka nie mógł wsiąść prędko na bryczkę, był kluty pod żebra i bity. Nakoniec, kiedy już nas włożono na bryczkę

i za barki do niej przywiązano, i kiedy już ruszyć mieliśmy pod strażą dziesięciu chłopów z przysiężnym, nadwieziono człowieka tak mocno zakrwawionego, że dopiero mając go w drodze towarzyszem, dowiedzieliśmy się, że to był niedaleki sąsiad, a dawny Glichowa dzierżawca, p. Antoni Komarnicki.

Widok świeżej ofiary pobudził na nowo i rozjątrzył rozpasane namiętności; zaczęło się zaraz wypominanie niezliczonych krzywd a tysiączne obelgi jeszczeby dłużej potrwały, gdyby nie pośpiech, jaki ich naglił do dalszego rabunku; on nas uwolnił od dłuższej męczarni.

W każdej wsi stojące warty, a raczej gromady uzbrojone w różną broń, jak cepy, widły, kosy, zatrzymywały nas, by złość swoją wywierać, a to od miasteczka Gdowa, gdzie tłumy zastaliśmy ludu, wyczekującego na przybycie wojska austryackiego pod dowództwem podpułkownika Benedeka, ażeby potem razem z nim, za nagrodą pół cetnara soli, wymordować garstkę słabo uzbrojonej dzielnej młodzieży krakowskiej.

Tu, jak również na innych wartach, których mieliśmy do przebycia bardzo wiele, winniśmy wdzięczność naszej straży, która wśród nieustających nacierań, przez spieszną jazdę niedopuszczając żadnego cięcia, śmiało broniła mówiąc: »Wara! nie wolno bić, mają już dosyć, odebrali swoje.« I w największej trwodze, gdzie lepsza śmierć nad takie życie, bo każda chwila, nietylko, że je czyniła niepewnem, ale i najdotkliwszem, zajechaliśmy około godziny 12-ej w nocy do Bochni. Może i to nam do uratowania życia pomogło, że brat Feliks w pierwszej chwili odzyskanej przytomności, tym ludziom, którzy nas odwozili, przyrzekł — że cała ta podwoda, którą nas wieziono, składająca się z bryczki i pięciu koni, jeśli nas żywych do Bochni zawiozą, do nich będzie należeć.

Jak silną jest natura ludzka i co człowiek wytrzymać może, miałem dowód nietylko na sobie, wytrzymawszy tyle śmiertelnych razów, ale i tysiączne inne przykłady. Widziałem ludzi z dziurami w głowie przez dłuższy czas nieopatrywanych, którzy wyszli z tych ran i kilka jeszcze lat żyli — jak Ludwik

Romer z Krakuszowic; ten mając kosą przewierconą głowę, miał kości wyjmowane i nosił blachę srebrną. Również przypominam sobie starego komornika, przyjaciela pp. Romerów, którego nazwiska nie pamiętam, a który był przywieziony razem z nimi z Jodłownika. Był to już bardzo stary człowiek, cierpiący od lat wielu na mocny w całym ciele artryzys, co lata jeździł do Trenczyna, a w zimie zaszyty w flanelę mało wstawał z łóżka. Otóż tego Łazarza wyciągnięto z pościeli i nie dawszy mu się przyodziać, bito go na śniegu, a potem, kiedy już był ledwo żywy, topiono go w drodze w rzece Rabie i znowu bito, a tak przywieziony do Bochni, leżał obok mnie w szpitalu, i kiedy u innych puchlina z pobicia pod kompresami zimnemi schodziła, u niego tylko nabrała ciemnej barwy. Leżał jak bałwan, bo nie mógł zgiąć stawów, lekarze zadecydowali poprzecinać to opuchnięcie i po takiej operacyi wyciekła zaskórna woda. Ten człowiek od tej pory był zupełnie wolny od dawnych cierpień i żył jeszcze lat kilka. U mojego brata służąca, na godzinę przed katastrofą porodziła dziecko, wyrzucona potem ze swego posłania, poszturkana i obdarta leżała naga na ziemi z dzieckiem, pokąd ktoś ze wsi nie ulitował się i zabrał ją do siebie. Ta sama kobieta, we dwa tygodnie zdrowa przyjeżdżała do Bochni, przywożąc nam rzeczy.

Różne można było poznać charaktery ludzkie. I tak pamiętam chłopa, który uchodził we wsi za niespokojnego i często był karany; szczególnie za poprzedniego dzierżawcy pana Komarnickiego, nie było roku, by większej karze za kradzież i zuchwalstwo nie popadł. Otóż ten człowiek, kiedy przywieziono Komarnickiego, przybliżył się do niego i począł robić mu wyrzuty z całego z nim postępowania. Przypominał mu, kiedy i za co był karany, wyrzucał najniedorzeczniejsze urazy, nareszcie, kiedy wszyscy myśleli, że on cios śmiertelny w tego człowieka wymierzy, bo będąc z profesyi kłusownikiem, miał przy sobie strzelbę — on tymczasem unosi się wspaniałomyślnością i mówi: »Tyleś mi złego narobił, mógłbym cię teraz zabić, ale że już odebrałeś swoje, więc

wara! nie wolno bić! a ktoby cię tknął, tego ja sam ukarzę«, i pod tem zagrożeniem wyruszono dopiero z nami.

Gromada Glichowska poszła zaraz do sąsiedniej wioski, gdyż było to u nich w systemie, iż mało gdzie robiono u siebie szkody, a tylko u sąsiada — i tak nas zatrzymano, aż przyszła gromada z Komornik od pana Juliana Finka, czy z Zygarłowic od pana Jozefata Kałuskiego, od którego trzymał dzierżawę pan Komarnicki i z innych wiosek — a kiedy ci się nasycili nami — nasi znów poszli dalej szukać dla siebie zdobyczy. Granicząca wioska, do której się udano, należała do dóbr pana Dominika Dąmbskiego, niemłodego kawalera i bardzo bogatego człowieka. Tam zastawszy u rządzcy ukrywającego się właściciela, napadli go i zrabowali. Pan Dąmbski uciekał ze swojej pięknej majętności Drogini, położonej przy trakcie murowanym z Myślenic do Bochni, sądząc, że w górach będzie bezpieczniejszy. Odszukany, tylko większemi pieniądzmi uratował życie i był razem prawie z nami wieziony do Bochni, gdy tymczasem we wsi Książnicach nad Rabą, lud odznaczający się swojem okrucieństwem, dowiedziawszy się kogo wiozą, czy w nadziei dalszego łupu, czyli też wskutek swej wściekłości, pokawałkował go i wrzucił do rzeki. Byliby pewnie i z nami to samo zrobili, bo już naszą podwodę zatrzymano a warta nasza broniąca nas wszędzie, możeby już nie zdołała stawić oporu, gdyby nie oddział Benedeka pod Gdów maszerujący, który ocalił nam życie. Oficer zobaczywszy to okrutne postępowanie, począł płazować chłopów, rozkazując nas żywych wieźć do miasta.

Zaraz po przywiezieniu nas do Bochni, po krótkim protokóle w cyrkule z ludźmi i matką naszą, której za wielkiem staraniem pozwolili jechać razem z nami, mówiąc, że bab w cyrkule nie potrzebują, przeniesiono nas do szpitala świeżo co urządzonego w salach szkolnych, gdzie i matce naszej, na przedstawienie zrobione komisarzowi, że ta kobieta nie ma nikogo znajomego i jest z wszystkiego obdarta, pozwolono przez jednę noc zostać na usługi rannym, a mimo

takiego poniżenia osoby i wieku, byliśmy szczęśliwi, mając ją przy sobie. W całej drodze nie wiele czułem bólu, gdyż, jak to powiedziałem, straciwszy zaraz na wstępie po pierwszem prawie uderzeniu przytomność, strętwiałem był na wszystkie bole. Największy ból dopiero wtenczas uczułem, kiedy po przeniesieniu mnie do szpitala, poczęto trzeźwić mocnemi kroplami, gdy tamtejszy ksiądz wikary, dający ostatnie zaopatrzenie konającym, poznawszy moją matkę, zajął się mną. Odzyskawszy przytomność, poczułem dopiero wszystkie bole z tak strasznego pobicia, gdyż byłem tak spuchnięty, ze rękawy musiano rozpruwać, by surdut zdjąć ze mnie. Przeniesiony potem do obszerniejszej izby, w której już leżeli chorzy mniej niebezpieczni, gdzie był brat Feliks, dostałem mocnej gorączki. W tym roku dzień mego urodzenia pamiętnie spędziłem, w tym dniu skończyłem lat dwadzieścia. Cyrkuł wyglądał wówczas jak koszary; pełno wojska siedziało w salach, mając broń w kozły poustawianą a wszystkie akta były spakowane, urzędnicy jak na popasie pełnili swoje urzędowanie, strach był u nich paniczny. Starosta Bernd leżał chory, zastępował go komisarz Wangermann. Mieszczaństwo i urzędnicy formowali straż bezpieczeństwa i przez dni kilka nosili broń a na lewej ręce przepaskę z pieczęcią.

Pamiętam lekarza Klingenholca, żyda, ten nas opatrywał z dwoma pistoletami za pasem i dubeltówką, której nie zdejmował. Nawet wartę koło szpitala utrzymywali mieszczanie, mając często zamiast broni, tylko kosy. Obawiano się ciągle jakiegoś napadu, i widziano powstańców tam, gdzie ich nigdy nie było. W czasie kuracyi okładami zimnej wody a dalej napojem gotowanym z ziół, doznawaliśmy zaraz w pierwszych dniach od pań tamtejszych najlepszej opieki i szczerego współczucia; z gotowością chrześciańską poświęcały się na wszystkie usługi, wszelkie znosiły trudy — ale to trwało krótko, bo w kilka dni zabroniono tym czcigodnym obywatelkom niesienia pomocy i zostawiono tylko jednę, biorącą zapłatę kobietę — a ta mimo najlepszych chęci, nie mogła obsłużyć nas wszyst-

kich dwudziestu chorych. Każdego prawie wieczora czemś nowem straszono: raz opowiadano, że będą spuszczać wszystkich więźniów do salin; to znowu, że ich rozbiorą do naga, ażeby jak przyjdą powstańcy, nie mogli się z nimi łączyć.

Temi i tym podobnemi bredniami odbierali do reszty siły i tak już mocno nadwątlone. Przytem, widok rannych, ciągle pogrzeby, cierpienia moralne, straszna rozpacz po stracie najbliższych osób z rodziny, po stracie majątku, zdrowia przez kalectwo, wtrąciłyby zdrowego, a tem bardziej ludzi rannych, w gorączkowe słabości. Te wzmagać się zaczęły po naszych szpitalach, do czego i wilgoć z wydobywającej się pary z pod zimnych okładów, przesiąkająca nasze mieszkanie, nie mało się przyczyniła. Zbliżał się nareszcie czas rozpoczęcia nauk szkolnych, nasze szpitale trzeba było wypróżniać, zaczęto więc wybierać zdrowszych i odsyłać do więzienia. W szpitalu odbyto z nami kilka protokołów, i tak przez urząd cyrkularny, przez magistrat i miejscowego fizyka, zawsze jedne dając zapytania: Zkąd jesteśmy? gdzie nas ujęto? a co najzabawniejsze — czy wiemy, po co nas do cyrkułu przywieziono, lub czy sami nie daliśmy do tego powodu?

Dnia 4 marca, ja z bratem byliśmy przeniesieni do takiego świeżo urządzonego więzienia, w budynku nowo postawionym. Z nami dostało się tam trzydziestu kilku innych więźniów. Koledzy nasi byli to różnych klas ludzie, a między nimi było dwóch chłopów, jeden za kradzież koni, drugi wójt, który po odstawieniu zamordowanego pana wróciwszy do domu, gromadę swoją z rozkazu rządu, jaki później wydano, namawiał do spokoju. Ten był zbity i do cyrkułu odwieziony. Jednego dziada, przeszło ośmdziesięcioletniego, za to, że miał płaszcz z czerwonym kołnierzem, kilku księży i najwięcej prywatnych oficyalistów i rzemieślników, umieszczono również z nami.

Między tymi kolegami był oficyalista z dóbr hr. Lanckorońskiego z Biskupic, rodem Niemiec, podobno Wirtemberczyk. Młody ten człowiek kilka tygodni był dopiero w Galicyi, słowa nie umiał po polsku, a tem samem nie mógł wiedzieć

o powstaniu, jednak zbito go jak wszystkich i wrzucono do więzienia, nie zapytawszy się za co siedzi, trzymano go dłużej niż nas. Tak samo i reszta kolegów nie wiedzieli za co cierpią i są prześladowani.. Mając trzy izby, byliśmy pozamykani po kilkunastu w jednej; przez dwanaście godzin, ludzi jeszcze z ranami, zamknięto bez słomy i wody, a później gdyśmy słomę uzyskali, nie była świeża, ale zużyta w szpitalu wojskowym; robactwo też nas niepokoiło strasznie. Woda zaś była w naczyniach tak smrodliwych, że mimo gwałtownego pragnienia, bez zatkania nosa nie można było pić; nie wypuszczani na krok za drzwi, mieliśmy naczynie wtenczas tylko odmieniane, kiedy nam jeść przynoszono; w takiem to powietrzu byliśmy przez tydzień trzymani. Dopiero wizyta wice-gubernatora hr. Łazańskiego z adjutantem arcyksięcia i prezesem miasta sprawiła niejakie ulżenie.

Od tego czasu mieliśmy drzwi do drugich dwóch izb otwarte, a tak przechodząc się, mogliśmy mieć więcej powietrza. Jedzenie składało się codziennie z obiadu i bochenka chleba, a później wpuszczany był rano przy odmienianiu wody i naczynia preclarz z wódką i kiełbaskami, by, jeźli u kogo znalazł się jeszcze jaki grosz, mógł mieć za niego śniadanie. obiad był zwykły: rosół, mięso i jarzyna, lub kluski na przemianę — lecz nie wszędzie jednaki; w drugiej izbie, gdzie byli chłopi, szewcy, kowale i tym podobni rzemieślnicy, wikt z kryminalu, o 6-ej wieczór, ziemniaki w mundurach i kasza z łojem; w trzeciej zaś ten sam obiad co u nas — a można było mieć i swój wikt. Wilgoć i brak odzieży najmocniej dokuczały; bez bielizny i obuwia prawie wszyscy się znajdowaliśmy.

Narzekania i przekleństwo odbijały się o uszy; ciągły hałas, różność zdań, zkąd kłótnie i niezgoda pogarszały stan normalny. Mając od rabunku uratowanych trochę pieniędzy, gdyż w kołnierz surduta zaszył mi Kasperek kilkadziesiąt reńskich, miałem ten skromny fundusik na pierwsze potrzeby dla biednej matki. Resztę zaś pieniędzy, jakie mieliśmy w Glichowie, przewidując, że niemi łatwiej się uwolnimy od większej

męczarni, skoro będziemy mogli zaraz się okupić, zatrzymaliśmy przy sobie, co też się sprawdziło, bo znalazłszy przy nas pieniądze, mniej się pastwiono.

Kiedy tak nam upływał czas w naszej kozie, matka nasza znalazłszy łaskawych i znajomych, nie zaniedbywała najmniejszego starania, i po wielu trudach zostałem puszczony d. 20 marca.

Po uwolnieniu, jakie oznajmił mi pan burmistrz, do którego byłem przyprowadzony pod eskortą czterech żołnierzy, wyszedłszy na miasto z wręczonym od niego certyfikatem, nie wiedziałem gdzie udać się, bo Bochni nie znałem — a gdzie i u kogo mieszkała matka, również nie było mi wiadome. Stanąłem pod murem ratusza, ciesząc się ciepłem słońca, a kiedy tak rozmyślałem nad losem niespodziewanym, bo nietylko brat nie był jeszcze wolny, ale i Kasperka zostawiłem w więzieniu — nadeszły dzieci ze szkoły i chłopczyk nieznajomy zobaczywszy mnie stojącego w głębokiem rozmyślaniu, zbliżył się z zapytaniem o moje nazwisko, a skoro je usłyszał, zaraz ofiarował się zaprowadzić mnie do matki, zapewniając, że wie gdzie mieszka i matka dziś się spodziewa mego uwolnienia. Ten chłopczyk był synem Antoniego Janty, świeżej ofiary, bo zamordowanego w Staniątkach, gdzie był mandataryuszem.

Bochnia była przepełniona nieszczęśliwemi rodzinami, które mając w więzieniach lub po domach, jeżeli nie w szpitalach, mężów, ojców i synów, czekały na ich uwolnienie, wyzdrowienie, a wszystkie na uspokojenie chłopstwa po wsiach. Między temi rodzinami tulącemi się w mieście, znalazła matka krewną panią Zenobię Dydyńską, mieszkającą po stracie zamordowanego męża, ze swemi sąsiadami Teodorami Niwickimi, w domu p. Holcera. Przyszedłszy do niej, zastałem moją matkę czekającą już na mnie. Trudno opisać radość tej biednej kobiety i udział w niej tych zacnych ludzi, z którymi ona los swój ciężki dzieliła. Obdarzono mnie jakiemś nowem ubraniem — a było bardzo potrzebne, bo to, co na sobie miałem, niewielką stanowiło wartość.

Dziś pisząc o tem, czuję prawdziwą radość, że po czterdziestu sześciu latach mogę tej mojej kochanej i zacnej kre-

wnej — moją wdzięczność za jej serce wyrazić. Ówczasowa pani Dydyńska z domu Szembek, młoda, piękna a bezdzietna wdowa, weszła w powtórny związek małżeński z p. Leopoldem Boguckim. Dzisiaj staruszka, znowu wdowa, Lwów zamieszkuje.

Mieszkańcy Bochni przez cały czas tych wypadków, okazali się najżyczliwszymi, dając wszędzie oznaki najżywszego współczucia. W tem miejscu, jako przykład, mogę własne zdarzenia przytoczyć. Matka moja nie mając w pierwszych chwilach nikogo ze znajomych, będąc po raz pierwszy w tem miejscu, znalazła przytułek w domu krawca Rojkowskiego, a doznawszy najlepszego serca, odebrała rzadki dowód zaufania i przychylności, bo kiedy później, za zaręczeniem jednego z posiadaczy domów w mieście, wypuszczono na domowy areszt, ten sam pan Rojkowski nie znając mnie, nietylko, że chciał ręczyć całym swoim majątkiem i osobą, ale o to sam najusilniej się starał. Tak samo i drugi mieszczanin, z profesyi również krawiec, rodem z Węgier, chciał ręczyć za mojego brata, którego zupełnie nie znał. Jednak te obydwa poręczenia nie były przyjęte a w końcu i niepotrzebne, bo sam rząd, uznawszy nas niewinnymi, uwolnił i wyjechać pozwolił do miejsca urodzenia, dokąd d. 27 marca udaliśmy się szybkowozem.

Tu chwytam nadarzoną sposobność spłacenia długu serca, zaciągniętego przed pół wiekiem, oddając dank przezacnej pannie Gross, która była opiekuńczym duchem wszystkich więźniów, a nam szczególnie do rychłego uwolnienia wiele pomogła. Wspomnienie o tem jest wyrazem wdzięczności za wszystkie starania, nieustające zabiegi ku przyniesieniu ulgi nieszczęśliwym, jakie podejmowała ta zacna niewiasta. Spóźniona zapłata! Nasza wierzycielka w innem już życiu, niemniej przeto uiszczam się z długu serca. Moja matka, nie mając i nie mogąc w inny sposób dać wyraz swojej wdzięczności, uprosiła do przyjęcia własnej obrączki ślubnej, którą ja, mając na palcu podczas rabunku, od utraty uratowałem. Panna Gross była rodzoną siostrą pana Piotra Grossa, męża na tylu polach zasłużonego krajowi.

Wadowice podobnie jak Bochnia przepełnione były obywatelstwem wiejskiem, które po zaszłych nieszczęściach szukało schronienia po miastach cyrkułowych. O mieszkanie było niezmiernie trudno. Przyjechawszy ledwo, znaleźliśmy pomieszczenie u majstra kominiarskiego pana Andersa, Niemca. Wspominam o tem, bo miło mi dać świadectwo temu wielkiemu współczuciu, jakiego wszędzie doznawaliśmy, nawet jak tu u obcych ludzi. Państwo Andersowie otoczywszy nas troskliwą opieką, nie chcieli późniéj za nasz pobyt przyjąć wynagrodzenia i ledwo ich do tego zniewoliliśmy.

Na dowód, jaką osobliwością było widzieć w tym czasie młodego człowieka niezamkniętego i wolno jeżdżącego, kiedy nietylko młodzi, ale starzy, prawie wszyscy byli jeszcze w więzieniu, przytoczę tutaj moje zdarzenie, jakie mnie spotkało zaraz po przyjeździe do Wadowic. Wysiadając z szybkowozu, zastałem na poczcie wicegubernatora hr. Lażańskiego, którego, czy widok młodego człowieka używającego wolności, zadziwił, czy też może przypomniał sobie moją fizyognomię — nie wiem, dosyć, że zaraz, uśmiechnąwszy się, zapytał: »Gdzieś pana znam — gdzie pan jedzie?« A kiedy mu powiedziałem, że jestem świeżo wypuszczony za jego łaską z Bochni i przyjechałem do miejsca urodzenia, rzekł: »A tak to rozumiem, życzę ci szczęśliwego powodzenia.« Tem pan wicegubernator zaspokoił swoją ciekawość. Inne znowu przyjęcie czekało nas w cyrkule.

Zaraz po przyjeździe naszym do Wadowic i przedstawieniu się w cyrkule, czekały nas nowe nieprzyjemności. Odebrałem nakaz, ażebym się w mieście nie znajdował i natychmiast do miejsca mego urodzenia wyjechał. Pomimo prośby i słusznych powodów, że mam matkę wiekową, znękaną nieszczęściem, a miejsce, gdzie nas odsyłają, już nie jest naszą siedzibą, bo przeszło na własność obcego człowieka, pana Ostermana, komisarz zastępujący chorego starostę, lubo jako znajomy dobrze o wszystkiem powiadomiony, nie chciał wejść w nasze położenie i rozkazał nam natychmiast wyjechać. Gdyby nie prezes miasta Stankiewicz, od którego uzyskaliśmy pobyt

na dzień jeden, to bylibyśmy zmuszeni bez chwili wypoczynku nowe podejmować trudy i narażać się na niepokoje, jakie wówczas każdego na wsi spotykały. Jednakowoż, po upływie tego krótkiego przedłużenia, nie mogąc zmienić i uprosić srogiego komisarza, udaliśmy się z doręczonym certyfikatem na miejsce przeznaczenia i będąc tam oddani pod władzę wójta, mieliśmy czekać dalszej łaski lub niełaski.

Mimo, że przyjechawszy do Kossowy, zastaliśmy lud jak dawniej dla nas przychylny i poczciwy, jednak nie zastawszy właściciela, który, jak wszyscy wtenczas, siedział z synami uwięziony w Ołomuńcu, mieliśmy tę nieprzyjemność, że nie chcąc być sami w pustym dworze, zamieszkaliśmy u dawnego sługi Romana Fiszkowskiego. Wychowanek mojego ojca, wykształcony na dobrego kucharza, a ożeniony z panną służącą mojej matki, posiadał własną realność w Kossowy. Poczciwe to małżeństwo, jak i cały lud tamtejszy, czem mogli, chcieli, nam osłodzić naszą złą dolę, zawsze jednak takie wygnanie nie było przyjemnem. I być może, potrwałoby dłużej, gdyby nie liczne starania za nami, a szczególniej dr. Schultesa. Ten najmocniej starał się, by pozwolono nam powrócić do Wadowic, lub wydano paszport do rodziny w Tarnapolskie. Co też niebawem, bo dnia 5 kwietnia już mogliśmy wyjechać z Wadowic i unikając powszechnej obawy Wielkiego piątku, która nie wiedzieć z czyjej ręki pochodziła, jednak całą Galicyę trwożyła, święta Wielkiej Nocy przepędziliśmy we Lwowie. Zkąd ten strach paniczny się szerzył, do dziś nie wiadomo, jednak w całej Galicyi, dzień Wielkiego piątku był ogólnym postrachem, prawie wszyscy do miast pouciekali, a w miastach znowu sług się bano.

Jaki los byłby mnie spotkał, gdybym nie był wyjechał dla matki z Krakowa, powiedzieć trudno. Zapewne równy, jaki setki moich kolegów czekał pod Gdowem. Byłbym prawdopodobnie walczył w oddziale kosynierów, i jak oni, nie mogąc się oprzeć nawale uzbrojonego chłopstwa i regularnego wojska, pomnożyłbym ilość poległych.

10.—